Jackson Gregory

Dym prochowy nad Wandering River

(Powder smoke on Wandering River)

Pierwsze wydanie: 1938

Rozdział I

W Tecolotes panowała młoda wiosna, niebo było najbardziej błękitne z błękitnych, wysoko położone łąki porośnięte były delikatnie zabarwionymi górskimi kwiatami, a słońce tak łagodnie świeciło nad tymi dzikimi terenami, że wydawało się, iż nigdzie nie pozostało miejsca na cienie i mrok. A jednak cieni wcale tam nie brakowało. Młody Jeff Cody, zjeżdżający na skróty stromym szlakiem prowadzącym najkrótszą drogą ze Spire Mountain Flats przez Dziurę Wiedźmy i dalej do Halcyon, zsunął kapelusz i słońce bezpośrednio padało na jego opaloną twarz, lecz również i na niej widoczny był ślad cienia, w jego ponurych oczach. Minęło zaledwie kilka godzin, odkąd w Pocket Canyon widział coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

— Nie byłoby złym pomysłem zamienić słowo lub dwa z Cichym Jeffem — pomyślał Młody Jeff, gdy jego smukły, kasztan o jasnym włosiu, zsuwał się na sztywnych nogach po ostatnim odcinku stromego zejścia na niżej położony szlak. — I ze starym Billem Morganem też. — Na jego wargach pojawił się dziwny grymas. — W każdym razie, niech szlag trafi tych dwóch starych diabłów.

Młody Jeff był wysoki, szczupły i opalony, jakby złotobrązowy od wiatru i słońca na górskich wysoczyznach, gibki, energiczny i pełen gracji w siodle. Tak jak z niektórych eleganckich kobiet emanuje jakiś nieuchwytny, niemal fantastyczny zapach, tak z młodego Jeffa Cody'ego zdawała się promieniować jakaś delikatna esencja samych gór, nuta rozgrzanej słońcem żywicy z wysokich sosen, zmiażdżonych liści laurowych; jego nogi stąpały po dzikiej mięcie w Pocket Canyon; płaszcz zwinięty teraz za łękiem siodła, służył mu wiele razy jako poduszka, ułożona na świeżo ściętych gałęziach cedru lub jodły.

Z zalesionego zbocza zjechał do najniższej części Deer Valley i skierował się na południe, trawiastym dnem doliny, którym biegł szlak dla wozów. Mieli to miejsce praktycznie wyłącznie dla siebie, on, Wandering River, kwiaty, trawa i słońce. Większość dzikich stworzeń, które przybyły tu by paść się i polować, odpoczywała teraz gdzieś w swych ulubionych, ukrytych w cieniu zakątkach. Później pojawią się tu jelenie, tak samo jak z pewnością bywały wczesnym rankiem. Kilka mil przed sobą zobaczył cętkowaną krowę i starego, białego konia, które drzemały towarzysko obok siebie; oba należały do Wiedźmy.

Dolina zwężała się krzywo, od miejsca w którym leżały koń i krowa, z opadającym od zachodu zboczem, zaś szlak dla wozów wił się wśród sosen, wokół jego podnóża. Odrobinę dalej znajdowała się wypełniona cieniem kotlina z małym potokiem zasilającym Wandering River, który

połyskiwał ciemno na dnie zagłębienia, miejsce tak gęste od wierzb i olch, krzewów laurowych i kasztanowców, że słońce nie przenikało przez nie poza pojedynczymi migoczącymi promieniami, które podkreślały tylko ponury mrok wypełniający Dziurę Wiedźmy, jak ciemny płyn wypełnia puchar.

Przy braku ogrodzenia, które mogłoby go zatrzymać, Młody Jeff wkrótce był już w połowie kotliny, gdy obwołał go czyjś głos. Zmarszczył brwi ze zniecierpliwienia, mruknął pod nosem coś niezbyt pochlebnego, ale zwolnił konia do powolnego kłusa, a potem, niechętnie, zupełnie się zatrzymał.

— Dzień dobry, pani Grayle — przywitał się i dotknął kapelusza, choć wyglądał jakby nie za bardzo miał ochotę to robić.

Siedziała przykucnięta pod liściastym krzakiem laurowym niedaleko szlaku dla wozów, odpoczywając w cieniu, podczas gdy można by się spodziewać, że taka stara kobieta jak ona będzie raczej szukała najcieplejszych miejsc w słońcu. Wstała sztywno, ale gdy już się podniosła, poruszała się dosyć żwawo, zmierzając w jego stronę z długą wierzbową laską, którą posługiwała się sprawnie i lekko. Jego koń zastrzygł uszami, parsknął i potrząsnął łbem, a przed cofnięciem się powstrzymały go jedynie ostrogi Młodego Jeffa.

— Dlaczego twój koń się mnie boi? — spytała. W jej głosie, twardym i tnącym jak ostrze noża, słychać było ledwie wyczuwalną nutę wahania. — Nie opowiadałeś mu o mnie żadnych brzydkich historii, prawda, drogi Jeffie?

Jeff nie uśmiechnął się w odpowiedzi na jej zaczepkę, ale ona też tego nie zrobiła. Nie okazał też urazy, że nazywa go „drogim Jeffem". Zawsze tak robiła; wiedziała, że jako chłopiec tego nie znosił, więc stale to powtarzała.

— Coś cię trapi, chłopcze — stwierdziła, spoglądając na niego głęboko osadzoną parą błyszczących czarnych oczu, błyszczących w ciemnej twarzy, która, poprzecinana tysiącami linii i zmarszczek, wyglądała na sto lat. Zaczęła chichotać, kładąc mu dłoń na kolanie. — Coś cię gryzie, Jeffie Cody, i to mocno.

Wzruszył ramionami; ponura twardość jego oczu pozostała niezmieniona, zaś surowy wyraz ust nie uległ złagodzeniu.

— Mam jeszcze kawałek drogi do przejechania…

— Już niezły kawałek przejechałeś! Pozwól mi spojrzeć w twoje oczy, Jeff; pozwól mi wyczytać, co w nich jest, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Jego parsknięcie przypominało parsknięcie konia sprzed chwili.

— Myślałem, że dała już pani sobie spokój z takimi próbami — stwierdził zniecierpliwiony. — Zbyt dobrze się nawzajem znamy.

Jej chichot zmienił się w coś w rodzaju złośliwego rechotu; odsunęła z twarzy stary, poszarpany, czarny szal, wpatrując się w niego uważniej niż kiedykolwiek przedtem; jej zmrużone oczy wydawały się być przepełnione jakąś tajemniczą, złośliwą radością.

— Więc jesteś zbyt mądry, by wierzyć, że jestem wiedźmą, jak wszyscy mnie nazywają? Młodego Jeffa nie da się oszukać, co? Kiedy

ludzie mówią, że w ciemnościach rozświetlanych jedynie blaskiem księżyca warzę napary z żab i śmiercionośnego cienia nocy…

— Muszę już jechać — przerwał jej Jeff. — Myślałem, że może pani coś ode mnie chce.

W miarę jak wypluwała w jego stronę kolejne słowa, złość przepełniająca jej oczy przedostawała się również do jej skrzeczącego głosu. Wiedział, że zawsze go nienawidziła, tak jak nienawidziła wszystkich innych ludzi; teraz każdy nieznajomy, który by na nią spojrzał i usłyszał jej słowa, zdawałby sobie z tego sprawę równie dobrze jak Jeff Cody. Nigdy też nie było dla Jeffa tajemnicą, że była dumna ze swojej reputacji i z tego, że jej unikano i o niej mówiono. Wyglądała jak czarownica, było wielu mieszkańców lasu, którzy bardziej niż w połowie wierzyli, że jest czarownicą, a teraz Jeff zaczął się zastanawiać, czy czasami ona sama tak nie myślała! W jej wieku, wiodąc samotne życie, kryjąc w sobie całą powszechną zjadliwość i złośliwość ludzi, które to cechy stały się integralną częścią jej duszy; nic dziwnego, że była odrobinę szalona.

— Jesteś głupcem, Jeffie Cody! — rzuciła się na niego i uderzyła go w kolano chudą pięścią. — Jesteś takim samym wielkim głupcem, jakim zawsze był stary Cichy Jeff Cody; takim samym wielkim głupcem jak stary Czerwona Koszula Bill Morgan. — Zaczęła się śmiać, ukazując kilka przebarwionych zębów, które pozostały jej po ciężkich latach życia. — Głupcy, cała trójka! Czy wiesz, dlaczego Cichy Jeff i stary Czerwona Koszula tak bardzo się nawzajem nienawidzą? Kiedyś byli przyjaciółmi, prawda? I pozwolili, by stanął między nimi martwy człowiek!

Ta myśl sprawiła, że jej złośliwy śmiech stał się jeszcze o ton głośniejszy. Jeff ruszył w dalszą drogę, ale ona chwyciła go i zatrzymała, bardziej swoimi słowami niż uchwytem.

— Gadanie o zmarłych — mruknęła do niego. — To dobry dzień na rozmowy o nieboszczykach, jak myślisz, Jeff? — Zaczęła węszyć jak pies obwąchujący człowieka. — Wydaje mi się, że czuję od ciebie zapach śmierci! — Chyba nie odwiedzałeś właśnie nieboszczyka, co, Jeff? Nie znalazłeś go tam w górach, prawda? — Ponownie powąchała, jej nozdrza rozszerzyły się, a oczy zmrużyły. — To nie było morderstwo, co? Co ty próbujesz zrobić, chłopcze, siedząc tak w siodle z tą kamienną twarzą? Próbujesz ukryć coś przed starą matką Grayle? To niemożliwe, Jeff! Nikt nie potrafi ukryć przede mną prawdy, nie kiedy ja chcę ją poznać. Tak, wyczuwam morderstwo równie wyraźnie, jak ty wyczułbyś różę, gdyby ktoś podsunął ci ją pod ten długi nos. Ale po co brać sobie to do serca, drogi Jeffie? Większość ludzi musi przecież kiedyś umrzeć, prawda? A on i tak był starym człowiekiem, co, ten martwy tam, w Pocket Canyon?

Zanim skończyła, jego oczy zwęziły się do wąskich szparek. Między Dziurą Wiedźmy a Pocket Canyon było dwadzieścia mil gór. Skąd, u licha, ta stara wiedźma wiedziała?

Starał się jak mógł nie zdradzić swoich myśli, najmniejszym nawet drgnięciem mięśni. Można było zauważyć jedynie zwężenie oczu i stwardnienie mięśni szczęki. Nie okazał tej kobiecie wyrazu zdumienia, nie zadał ani jednego pytania. Znał ją dobrze; powiedziałaby tylko tyle, ile

sama by chciała, i żadne jego namowy nie skłoniłyby jej do zdradzenia choćby jednego słowa więcej. Siedział więc w milczeniu na koniu, czekając na jej dalsze słowa.

Ona jednak zamilkła, a jej stara twarz była tak samo kamienna jak jego. Powiedział więc:

— Chyba już sobie pojadę.

Zacisnęła usta, tak że jej kościsty podbródek i nos zbliżyły się do siebie bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

— Chciałam ci coś jeszcze powiedzieć, drogi Jeffie, i miało to być ostrzeżenie dotyczące przyszłości. Dlatego czekałam tu na ciebie, bo możesz być pewien, młody człowieku, że wiedziałam, iż dziś się tu pojawisz! Ależ z ciebie głupiec! Proszę bardzo, jedź dalej; nie potrwa długo, zanim inni ludzie nie będą leżeć w jakimś wąwozie, z kulą w plecach - a ty będziesz jednym z nich!

Potem roześmiała mu się w twarz, odwróciła się zwinnie i ruszyła szybkim krokiem w stronę ciemnego, starego kamiennego domu, na wpół widocznego w sercu Dziury Wiedźmy. Jej łachmany powiewały wokół niej, a długi kij uderzał złośliwie o ziemię. Młody Jeff Cody wbił ostrogi w boki konia i ruszył przed siebie.

Wyjeżdżając pośpiesznie z kotliny, po raz pierwszy ujrzał niesamowite miasto Halcyon, położone w dolinie zaledwie o milę dalej.

Rozdział II

Halcyon nosiło w swoim czasie wiele różnych nazw: Pay Dirt, Jump Off, Hell's Bells, Valley City. Było jak najbardziej żywe w dniach swych wspaniałych i gorączkowych kilku miesięcy życia. Jedno z najstarszych miast górniczych Zachodu było dzisiaj martwe jak gwóźdź w trumnie. Wszystko, co pozostało z Halcyon, to dziesiątki zniszczonych przez czas budynków, obecnie pustych, solidnych starych budowli ze skał i prymitywnie ociosanych drewnianych belek, z żelaznymi okiennicami, niegdyś zielonymi, a obecnie poznaczonymi brązowymi smugami; pokrytych trawą kopców, gdzie kiedyś stały domy. To, co dawno temu było ulicą, teraz porastały młode sosny, zarośla i osty. Było to miejsce, które śmiało wtargnęło w Dzicz i które w końcu zostało pochłonięte przez tę samą cierpliwą, lecz żarłoczną Dzicz. Zagubione w górach, położone daleko od jakiegokolwiek innego miasta, cuchnęło opuszczeniem i zniszczeniem, emanowało tą dziwną atmosferą nawiedzonego miejsca, która sprawiała, że ono i jemu podobne osady zostały nazwane miastami-widmami. Stanowią one dziwne, imponujące pomniki starego Zachodu.

Uczepiło się przeszłości i z roku na rok coraz bardziej oddalało się od współczesnego świata, poza nim; nawet droga z niżej położonych terenów zniknęła, ponieważ ostre zimy ze śniegiem i lodem, oraz ciepłe wiosny z milionami wezbrań wody i osunięć ziemi, zniszczyły ją i starły, nic z niej nie pozostawiając; nie było potrzeby jej odbudowy; sosny, jodły i zarośla mocno zapuściły korzenie i zdusiły ją; została z powrotem wciągnięta w objęcia dziczy.

Tak więc obecnie Halcyon było martwym miastem cuchnącym opuszczeniem - a jednak nie było ono opuszczone całkowicie. I to właśnie w Halcyon było dziwne. To prawda, w miesiącach zimowych nikt się tutaj nie zbliżał; miasto należało wtedy do białej ciszy, głodnych wilków leśnych lub niespokojnych starych niedźwiedzi brunatnych, dotkniętych bezsennością. Lecz wiosną, latem i jesienią było już zupełnie inaczej. Pozostało dwóch ludzi, starych wyjadaczy, którzy nigdy nie opuścili pokładu statku i nigdy go nie opuszczą. Słyszała o nich cała kraina, a ci, którzy znali ich osobiście, zawsze spekulowali: Jak długo potrwa zanim jeden z nich zabije drugiego? Czy to Cichy Jeff Cody zastrzeli Billa Czerwoną Koszulę Morgana? Albo może to Bill Czerwona Koszula zastrzeli starego Cichego Jeffa? Gdyż nigdy nie było tajemnicą, że ci dwaj, niegdyś przyjaciele, nienawidzili się nawzajem z głęboką i morderczą siłą.

Młody Jeff wjechał do „miasta”, podążając krętym szlakiem wijącym się między sosnami, okrążył najbardziej pretensjonalny budynek, jaki

kiedykolwiek znał Halcyon, zniszczony zębem czasu gmach hotelu Pay Dirt, miejsce, które obecnie służyło nietoperzom i niewielkim gryzoniom, i poprzez drzewa zobaczył miejsce nazywane niegdyś Placem. Na jego zachodnim krańcu, na werandzie porośniętej mchem chaty o trzeszczącym dachu, siedział starzec z opartym na kolanach karabinem. Po drugiej stronie placu, na bardzo podobnym ganku przy drzwiach chaty niemal bliźniaczo podobnej do tej pierwszej, siedział słabo osłonięty rozproszonymi młodymi drzewami inny starzec, z kwadratową białą brodą, krzepki i w czerwonej koszuli, a dla towarzystwa miał karabin, stojący pod ścianą w zasięgu ręki. Siedział wygodnie rozłożony w skrzypiącym bujanym fotelu. Dla odmiany pierwszy z mężczyzn, chudy jak sztacheta i sztywno wyprostowany jak wycior, posadził swoje chude ciało na ławce z oparciem. Gardził brodami, zwłaszcza białymi, a najbardziej tą po drugiej stronie placu, lecz nosił imponujące śnieżną bielą wąsy, które musiałyby zdobyć nagrodę w każdym konkursie wąsów.

Młody Jeff Cody, widząc ich obu w tym samym czasie, mruknął po raz drugi tego dnia i po raz tysięczny w swoim życiu:

— Niech szlag trafi, tych dwóch starych diabłów.

Następnie zawołał na powitanie:

— Cześć, Jeff! Cześć, Bill!

Odpowiedziały mu krótkie, szybkie głosy echa, a potem zapadła cisza, jakby zastygły w bezruchu, spokojny Halcyon odpowiedział mu: „Cicho! Zamilknij!” Jeff jechał dalej prosto przed siebie, na tyle prosto, na ile pozwalały mu wyrastające dookoła stosy śmieci, drzewa i krzaki, zmuszające go do skręcania w tę i z powrotem, aż dotarł mniej więcej na środek Placu. Zatrzymał się tu i przez chwilę siedział w siodle, nie zsiadając z konia i udając, że skręca papierosa. Spoglądał spod ronda kapelusza na ojca, który jedną ręką trzymał strzelbę, a drugą gładził wąsy, i na Billa Czerwoną Koszulę Morgana, który kołysał się w przód i w tył w fotelu.

Nagle Młody Jeff poczuł pokusę. Pomyślał, że to może być okazja! Zawołał śpiewnie:

— Posłuchaj, Jeff! Posłuchaj, Bill! Coś się stało i muszę z wami natychmiast porozmawiać. Co powiecie na to, abyśmy choć raz spotkali się we trójkę?

Bill Czerwona Koszula kołysał się dalej, a Jeff bez przerwy gładził swoje obfite wąsy i żaden z nich nie odezwał się nawet słowem. Oczywiste było, że tak to się skończy.

Młody Jeff pchnął konia ostrogą do chaty po zachodniej stronie placu i zsunął się z siodła, przysiadając na krawędzi werandy.

— Jeff — oznajmił wybuchowo, zdegustowany już tą sprawą — ty i stary Bill powariowaliście! On jest dobrym człowiekiem i ty też, tyle że żaden z was nie ma dosyć rozumu, by raz na zawsze załatwić tę sprawę. Do licha, Jeff, dlaczego wy obaj nie możecie być rozsądnymi ludźmi, dlaczego nie możecie nauczyć się rozumu, zanim będzie za późno? Ty siedzisz tu, a on tam, rok w rok, i nie rozumiesz... Do diabła, Jeff! Jesteście moimi dwoma najlepszymi przyjaciółmi; kiedyś też żyliście w przyjaźni, a teraz koczujecie sami w tym Pay Dirt, przez dwadzieścia lat

siedząc na gankach i pielęgnując karabiny, i nigdy żaden z was nie powiedział temu drugiemu „niech cię diabli!”. Nie widzisz, jak głupio się zachowujecie? Jak dwoje dzieci, Jeff.

Start Cichy Jeff rozprostował i ponownie skrzyżował swoje długie nogi. Nie przestawał gładzić wąsów. Odparł łagodnie:

— Doberek, Jeff!

— Och, do diabła — stwierdził z obrzydzeniem Młody Jeff; Cichy Jeff nic nie odpowiedział.

Po chwili lub dwóch martwej ciszy, jaka istnieje jedynie w sercach rozległych pustyń i w tak rzadkich miejscach jak Halcyon, ciszy, którą Halcyon się rozkoszował i której Cichy Jeff nie dawał żadnych oznak, że chciałby ją zakłócić, Młody Jeff westchnął i odezwał się spokojnie.

— Właśnie zamieniłem kilka słów ze Starą Wiedźmą. Cholera, tato, czy to, co ludzie o niej mówią, ma jakiś sens? Że niby jest jakąś czarownicą? Jak to się dzieje, że ona słyszała o wydarzeniach, o których, z tego co wiem, nie ma żadnego ziemskiego sposobu, by mogła się dowiedzieć?

Oparł się plecami o słup podtrzymujący dach werandy i patrzył pytająco na ojca. Gdyby było ciemno, a nie późne popołudnie, całkowicie przegapiłby odpowiedź Cichego Jeffa, ponieważ polegała ona po prostu na lekkim, pytającym uniesieniu kudłatych brwi.

No cóż, pomyślał młody Jeff z rezygnacją, to była i tak wystarczająca odpowiedź na głupie pytanie. Ułożył słupek wygodniej między łopatkami i od niechcenia zauważył:

— Co do jednego ta stara dama całkiem nieźle trafiła w sedno. Uważa, że ty i stary Czerwona Koszula jesteście największymi głupcami na ziemi. Pozwala mi to wystąpić w roli łagodzącej trzeciej strony.

Kiedy Cichy Jeff go wysłuchał, ożywił się na tyle, by podrapać się po karku, splunąć przez krawędź werandy w krzaki i zacząć zrogowaciałą dłonią polerować lufę swojej starej strzelby.

— Wspomniała też, że kiedyś byliście przyjaciółmi — kontynuował Młody Jeff — i że pozwoliliście, by między wami stanął martwy człowiek. Rozśmieszyło ją to. Tak się zastanawiałem… Nigdy mi o tym nie mówiłeś, tak samo jak Bill.

— Pewnego dnia… — zaczął poruszony Cichy Jeff. Zatrzymał się; niewiele brakowało, a niemalże by się poddał. — Halcyon mógłby stać się naprawdę miłym miejscem — dodał łagodnie.

Młody Jeff prychnął.

— Chcesz powiedzieć, że gdyby stary Czerwona Koszula stąd zniknął? Albo umarł? Dobrze wiesz, Jeff, że gdyby Billowi coś się stało, straciłbyś całe zainteresowanie życiem; po prostu byś uschnął i odszedł, a poza tym miałbyś złamane serce.

Lecz tym razem, choć uważnie przyglądał się starcowi, nie doczekał się nawet drgnięcia brwi w odpowiedzi. Nagle poczuł się zawstydzony; nie miał prawa wnikać w zawiłe sprawy dwóch starych ludzi i szanował ten fakt. Każdy człowiek ma przyrodzone prawo do własnej prywatności, do wolności w pewnych granicach, przynajmniej dopóki stary Cichy Jeff i stary Bill Czerwona Koszula Morgan nie próbowali się nawzajem pomordować. Młody Jeff pociągnął refleksyjnie palcami za nos i

poprzysiągł sobie powstrzymać się od wsadzania go w cholerną głupotę tych dwóch sympatycznych starych diabłów.

— Stary Charlie Carter nie żyje, Jeff — oznajmił rzeczowo. — Znalazłem go w jego chacie w Pocket Canyon. Ktoś go zabił; strzelił mu w tył głowy z czegoś w rodzaju czterdziestki piątki albo strzelby. Musiało się to stać wczoraj późnym wieczorem lub dziś wczesnym rankiem.

Stary Jeff zastanawiał się nad tą wiadomością i jej różnymi implikacjami. Dobrze znał Charliego Cartera; znał go od dwudziestu, trzydziestu lat. Stary Charlie nie był może zbyt dobrym człowiekiem, ale z pewnością nie był też złym. Był typem samotnika, niewątpliwie pozbawionego większej ambicji, który miał swój charakterystyczny sposób polowania, specjalizował się w lwach górskich, traperce, łowieniu ryb i poszukiwaniu złota, od czasu do czasu szedł komuś na rękę, by wyświadczyć uprzejmość, ale nigdy nie sprawiał kłopotów. Ogólnie rzecz biorąc, był raczej bezbarwnym staruszkiem, nieszkodliwym jak polna mysz. Tym niemniej, jednak, według słów młodego Jeffa, ktoś uznał za stosowne wpakować mu kulkę. Od tyłu, nie dając mu żadnych szans.

Po długich rozmyślaniach, Cichy Jeff poczuł się zmuszony do zabrania głosu.

— Psy starego Charliego będą teraz bezdomne, Jeff. Równie dobrze mógłbym się nimi zaopiekować.

— Starsza pani Grayle wiedziała o tym — dorzucił Jeff. — Udawała, że czuje ode mnie zapach śmierci. Powiedziała mi, że właśnie odwiedziłem w Pocket Canyon zamordowanego człowieka. Skąd ona u diabła o tym wiedziała, Jeff?

Nie oczekiwał odpowiedzi i jej nie otrzymał. Kontynuował więc z zamyśleniem:

— To część większego problemu, Jeff, i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Stoi za tym Bart Warbuck lub Jim Ogden - co w gruncie rzeczy sprowadza się do tego samego - albo któryś ze sługusów Ogdena. Charlie Carter nie został zabity tylko dlatego, że ktoś go nie lubił. Stał za tym inny powód i ja wiem, jaki. Oto on.

Wyciągnął z kieszeni pół tuzina niewielkich kawałków kwarcu i wrzucił je do starej, skórzastej dłoni ojca. Cichy Jeff dokładnie im się przyjrzał, zaciskając na ich widok usta i kręcąc raz lub dwa głową, a w końcu oddał je synowi z powrotem.

— Znałem Charliego całkiem nieźle — powiedział Młody Jeff. — Z mojego rancza, jadąc gdziekolwiek w tę stronę, oczywiście, zawsze musiałem przejeżdżać przez Pocket Canyon. Ostatnio ze mną parę razy rozmawiał; mówił więcej niż ty, Jeff. Pokazał mi nawet miejsce, w którym trzymał te parę dolarów, które akurat miał. Myśląc, że niewykluczone jest, iż został zamordowany dla swoich pieniędzy, rozejrzałem się tam. Znalazłem to w jego starej puszce po tytoniu, pod deską podłogową. Są pełne złota, co, Jeff? Charlie musiał w końcu znaleźć to, co zawsze zaklinał się, że kiedyś znajdzie.

Nie było nic więcej do dodania; kawałki kwarcu mówiły same za siebie i prawda była oczywista. Ponieważ trudno było oczekiwać, że Cichy

Jeff wyrazi to, co już zostało powiedziane, naturalnie nie miał nic do dodania.

— Zacząłem się zastanawiać — kontynuował Młody Jeff — czy ty lub stary Bill, jako że obaj znacie ten kraj od szczytów gór po dna dolin, nie moglibyście wiedzieć, gdzie stary Charlie znalazł swoje złoto.

Cichy Jeff dostrzegł, że w tym pytaniu tkwi co najmniej nikły ślad zdrowego rozsądku, więc należycie je rozważył. Następnie uniósł ramiona i rzucił okiem na syna, by kontynuował.

— Tak jak przed chwilą powiedziałem — mówił dalej młody Jeff — stawiam ostatniego dolara na to, że zabójstwo Charliego Cartera, jest następnym z kolei, to jest miałem na myśli, że zostało dokonane przez zgraję Warbucka. To oznacza, że Warbuck wie, iż Charlie dobrał się do bogatej rudy. Przypuszczam, że oznacza to również, iż Warbuck wie, gdzie jest złoto. Prawdopodobnie, już położył na nim łapy.

Było to kolejne stwierdzenie, które brzmiało rozsądnie i nad którym człowiek mógł się przez chwilę pochylić. W związku z tym, będąc rozsądną istotą ludzką, Cichy Jeff zajął się wspomnianym łamaniem głowy. Wydawał się być głęboko zadumany.

Młody Jeff, któremu zdarzały się chwile zniecierpliwienia, wstał.

— Wielkie dzięki, Jeff, za wszystko — oznajmił. — Adios.

Wtedy Cichy Jeff, nie mając już żadnych pytań na które musiałby odpowiadać, poruszył się niespokojnie na swojej ławce, zrobił skrzywioną minę, stoczył wewnętrzną walkę i bardzo delikatnie zauważył:

— Lepiej się za bardzo nie śpiesz, Jeff.

— Wielkie dzięki, Jeff — powiedział Młody Jeff po raz drugi i wsiadł na konia. Mniej więcej minutę później zsiadł z niego ponownie, tym razem na skraju ganku chaty Billa Czerwonej Koszuli Morgana.

— Cześć, Bill! — zawołał.

Z ogromnej piersi Czerwonej Koszuli Billa Morgana wydobyło się głębokie, łagodne dudnienie.

— Niech mnie diabli, jeśli to nie jest ten nic niewart, zbijający bąki, Młody Jeff! Cześć, dzieciaku! W każdym razie jesteś równie mile widziany, co brodawka na nosie. Kiedy przyjechałeś do miasta? I co jest u ciebie nie tak, tak generalnie?

— Nie widziałeś, jak wjeżdżałem do Halcyon, co, Bill? Nie wiedziałeś, że byłem po drugiej stronie Placu i gawędziłem z Cichym Jeffem?

Bill Czerwona Koszula Morgan parsknął, a kiedy parsknął, to nawet taki koń jak Młodego Jeffa nadstawił uszu by czegoś się nauczyć.

— W cholerę — oznajmił serdecznie i dosadnie. — Nie winię cię za to, Jeff, tak samo jak nie winię cię za to, czyim synem jesteś. Dla mnie liczy się to, kim jesteś. Oczywiście, gdyby ktoś miał coś do powiedzenia na temat wybierania sobie rodziny… Ale do diabła z tym. Co się dzieje, stary?

Młody Jeff przekazał mu wszystko to, co mówił Cichemu Jeffowi, a nawet więcej, ponieważ Czerwona Koszula Bill zachęcał go wieloma ostrymi pytaniami i sprytnymi przypuszczeniami. Swoje różnorodne wtręty okraszał przekleństwami równie serdecznymi, jak sam stary Bill; sklął Barta Warbucka i Jima Ogdena oraz całą ich hołotę, z góry do dołu; ocenił

gadaninę Wiedźmy wyraziście, używając epitetów, które nieczęsto trafiają do druku, a kiedy przekroczył nawet i tę granicę, dodał dla pełnej miary:

— I gdyby nie była damą, Jeff, ta przeklęta stara krowa, to określiłbym ją jeszcze gorzej.

Kiedy Młody Jeff skończył, Bill Czerwona Koszula wziął w swoje stare, twarde dłonie kawałki kwarcu martwego Charliego Cartera i zbadał je jak naukowiec oglądający pod mikroskopem rzadkie znalezisko. Oddał je z powrotem i usiadł, zaciskając dolną wargę i drapiąc się po niewidocznym podbródku, zagubionym w głębinach jego ogromnej kwadratowej brody.

— To nie lada orzech do zgryzienia, mały. Po pierwsze, kto zabił starego Charliego? Obstawiam, że ktoś ze szkodliwej zgrai Warbucków, tak samo jak i ty; solidne dziesięć do jednego. Ale zakład to jedno, a pewność to drugie, a my nie jesteśmy pewni. W każdym razie nie do końca pewni; nie na tyle pewni, by zdmuchnąć Barta Warbucka i tego liżącego mu stopy psa, Jima Ogdena, z dobrej, zielonej ziemi. Być może czas to pokaże; zazwyczaj tak jest - tylko czasami zbyt późno, by było to naprawdę ważne. Dalej, skąd, u diabła, wiedziała o tym ta stara Grayle? To mnie trochę zastanawia; będę o tym dumał dziś wieczorem. Czasami zastanawiam się, czy ta stara maciora nie ma trzeciego oka, jak mówi o niej większość ludzi. Po trzecie, gdzie stary Charlie znalazł swoją kopalnię złota? Trudno powiedzieć, mały. Te odłamki kwarcu mogły pochodzić z dowolnego miejsca. Wyglądają mi trochę na skały z Landslide Gulch, i trochę wyglądają, jakby pochodziły z jakiegoś miejsca wzdłuż Wolf Creek, a mogły też pochodzić z któregoś z występów skalnych wysoko w Deer Valley, gdzie wpada Alder Creek. Ale to trochę zabawne, mały.

— Co w tym zabawnego, Bill?

— Wyglądają cholernie podobnie do skały, którą ja i pewien facet znaleźliśmy kiedyś tutaj, w Pay Dirt. Tyle tylko, że wtedy oczywiście nie było jeszcze Pay Dirt. Miasto powstało dopiero niemal tydzień później, po tym wydarzeniu. I zawsze mówiłem...

— Wiem — przytaknął mu młody Jeff. — Że Halcyon jeszcze nie umarł, że w starym mieście ciągle jest życie, że prędzej czy później zaginiona żyła znów się pojawi i...

— Może właśnie teraz — powiedział Bill Czerwona Koszula.

— A może Bart Warbuck wie, gdzie ona jest? Podczas gdy my tylko zgadujemy?

— Warbuck chyba oszalał! — warknął Bill Czerwona Koszula. — Tylko dlatego, że ma większość pieniędzy, jakie istnieją, myśli, że morderstwo może ujść mu na sucho?

— No cóż, a nie może? — stwierdził sucho młody Jeff. — Czy już raz lub dwa, nie uszło mu to na sucho?

— Nadal myślisz…?

— Czuję to w kościach i ty też to wiesz! Tak samo jak Cichy Jeff i prawie każdy mężczyzna, kobieta, dziecko czy pies, który wie cokolwiek o tym, co się dzieje w promieniu pięćdziesięciu mil od Halcyon, w dowolnym kierunku. Minęły zaledwie dwa miesiące, odkąd został zabity Bob Vetch, a teraz mamy sprawę Charliego Cartera.

— Ty i Bob Vetch, byliście kimś w rodzaju przyjaciół — zauważył stary Bill, — wiele ze sobą dyskutowaliście, często spotykaliście się w cztery oczy, i można być pewnym, że za jego zabójstwo można obciążyć Warbucka. I...

— Bob został zamordowany przez Warbucka lub przez zauszników Warbucka, załatwiających za niego jego interesy — oznajmił Jeff. — Dlatego że stanął Warbuckowi na drodze i zbyt dumnie podnosił głowę, miał zbyt sztywny kark i był prawdziwym pionierem, aby Warbuck czy każdy inny taki jak on, mógł na niego patrzeć przez palce – dopóki żył. Tak więc Bob nie żyje. I masz cholerną rację, Bill, byliśmy przyjaciółmi. Nie zapomnę o Bobie. Długo rozmawialiśmy dwa dni przedtem, jak go zabili.

Bill wpatrywał się przed siebie, być może nie patrząc na nic, a być może widząc przelotnie innego starego człowieka, siedzącego na innej starej werandzie, po drugiej stronie Placu, bo chociaż Plac był porośnięty młodymi sosnami, można było przez niego co nieco dostrzec z tego, co znajdowało się po jego drugiej stronie. Teraz oczy Billa, szare jak niebo nad południowymi wzgórzami, skupiły się na ponurej twarzy Młodego Jeffa.

— Posłuchaj mnie, mały — rzucił szorstko, — nie jest twoim zadaniem, aby zaprząc słońce, księżyc i gwiazdy, i zaorać całe hrabstwo, a jeszcze do tego prać i prasować. Dlaczego miałbyś wtykać swój długi nos, w ten cały bałagan, głębiej niż inni ludzie? Wygląda na to, że...

— Znalazłem Charliego Cartera martwego — oznajmił Jeff. — Został zamordowany, to jasne. To mocno działa na człowieka, Bill. A potem przypomniałem sobie Boba Vetcha. Jego ranczo sąsiadowało z moim, wiesz przecież. Kiedy go zabili, w pewnym sensie wtargnęli na moje terytorium - na więcej niż jeden sposób. Zgraja Warbucka będzie chciała kiedyś porozmawiać ze mną; być może w tym samym języku, w jakim rozmawiali z Bobem i starym Charliem. Ambicje Warbucka najwyraźniej nie mają granic; gdyby mógł, zagarnąłby także moje ranczo, jak kocur połykający mysz.

— Posłuchaj mnie, mały, do jasnej cholery! Albo jesteś ranczerem, któremu się powodzi i który hoduje konie, albo nie. Jeśli jesteś gotów zejść z tej drogi, szukając kłopotów i pracując dla martwych ludzi...

— Pracuję dla siebie, Bill; nie mam nikogo innego, dla kogo mógłbym pracować. — Młody Jeff wstał, zdjął swój zrolowany płaszcz z przytroczonego do siodła paska i założył go na siebie. — Zachód słońca może nadejść, zanim się obejrzysz; na razie, Bill.

— W którą stronę, mały? — spytał Bill, gdy Młody Jeff wsiadł na konia.

— Będę miał czas, by o tym pomyśleć, kiedy będę tak sobie jechał przed siebie — odparł Jeff. — Dziś wieczorem w Pioneer City jest potańcówka, a w Silver Bar może być godna uwagi gra w pokera, a stąd do Barta Warbucka nie jest daleko. Jest jeszcze parę innych miejsc, do których można by się wybrać. Do zobaczenia, ty stary zacofańcu.

— Jedź szczęśliwie, mały — powiedział Bill Czerwona Koszula. — Tyle że na twoim miejscu przemyślałbym sobie wszystko podczas jazdy i nie zaczynałbym niczego zbyt szybko.

Patrzył, jak młody Jeff Cody oddala się i znika z pola widzenia, westchnął i mruknął pod nosem:

— Niech mnie cholera weźmie, dokładnie tak bym zrobił!

Rozdział III

Młody Jeff zadumał się, jadąc pomiędzy sosnami starego Szlaku Emigrantów, i pomyślał z odrobiną goryczy: „Cichy Jeff mógł się dziś trochę bardziej otworzyć, mógł dać mi znać, co mu chodzi po głowie”. Był zmuszony porównać, tak jak robił to już wielokrotnie, postawę własnego ojca z postawą Billa Czerwonej Koszuli. Dzisiaj Cichy Jeff również zachował swoje zwyczajowe milczenie, podczas gdy Bill Morgan jak zwykle hojnie podzielił się z nim swoimi uwagami. „Do diabła…” — pomyślał Młody Jeff, po czym nagle zaczął cicho się śmiać.

Bo w końcu, co takiego powiedział mu Czerwona Koszula? Używając może mniejszej liczby słów, Cichy Jeff miał mu do przekazania zupełnie to samo: „Lepiej działaj powoli”. A jeśli chodzi o jakąkolwiek konstruktywną uwagę, to była tylko jedna. Psy starego Charliego będą teraz bezdomne, powiedział Cichy Jeff, a on mógłby dać im dom!

— Chyba — zdecydował, — po prostu nie było nic do powiedzenia.

Powoli, młody człowieku - tak brzmiała suma wszystkich udzielonych mu rad. Cóż, równie dobrze nawet tego mogliby mu wcale nie powiedzieć; znów się zaśmiał; założyłby się, że już teraz Cichy Jeff żałuje, że był taki gadatliwy!

Do czasu gdy wydostał się z Deer Valley i wspiął się na górski grzbiet, z którego mógł spojrzeć w dół na Long Valley, słońce chyliło się już ku zachodowi, za czarnymi, porośniętymi lasem wzgórzami, rozciągającymi się przed nim. Zatrzymał się na chwilę, nie tylko po to by dać odetchnąć koniowi, ale też by jak zawsze spojrzeć chmurnym wzrokiem na żyzną dolinę, którą Bart Warbuck uczynił swoją własnością. Rozciągała się z północy na południe przez dobre dwadzieścia mil, miejscami była szeroka na pięć lub sześć mil, miejscami na trzy lub cztery mile, obejmując około siedemdziesięciu tysięcy akrów najlepszej ziemi na świecie – i wszystko to należało do Barta Warbucka. Pasły się tu stada bydła, koni, które, jak chwalił się Warbuck, były lepsze od koni Młodego Jeffa Cody'ego, a dalej na północy tysiące owiec. Wszystko to należało do Barta Warbucka. To, czego Warbuck dokonał tutaj, zamierzał zrobić także w Deer Valley.

— Dajcie mi jeszcze pięć lat — mawiał ostatnio Warbuck, będąc gadatliwym człowiekiem i uważając siebie za wielkiego i niepokonanego człowieka — a będę posiadał pięćset tysięcy akrów ziemi i kontrolował kolejny milion. Podążam naprzód jak walec parowy, i każdy, kto znajdzie się przede mną, lepiej niech się wycofa albo przygotuje na to, że zostanie rozjechany i zmiażdżony.

Już w Deer Valley, na północ od Halcyon, nabył Trent Ranch, Deer Track i Box Car Cross. Wyruszył na ich podbój na długo przed tym, zanim

najmądrzejsi nawet z miejscowych ludzi domyślili się, co zamierza zrobić; już był bogaty, wstąpił na drogę, by stać się człowiekiem mile widzianym w najbogatszych sferach. Przez pewien czas w obu bliźniaczych dolinach nazwisko Barta Warbucka było synonimem hojności. Pożyczał pieniądze na lewo i prawo, i można by pomyśleć, że nie obchodziło go, czy one kiedykolwiek do niego wrócą. „Pieprzyć to”, powiadał Warbuck. Ale brał zabezpieczenia hipoteczne. Później ludzie poznali się, jaki był: sprytny, dalekowzroczny, twardy i kuty na cztery nogi.

Zaczął wyrastać ponad wszystkich innych ludzi w tej części stanu. Jego ambicja, która w końcu wyszła na światło dzienne, była równie kolosalna co u Frankensteina. Zbudował dom, który wyglądał jak zamek; na skalistym wzgórzu dominował nad całą doliną i był widoczny z odległości wielu mil. Budował tamy i zajmował się nawadnianiem; w ten czy inny sposób zdobywał prawa do wody, kradnąc je nawet, kiedy tylko mógł. Okopał się za wszelkimi dostępnymi prawnymi wałami; podróżował, by budować wpływy polityczne, tak jak budował swoje górskie królestwo; częstym jego gościem był senator Belknap, który, jak powszechnie uznawano, miał zostać gubernatorem. Warbuck zamierzał uczynić go gubernatorem, a wtedy gubernator Belknap będzie mu to pamiętał i odwdzięczy mu się.

Z miejsca, w którym Młody Jeff siedział na koniu pogrążony w rozmyślaniach, mógł zobaczyć „zamek” Warbucka - Warbuck urodził się i wychował w chacie przypominającej oborę - który łączył w sobie najważniejsze cechy zamku nad Renem, hiszpańskiej hacjendy i najnowszego, najbardziej krzykliwego hotelu w Albuquerque, czyli był spełnieniem marzeń człowieka takiego jak Bart Warbuck. Jeff pomyślał nagle: „Ciekawe, jaka jest teraz Arlene?”. Nie widział jej od trzech lat; przez większość tego czasu była w szkole, podróżowała lub odwiedzała przyjaciół o wielkich nazwiskach i wpływach; dziwne, zdał sobie sprawę, że powinien o niej myśleć. Przez ten czas w ogóle o niej nie myślał - ale większość ludzi nie myślała, chyba że poznali tę małą złośnicę tak dobrze, że utkwiła im w pamięci jak rzep.

— Jedźmy, Ranger — powiedział, ale powstrzymał kasztanka, zanim ten zdążył ruszyć w głąb Long Valley. Spojrzenie młodego Jeffa, oddalające się od położonego o siedem mil domu Warbucków, zostało przyciągnięte przez jakieś poruszające się na dnie doliny postacie, oddalone mniej więcej o milę. Przez chwilę zastanawiał się, co się tam dzieje. W następnej sekundzie, choć nie rozumiał wszystkiego, pojął istotę rzeczy: Na jego oczach rozgrywała się scena ucieczki i pościgu, z jednym jeźdźcem pędzącym na łeb na szyję przez dolinę i sześcioma lub siedmioma jeźdźcami ścigającymi go.

Słońce było już nisko, lecz światło odbijające się od zieleni doliny wciąż było dobre. Odbijało się od luf karabinów, rzucając refleksy prosto w oczy Młodego Jeffa. Widać było nawet szczegóły, które w mniej przejrzystym powietrzu byłyby zamazane przez odległość. Pędzący przed siebie człowiek, jechał na koniu, którego nie można zapomnieć, gdy się go choć raz zobaczyło; koniu, którego nawet z odległości mili łatwo można było

rozpoznać, palomino[1], świecącym jasnym złotem od pęcin po grzywę, niczym zakamuflowany statek. Koniem tym był bez wątpienia Dandy, należący do Buda Kinga - i nikt poza Budem nigdy na nim nie jeździł. Młody Jeff dobrze o tym wiedział. Bud miał ranczo po sąsiedzku, żeby tak to określić, rancza Jeffa. I Bud, podobnie jak Jeff, dałby sobie odciąć prawą dłoń, zanim zaoferowałby jej uścisk Bartowi Warbuckowi. I jeśli cokolwiek było pewne na tym świecie, to to, że zgraja ścigających, byli to ludzie Warbucka. Ręka Jeffa po prostu sama opadła na kolbę karabinu, który spoczywał w futerale u jego siodła.

— Do dzieła, Ranger! — burknął i popędził w dół stoku wzgórza.

Nie widział już pościgu, a las gęstniał wokół niego, aż w końcu i on także zbliżył się do dna doliny. Wtedy zobaczył, że gra wciąż nie jest rozstrzygnięta; Bud King nadal jechał jak diabli, ciągle utrzymywał przewagę, a pozostali wciąż pędzili za nim, zdając się ani nie zyskiwać, ani nie tracić odległości.

— Dobrze, Bud! Nie dadzą rady prześcignąć tego palomino…

Kula karabinowa może jednak poruszać się znacznie szybciej niż człowiek na koniu. Rozległo się kilka strzałów; ktoś musiał wydać rozkaz. Palomino rzucił się szaleńczo, poleciał do przodu i przewrócił się. Jeździec wystrzelił z siodła jak kamień z procy. Jeff nie wiedział, czy wstał, czy nie. Ludzie Warbucka odcięli mu widok, ponownie przyśpieszając, a ponadto rósł tam wielki biały dąb, którego gałęzie, świeżo ozdobione delikatnymi, drobnymi zieleniejącymi liśćmi, przesłaniały to, co się działo.

Zjechał do doliny, wjechał na łagodne wzniesienie i przeraził się tym, co zobaczył. Wszyscy jeźdźcy byli tuż pod nim, tworząc zwartą masę, tylko jeden z nich trzymał się z tyłu. Na poziomym konarze dębu przerzucono linę - wisiał na niej mężczyzna, kopiąc z bólu nogami w pustym powietrzu. To był Bud King w groteskowym tańcu śmierci. Bud zastygł nagle w bezruchu, gdy jeden z Warbucków, być może widząc możliwość przerwania jego mąk, wystrzelił sześciostrzałową serię w udręczone ciało. Gdy ucichł ostatni strzał, ludzie zerwali się i wrócili do swoich wierzchowców, wsiadając na siodła.

Młody Jeff krzyknął do nich, wyciągnął karabin i podjechał pełnym galopem do drzewa, z którego zwisało martwe ciało, kołysząc się coraz łagodniej w malejących łukach. Siedmiu ludzi, którzy znów siedzieli w siodłach, odwróciło się i patrzyło na niego.

Przejechał prosto przez nich, by dotrzeć przede wszystkim do Buda Kinga; jedno spojrzenie wystarczyło, by upewnić się co do tego, co już i tak wiedział. Odwrócił się wtedy, z białymi wargami i oczami wypełnionymi wściekłością, by na nich popatrzeć. Znał czterech z tej siódemki.

Musiał znać tylko jednego, Jima Ogdena, zarządcę Barta Warbucka, głównego zarządzającego ranczem i jego prawą rękę. Pozostali, Nick Balff, Andy Coppler i Injun Long Knife, nie mieli w tej chwili znaczenia.

— A więc wreszcie jawne morderstwo, co, Ogden? — oznajmił głosem ostrym jak tłuczone szkło.

---

[1] Palomino (ang.) – koń maści izabelowatej, czyli rozjaśnionej kasztanowatej – sierść na tułowiu i nogach jest barwy beżowo-złotej, włosie jaśniejsze kremowe lub białe (za stronami PZJ) – przyp. tłum.

Ogden, wysoki człowiek, równie wysoki co Młody Jeff, i o jakieś dwadzieścia funtów od niego cięższy, wyjątkowo przystojny, jasny tak jak Jeff był ciemny, z gęstymi żółtawymi lokami i małymi żółtymi wąsikami oraz długimi rzęsami jak u dziewczyny - mężczyzna mniej więcej w wieku Jeffa, czyli około dwudziestu pięciu lat, nie więcej - uśmiechnął się.

— Witaj, Jeff — odparł uprzejmie, a w kącikach jego szaroniebieskich oczu pojawiły się małe zmarszczki. — Jak leci?

Jeden z mężczyzn parsknął śmiechem; był to Andy Coppler, chudy jak wąż, z oczami podobnymi do ślepi węża, z ręką wyciągniętą po pensję Warbucka, co mówiło samo za siebie, i z reputacją okrutnika i zdrajcy. Pozostali zachowywali pokerowe twarze, wszyscy z wyjątkiem jednego, młodego człowieka, który miał niewiele ponad osiemnaście lat, którego ściśnięta twarz nabrała chorego zielonkawego odcienia, oczy spoglądały zapadnięte z głębin twarzy, a gardło wciąż pracowało.

— Za to będziesz musiał odpowiedzieć, wiesz to, Ogden — oświadczył Jeff.

— Odpowiadam za wszystko, cokolwiek robię — rzucił Ogden. Rozsiadł się wygodnie w siodle i zaczął palić papierosa. — Nic nie możesz na to poradzić, prawda? — Oblizał brzeg bibułki.

— Bud już nie żyje — powiedział Jeff. Włożył karabin z powrotem do pochwy. Jego oczy powędrowały do długiej, szczupłej twarzy Andy'ego Copplera. — To ty go zastrzeliłeś, prawda, Coppler?

— Do diabła z tym, kto go zastrzelił — odparł Jim Ogden. — Zasłużył sobie i dostał za swoje. Morderstwo? Do diabła, nie. Egzekucja. Dobra robota, choć wykonana w pośpiechu.

— Egzekucja? — Jeff nie wypowiedział tego słowa tak po prostu; wycedził to z uniesionymi brwiami, dokładnie tak samo, jak zrobiłby to Cichy Jeff.

— Ten Bud King był szczurem — powiedział Jim Ogden i splunął. — Dziś rano zamordował człowieka, którego nazywał przyjacielem. Zakradł się za plecy starego Charliego Cartera i strzelił mu w tył głowy. Trzech z moich chłopców znalazło się tam w porę, by to zobaczyć. Uciekł w podskokach, a oni tropili go przez cały dzień. Dopiero teraz go dopadliśmy. Może niektórzy zaprosiliby go na wakacje w więzieniu, gdzie mógłby grać sobie w warcaby, jeść i spać. To nie w naszym stylu tutaj, w Long Valley. — Ponownie splunął. — Chodźcie chłopcy, jedziemy.

— Stój, Ogden — rzucił Jeff, a w jego głosie zabrzmiała jeszcze ostrzejsza nuta niż wcześniej. — Przede wszystkim jesteś cholernym kłamcą, twierdząc, że Bud King kiedykolwiek strzelił komukolwiek w plecy. Co więcej, prawdopodobnie zostaną zadane pytania dotyczące tej egzekucji. Znam ciebie, Copplera, Długiego Noża i Balffa. Kim są ci inni ludzie?

— Wszyscy są pracownikami pana Warbucka — powiedział niedbale Ogden. — Wszyscy będą dostępni, gdy ktoś zechce się z nimi zobaczyć. To Frank Bruce, Tod Jones i Pocopoco Malaga. Nie zamierzają uciekać. Każdy, kto chce się z nimi zobaczyć, może ich tu znaleźć w każdej chwili. W porządku, chłopcy? Już tu skończyliśmy. — Popatrzył uważnie na młodego Jeffa, po czym zaczął się cicho śmiać. — Nic na to nie poradzisz, Jeff —

stwierdził drwiąco. — W tym kraju panuje odwieczny zwyczaj, że kiedy złapie się mordercę, od razu się go wiesza i do diabła z więzieniem, sądem, sędzią i ławą przysięgłych. Teraz musimy już znikać. Trochę się śpieszę. Dziś wieczorem w Pioneer jest potańcówka, a ja muszę najpierw zjeść kolację i się ogolić. Do zobaczenia później.

Zawrócili konie i odjechali. Młody Jeff Cody wpatrywał się w nich z największą wściekłością, jaką czuł kiedykolwiek w życiu. Potem na chwilę wyrzucił ich z myśli. Popatrzył na wiszące ciało Buda Kinga, obracające się powoli na końcu liny, kawałka brudnych konopi z gospodarstwa Warbucka. Litościwy cień, schodzący z zachodnich wzgórz, zaczął łagodzić przerażający wygląd świeżo zastygłej w śmiertelnym grymasie twarzy. Usta młodego Jeffa poruszyły się, ale nie odezwał się głośno. Przez chwilę siedział niepewnie na koniu, po czym ruszył w stronę zachodzącego słońca, w kierunku dzikiego bydlęcego miasta Pioneer City.

* * * *

— Zostawiłem go tam wiszącego — opowiadał Jeff. — Nic innego nie mogłem zrobić; mój koń nie zniósłby przewożenia go i… Lepiej że wisi tam niż miałby leżeć na ziemi, gdzie…

Szeryf Dan Hasbrook był posiwiałym starym wygą w wieku prawie równym Cichemu Jeffowi i Billowi Czerwonej Koszuli Morganowi, o intensywnie czarnych oczach, o których ludzie zaklinali się, że czasami mógłby ich użyć do wiercenia dziur w dębowej desce. Był gruby, ciężki, miał szerokie ramiona i chodził utykając, ponieważ kiedyś dostał postrzał w lewe udo; jedno ramię nosił dwa cale wyżej niż drugie, gdyż dostał również postrzał w górną część ciała. Miał wąsy morsa, atramentowo-czarne, identyczne jak u Cichego Jeffa, z wyjątkiem ich barwy, głęboki basowy głos, ręce wielkie jak szynki i serce o kilka rozmiarów większe. Jeśli powiemy o Danie Hasbrooku, że był szeryfem przez siedemnaście lat i wciąż żył, oraz że ciągle cieszył się szacunkiem takich ludzi jak Cichy Jeff, Bill Czerwona Koszula czy Młody Jeff, to być może wystarczy.

Hasbrook dopił drinka, którego trzymał w pogotowiu do końca opowieści. Młody Jeff spuścił wzrok; był w stanie patrzeć wszędzie, tylko nie w pomarszczoną, zniszczoną słońcem i wiatrem twarz Dana Hasbrooka. A to dlatego, że Bud King, który zginął tak paskudnie, pozostawił matkę i dwie siostry. Jego matką była Sadie King z Antelope Valley, urocza, krucha i kochana kobieta, która nie skończyła jeszcze pięćdziesiątki - i to właśnie ona była powodem, dla którego Dan Hasbrook nigdy się nie ożenił. Gdyby Dan był człowiekiem innego pokroju, mógłby znienawidzić jej dzieci; ale będąc taki jaki był, kochał Buda Kinga jak syna.

— Co takiego, Jeff? Co powiedziałeś? — zapytał szeryf, zupełnie nagle. — Och, tak. Jasne, miałeś rację. Zaraz wyślę tam paru chłopaków. — Oczyścił gardło, ponownie sięgnął po butelkę, po czym ją odepchnął. — Jeff — powiedział — Jeff... — zawiesił głos.

Zobaczył, że Jeff zwija papierosa i skinął głową z aprobatą. Jego silne, grube palce zaczęły zręcznie robić to samo. Ponownie przełknął ślinę; gardło zdawało się mu dokuczać.

— Ktoś musi podjechać i powiedzieć Sadie King — powiedział. — Ja nie mogę stąd się ruszyć. Będę musiał kogoś wysłać.

— Ogden nie ma zamiaru próbować się wykręcać, Dan. Sprawa jest jasna i prosta. Zamierzasz pociągnąć go do odpowiedzialności?

— Do diabła, nie — odparł Hasbrook bez wahania. — On to wie. Ty też to wiesz, Jeff. Ta siódemka będzie trzymać się razem, będą przysięgać, że Bud zaatakował starego Charliego, że część z nich widziała, jak to zrobił i ścigali go przez dwadzieścia, trzydzieści mil, żeby go za to powiesić. — Pokręcił posiwiałą głową, po czym mocno ściągnął kapelusz z krzaczastych brwi. — Żaden przysięgły w tym kraju by ich za to nie skazał. Warbuck ma zbyt wielu ludzi, zbyt wiele wpływów i pieniędzy. Zostaw ich w spokoju, Jeff.

— Tak — powiedział Jeff. — Jasne, Dan. To nie ma sensu. Ale...

— Jasne — uspokoił go Hasbrook. — Jasne. — Jego szczęka wyprostowała się; dopóki nie zaczął mówić dalej, wyglądała jakby została zalana betonem i zastygła. — To nie potrwa długo, Jeff. Poszperam trochę. To nie potrwa długo. W międzyczasie, mały, uważaj gdzie chodzisz. Ogden przekroczył granicę. Uważaj. Będziesz rozsądny?

— Bardzo rozsądny — odparł Jeff.

Siedzieli w saloonie Silver Bar. Było jeszcze wcześnie, ale lokal był już wypełniony po brzegi, a to dlatego, że był to wieczór tańców i wszystkie pół tuzina wąskich, krętych uliczek Pioneer City kipiało wręcz tłumem ludzi. Mężczyźni, dziewczęta, z całymi rodzinami, przybywali ze wszystkich stron, aby spędzić noc w Pioneer Dance Hall, ośmiokątnej potworności, zbudowanej wokół najlepszej gładkiej sosnowej podłogi, jaką szczyciły się te góry. Tańce zelektryzowały całą społeczność; mężczyźni, którzy nigdy nie zbliżali się do sali tanecznej, pędzili do miasta, by się zabawić, wypełniać saloony i ciemne zaułki, pić i hulać, grać w pokera, faraona i oczko; upijać się do świtu i sprawić, by noc rozbrzmiewała zgiełkiem stąpających stóp, brzęczących ostróg, gardłowych głosów i raczej częściej niż rzadziej, wystrzałów z rewolwerów. Jeśli nie zostali przyłapani na bijatyce, która przekształciła się w awanturę zwieńczoną latającymi butelkami i strzelaniną, to tak czy inaczej mogli strzelać do latarni lub odgrywać złych ludzi przed jakimiś gapiącymi się nowicjuszami. Orkiestra już stroiła instrumenty, słychać było rzępolenie skrzypiec.

Mężczyźni, nawet ci, którzy nie zbliżali się do sali tanecznej lub co najwyżej stali na zewnątrz i przyglądali się tylko, byli ubrani odpowiednio do okazji, w pełnym stroju wieczorowym, że tak to określimy. Byli ogoleni, niektórzy w swych chatach i barakach dla kowbojów, niektórzy u fryzjera Tony'ego; wszyscy mieli gładkie, mokre i lśniące włosy; ich buty były wypolerowane lub w przynajmniej w jakiś sposób oczyszczone z kurzu. Tegoroczna moda w Pioneer City i okolicach, wymagała głębokich fioletów, pomarańczy i różnych odcieni zieleni, i te barwy królowały w Silver Bar i Slim Branigan's Place, na koszulach i chustach. w całym mieście nie były rzadkością stetsony za czterdzieści dolarów.

Naturalnie w mieście było więcej ludzi Warbucka niż ekip z innych rancz. Pół tuzina z nich, młodych piekielników, którzy jeździli po siedemdziesięciu tysiącach akrów Long Valley, wpadło do Silver Bar, gdy Dan Hasbrook i Młody Jeff zbierali się do wyjścia. Najbardziej pyskatą gębę z całej tej gromady miał młody awanturnik z Teksasu, chudy, niebezpieczny, zimnokrwisty zabójca, który w ciągu kilku tygodni wyrobił sobie i tutaj wątpliwą reputację, niejaki Rick Voorhees. Broń nosił luźno i nisko w kaburach o płowym kolorze; na rękach miał różowe dziewczęce podwiązki, do podtrzymywania rękawów, a do tego jasnoróżową koszulę. Ponadto miał przewieszoną przez ramiona żółtawą skórzaną kurtkę; zaś ogromna chusta luźno przewiązana na szyi, była zielona jak trawa.

Rick Voorhees uważał się za fantastycznego, podobnie jak wiele głupiutkich dziewcząt.

— Słyszeliście nowiny, chłopcy? — zawołał głośno, gdy on i jego towarzystwo podeszli do baru. — Całe piekło ma szałową imprezę. Charlie Carter nie żyje, zastrzelony od tyłu, a Bud King był tym skunksem, który go załatwił. Banda naszych chłopaków posłała Buda pod ziemię i wisi na dębie, w Long Valley - a jeśli komuś nie podoba się sposób, w jaki chłopcy Warbucka zabijają na swoim własnym terenie węże, to serdecznie go zapraszam, by to powiedział.

Zapadła nagła, głęboka cisza, po czym rozległo się szuranie krzeseł, odsuwanie małych okrągłych stolików, skrzypienie nowych butów i nagle wyzwolony szmer głosów, który stopniowo przerodził się w ciężki pomruk. Ludzie, którzy znali Buda Kinga i Charliego Cartera, mieli do zadania pewne pytania; Ludzie, którzy ich lubili, i większość z nich, z wyjątkiem zgrai Warbucka, miała twarde oczy, a wielu z nich zaczerwieniło się na twarzach.

Drzwi wahadłowe zostały ponownie otwarte i do środka weszło kilku mężczyzn. Wszyscy byli pracownikami Warbucka; bez wątpienia Rick Voorhees wiedział, że nadchodzą. Odsunął kapelusz, wsunął kciuki za obwisły pasek i rozejrzał się po sali.

Szeryf i Młody Jeff spojrzeli na siebie kątem oka.

— Idziesz gdzieś w moją stronę, Jeff? — zapytał Hasbrook. — Chciałbym z tobą porozmawiać. Tutaj trochę za bardzo wieje.

Rick Voorhees szturchnął go, wymierzając złośliwe uderzenie łokciem.

— Chodzi ci o mnie, Hasbrook? — oznajmił obraźliwym tonem.

Hasbrook zacisnął jedną ze swych monstrualnych pięści i walnął go celnie i potężnie w podbródek. Rick Voorhees padł jakby dostał postrzał w mózg. Leżał bez ruchu, kompletnie nieprzytomny, i mógł mówić o szczęściu, że nie złamał sobie karku.

— Wygłosił swoją rolę, co do wiersza — zauważył Młody Jeff, gdy obaj przyjaciele ruszyli drewnianym chodnikiem. — Całe piekło szaleje, teraz już na pewno.

— Jasne — warknął Hasbrook. — Jasne.

Rozdział IV

Arlene Warbuck pojawiła się w sali tanecznej niczym orchidea w staromodnym ogrodzie, by objąć królowanie nad wiejskimi dziewczętami, i wszystko układało się po jej myśli - dopóki do środka nie wbiegła mała blondyneczka Chrystine Ward, roześmiana, niebieskooka i śliczna, w eskorcie Joego Elliota, Jimmiego Vane'a i Dicka Lewisa, którzy koniecznie chcieli zatańczyć z nią pierwszy taniec. Arlene uniosła swe gładkie złotobrązowe brwi i jej śliczne czerwone usta ledwie zauważalnie stwardniały. Chrystine Ward, różowo-białe zero, małe pustogłowe nic, była nową nauczycielką w Deer Valley.

Dziedziczka Warbucka przyjechała z Jimem Ogdenem, nowym najlepszym powozem, ciągniętym przez zaprzęg dumnie kroczących gniadoszy, który przewyższał wszystkie inne napotkane na drodze. Miała na sobie prawdziwe klejnoty, których było więcej niż myślała, że kiedykolwiek na siebie założy, a jej suknia sprawiała, iż córki i żony ranczerów szturchały się nawzajem i szeptały, osłaniając usta rękoma, chusteczkami i wachlarzami. Wiadomo było, że jej suknia pochodzi z pewnego ekskluzywnego sklepu na Piątej Alei, aż z Nowego Jorku; mogła być zrobiona z promieni księżyca i zszyta nićmi wyrwanymi z tęczy; była, jak na tamte czasy i miejsce, wyzywająco nisko wycięta i wystawiała na publiczny widok dużo ślicznych białości Arleny Warbuck. Strój młodej dziedziczki uzupełniały długie białe rękawiczki i urocze pantofelki na wysokim obcasie, z błyszczącymi klamerkami. Wokół niej unosił się delikatny, uwodzicielski zapach, niczym ciepła, niewidzialna mgiełka z różanego ogrodu.

Odwróciła się nagle i zobaczyła wyraz twarzy Jima Ogdena. On również spoglądał na małą, żwawą Chrystine Ward. Arlene przygryzła wargę; Jim Ogden i ona, byli jedynymi ściśle formalnie ubranymi osobami na dzisiejszym wieczorze; Ogden był kimś więcej, a w każdym bądź razie kimś innym, niż zwykłym kowbojem; mieszkał w wielu miejscach, wśród wielu różnego rodzaju ludzi; dziś wieczorem w czarnym garniturze, białej koszuli i lśniących butach wyglądał nie tylko przystojnie, ale i „dystyngowanie".

— Zatańczymy to, Arlene? — zapytał szybko.

Arlene uśmiechnęła się i objęła go ramieniem. To była skoczna polka. Tańczyli, Arlene śmiała się lekko, Jim Ogden nie spuszczał z niej oczu i mówił jej, że jest tylko jedna dziewczyna na całym świecie. Mała Chrystine, tańcząca z Joe Elliotem, wciąż odwracała głowę, obserwując ich, utrzymując uśmiech w ryzach, gotowa wypuścić go na twarz w chwili, gdyby zdołała przyciągnąć wzrok Jima Ogdena.

Młody Jeff, przedarłszy się przez tłum stojący na werandzie i blokujący drzwi, zobaczył wejścia obu kobiet, zarówno Arlene jak i Chrystine, mające miejsce jedno po drugim. Patrzył, jak tańczą, włączył się do towarzyskich rozmów i zastanawiał się leniwie, co się tutaj dzieje. Taniec dobiegł końca, a on zobaczył, że Arlene Warbuck odnalazła go błądzącym spojrzeniem swoich miękkich, szarych oczu; natychmiast ogrzała je szybkim uśmiechem. Zauważył też, że trzech lub czterech mężczyzn zmierza w jej kierunku, a kolejnych trzech lub czterech w kierunku małej nauczycielki. Rzucił się pędem do Chrystine.

— O, Jeff! — zawołała, gdy uścisnęli sobie dłonie jak starzy przyjaciele. — Nie widziałam cię od wieków! — Zrobiła lekki grymas, mając usta stworzone do takich właśnie minek, tak miękkie, różowe i pucołowate. — Czyż nie jeździsz już więcej przez Deer Valley? Pamiętasz, kiedy... —

Następnie zatańczyli schottische, taniec wolniejszy[1]. Zobaczył, że Arlene i Jim Ogden znów tańczą razem. No cóż, dzisiejszego wieczora nie było tu zbyt wielu mężczyzn, z którymi Arlene mogłaby zatańczyć. Zatańczyłaby z nim, gdyby ją poprosił; jej oczy już mu to powiedziały. Zdecydował, że jej nie poprosi.

— Czy musisz mnie tak mocno ściskać? — zaśmiała się Chrystine.

— Przepraszam — odparł Młody Jeff.

— Naprawdę? — powiedziała Chrystine.

W końcu Jim Ogden spojrzał na nich, ponad głową Arlene Warbuck; Młody Jeff przypadkiem wychwycił błysk w oczach Ogdena. Oho! Ogden, giermek córki Warbucka, był zainteresowany małą trzpiotką Chrystine, tak? Młody Jeff zaczął się do niej przymilać; będąc tylko człowiekiem, nie mógł postąpić inaczej.

— Czy uważasz, że panna Warbuck jest bardzo ładna? — spytała Chrystine.

— Ty jesteś — odpowiedział Młody Jeff.

Chrystine wtuliła się mocniej w jego ramiona.

— Nie zapomniałeś o szlaku przy szkole, prawda, Jeff?

— Może jutro — obiecał.

Była taka malutka, że puszysty czubek jej głowy znajdował się kilka centymetrów poniżej jego podbródka. Nie zauważył, jak jej policzki rozgrzały się do odcienia płatków dzikiej róży; widział za to spojrzenia, które posyłała mu Arlene: Spodziewała się go w następnym tańcu.

— Niech piekło pochłonie wszystkich Warbucków — powiedział sobie w duchu.

Po schottische nastąpił walc, który młody Jeff Cody zatańczył z Arlene Warbuck. Jim Ogden, zwalniając ją, powiedział:

— Cześć, Jeff.

Jeff odpowiedział:

— Zatańczy pani, panno Warbuck?

Już w jego ramionach Arlene powiedziała:

[1] Schottische – popularny w XIX wieku taniec towarzyski, wywodzący się z Czech (przyp. tłum.).

— Więc teraz jestem panną Warbuck, co, Jeff? — Królowa była skłonna do łaskawości, być może podekscytowana zdradą Jima Ogdena i przeniesieniem się jego zainteresowania w inne miejsce.

— Nie widziałem cię od trzech lat — powiedział Jeff. — Ledwo cię poznałem.

— Ale pamiętałeś, że minęły trzy lata, nieprawdaż, Jeff? — Nie odpowiedział, a ona spytała, udając obojętność i jedynie zdawkową ciekawość: — Kim jest ten mały kłębuszek puchu, z którym tańczyłeś?

— Ta, do której teraz przystawia się Ogden? — powiedział. — Jest nową nauczycielką w Deer Valley. Powinnaś ją znać, twój ojciec załatwił jej miejsce.

Zaczął zadawać sobie pytanie, dlaczego poprosił Arlene do tańca. Czy tylko dlatego, że była dziewczyną i to bezsprzecznie najpiękniejszą dziewczyną w zasięgu wzroku? A może dlatego, że Jim Ogden…

— Co sprawiło, że zdecydowałeś się na taniec ze mną? — spytała nagle Arlene.

To pytanie spowodowało, że zachichotał. Odpowiedział szczerze:

— Wiesz, Arlene, tak po prostu się zastanawiałem!

— Wiem, że między twoim znajomymi a Warbuckami, nie ma specjalnej miłości — oznajmiła ostro. — Nienawidzisz mojego ojca, prawda, Jeffersonie Cody?

— Nienawidzę? — Wzruszył ramionami. — Może to odpowiednie słowo. A co z nim?

— To największy, najodważniejszy mężczyzna w całym kraju! — wykrzyknęła gotowa do walki o Barta Warbucka

— Bez wątpienia też najbogatszy — stwierdził bardzo krótko Jeff. Skoczyli taniec i ruszyli w stronę części sali, w której znajdowały się ławki.

— Nie tylko najbogatszy, ale i najbardziej wpływowy…

— No pewnie. Pieniądze kupują wpływy, a wpływy przynoszą pieniądze, więcej pieniędzy.

W jej oczach pojawił się niebezpieczny błysk. Potem zaczęła się delikatnie śmiać.

— Wojny ojców przechodzą na dzieci, prawda? Tylko dlatego, że twój ojciec i mój… Jeff, dlaczego nie możesz być rozsądny? Ojciec chciałby z tobą porozmawiać, wiem o tym. To ci nie zaszkodzi.

Dotarli do jej miejsca przy jednej z ławek, a on pożegnał się:

— Dziękuję, panno Warbuck, za taniec.

Ale kiedy odwracał się by odejść, zatrzymała go jej dłoń na jego rękawie, muśnięciem niewiele bardziej wyczuwalnym niż dotyk spadającego płatka śniegu.

— Jeff, tata chciałby z tobą porozmawiać. Myślę, że byłoby mądrze, gdybyś się z nim zobaczył. Wpadniesz do niego - powiedzmy jutro?

Pokręcił przecząco głową.

— Nie ma sensu, Arlene. Nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia. Nawet nie mówimy tym samym językiem.

— A gdybym cię poprosiła? Jako o przysługę dla mnie? Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ty i ja, Jefferson.

— Byliśmy wtedy tylko dziećmi. Nie wiedzieliśmy, o co w tym wszystkim chodzi. — Przyjrzał się jej uważnie i szczerze, po czym wzruszył ramionami. — Zmieniłaś się, wiesz, Arlene.

— I nie na lepsze?

— Teraz jesteś w pełni Warbuckiem. — Mogła to odebrać, jak jej się podobało.

Przyjęła to z twardniejącym spojrzeniem dużych szarych oczu. Uśmiech niebezpiecznie bliski szyderstwa sprawił, że jej usta również stwardniały.

— Jak pan sobie życzy, panie Młody Jeffie Cody — odparła lekko. — Aha, jeszcze jedno, zanim odejdziesz; właśnie słyszałam końcowy fragment plotki, coś o jakichś kłopotach, które dzisiaj miały miejsce. Zabity człowiek - dwóch ludzi? Co z tym, Jeff?

— Możesz zapytać Ogdena. O przekaże ci taką wersję, jaka ci się spodoba.

— Może go i zapytam. A może chciałabym, żebyś ty też mi to powiedział.

— To nie zajmie zbyt wiele czasu. Ktoś zamordował Charliego Cartera. Och, pewnie nic o nim nie wiesz, to tylko stary mieszkaniec lasu. Po południu, tuż przed zachodem słońca, zamordowano kolejnego człowieka. Nazywał się Bud King. Wisi teraz na sznurze, cały podziurawiony kulami, na starym dębie w Long Valley – waszej dolinie.

Białe ramiona Arlene uniosły się drżąco.

— Kim był Bud King, Jeff? Kto go zabił? Dlaczego?

— Był moim przyjacielem — odparł krótko Jeff. — Został zamordowany przez Ogdena i sześciu innych ludzi Warbucka. Zabili go, aby zatuszować inne morderstwo i usunąć go z drogi.

— Wisi tam teraz - w Long Valley? — wykrztusiła. — I był twoim przyjacielem, a ty przyszedłeś na tańce, żeby flirtować z Chrystine Ward, żeby zatańczyć też ze mną... Och, zrobiłeś się twardy, Jeffie Cody!

— Nawet za tysiąc lat Bud nie będzie bardziej martwy niż dziś wieczorem — powiedział jej. — Twardy? No cóż, mężczyzna musi taki być.

Zostawił ją, poczekał na okazję i wrócił do tańca z Chrystine. Dlaczego? Sam do końca nie wiedział. Może po to, by dręczyć Jima Ogdena? Podrażnić się z Arlene? A może po prostu dlatego, by zatopić bieżącą chwilę i wszystkie wynikające z niej poważniejsze obawy, w tych dużych, ślicznych, niebieskich oczach małej blond nauczycielki?

No cóż, rozejrzał się już jak tutaj stoją sprawy i niezależnie od tego, czy było to trudne, czy nie, nie był już zainteresowany tańcem. Odwrócił się w stronę drzwi, mając inne rzeczy na głowie, gdy zobaczył Ricka Voorheesa przedzierającego się przez stojący na zewnątrz tłum. Twarz Voorheesa była trupio biała, a oczy mordercze.

Jeff zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć i zastanowić się, co się dzieje. Voorhees posyłał swe wypatrujące spojrzenia w prawo i w lewo, szukając kogoś; w końcu spoczęły one na Jimie Ogdenie. Voorhees wykonał jakiś nieznaczny gest ręką i wyszedł. Chwilę później Jim Ogden skierował się w stronę drzwi.

Jeff podążył za nim i ze schodów werandy dostrzegł sylwetki obu ludzi idących szybko ulicą. Zbliżyli się do Silver Bar, ale nie skręcili do niego. Grupa mężczyzn, może z tuzin, stała przy wahadłowych drzwiach; natychmiast, jakby im ktoś rozkazał, ruszyli za Ogdenem i Voorheesem.

Bez wątpienia byli to ludzie Warbucka. W głębi ulicy, gdzie główna arteria stawała się węższa i ciemniejsza, znajdował się saloon Stage Stop; plotka głosiła, że należał obecnie do Warbucka.

— Są czymś mocno zaaferowani — pomyślał młody Cody. — Coś się szykuje. Po tym, jak dziś rano zabito Charliego Cartera, a po południu Buda Kinga - Warbuck coś kombinuje i przyspiesza sprawy.

Nagle zawołało na niego kilka głosów, gdy dostrzegła go inna, mniejsza grupa ludzi stojących u wylotu uliczki, przy której znajdował się Silver Bar.

— Cześć, Jeff! Chodź tutaj.

Zatrzymał się, próbując przebić wzrokiem ciemność.

— Kto tam? — zaczął się dopytywać.

Okazali się przyjaciółmi i dołączył do nich. Byli to Steve Bannister, Hank Fellowes, Ed Spurlock, Sam Harper i dwóch chłopców Jamesona, wszyscy byli ranczerami i jego sąsiadami, zajmującymi ziemie w dalszej części okolicy, sąsiadującej z górnym biegiem Wandering River.

— Co to za wieści, Jeff? — chcieli wiedzieć.

— Chciałbym móc zgadywać — powiedział im.

— O co chodzi z tym, że Bud King zabił starego Charliego Cartera, a potem za to zadyndał? Chłopcy z Long Valley nie mają nic przeciwko temu, że mówi się o ich udziale w tej sprawie. A teraz mówi się też o bójce w Silver Bar - ty, Hasbrook i Rick Voorhees.

Słuchali w ciszy, gdy opowiadał o tych rzeczach, ich twarze ginęły w cieniu szerokich rond kapeluszy, a twarde, szczupłe ciała były nieruchome jak posągi. Nikt nie odezwał się od razu, gdy skończył swój wykład; słyszał, jak co najmniej paru z nich bierze głęboki, cichy oddech. Potem Ed Spurlock spytał bezdźwięcznym, zdecydowanym tonem:

— Warbuck?

Młody Jeff przytaknął.

— Oczywiście.

Inni skinęli lekko głowami.

— Dziś wieczorem w mieście musi być dwudziestu pięciu, może trzydziestu ludzi z Long Valley — zauważył Spurlock. — Wygląda na to, że jeśli prowadzą jakąś grę, to są gotowi poprzeć ją siłą.

— Tak — zgodził się Młody Jeff. — Bart Warbuck nigdy w życiu się nie cofnął.

Inny z mężczyzn - był to Walt Jameson, który ledwie co wyrósł ze swoich pełnych zapału nastu lat - powiedział:

— Ciekawe, jak to wszystko się zgadza, co?

Jeff spojrzał na niego. Walt dodał:

— Właśnie się dowiedzieliśmy, że Warbuck wykupił Pioneer City Bank.

To była wiadomość, która w różnych kręgach musiała wywołać konsternację. W głosie Jeffa zabrzmiała nuta niedowierzania, gdy spytał:

— Trudno w to uwierzyć, Walt. Jesteś pewien, że to nie jakaś pomyłka? Chcesz powiedzieć, że Melvin nas sprzedał?

— Sprzedał się Warbuckowi, jeśli o to ci chodzi. W jakiś sposób Warbuck musiał znaleźć haka również i na niego. Trochę kiepsko, co, Jeff?

Jeff nic nie odpowiedział, nie było takiej potrzeby. Wszyscy ranczerzy w ciągu ostatnich kilku lat przeżywali ciężkie czasy; nie było wśród nich człowieka, który by kiedyś nie poszedł do banku po pożyczkę. Znali Melvina przez całe życie; grał z nimi fair i dobrze na tym wychodził. Ale „w jakiś sposób Warbuck musiał znaleźć haka również i na niego". Warbuck przejął wszystkie hipoteki. Wśród nich była hipoteka na ranczo Młodego Cody'ego - a Arlene powiedziała mu, że może mu się opłacić rozmowa z jej ojcem!

— Gdzie jest Dan Hasbrook? — spytał ostro. — Ktoś go widział?

— Dlaczego pytasz?

— Właśnie mówiłem wam, co zrobił Rickowi Voorheesowi. Voorhees to jadowita żmija; przed chwilą go widziałem i to, co miał w oczach, było oczywiste, łatwe do zobaczenia przez każdego. A gdyby coś się stało Hasbrookowi, Warbuck na pewno by nie płakał, prawda? Dan powiedział mi, że chciałby dzisiaj trochę powęszyć...

— Widziałem go niecałe dziesięć minut temu — odezwał się Bannister. — Szedł w dalszą część ulicy.

— Chodźmy — powiedział Jeff. — Ulicą do Stage Stop. Voorhees, Jim Ogden oraz ich zgraja zmierzali w tamtym kierunku. Widzieliście ich...

Wystrzał z rewolweru huknął wyjątkowo głośno w poprzedniej ciszy otulającej ciemne ulice Pioneer City. Wydawało się, że był to sygnał do kolejnych strzałów. Dobiegały one z dalszej części ulicy, gdzieś z okolic saloonu Stage Stop.

Ludzie znad Wandering River rzucili się biegiem, by dowiedzieć się, o co chodzi, i pomóc, jeśli okaże się, że było tak, jak myśleli.

Rozdział V

Dan Hasbrook krył się w kącie. Przyciągnął do siebie stół do pokera i przykucnął za nim, używając go jako barykady. Nad jego kudłatymi brwiami widoczna była jaskrawoczerwona linia, z której krew spływała mu do oczu. On jednak osłaniał tylko oczy grzbietem lewego przedramienia oraz dłoni, i strzelał dalej.

Ludzie znad Wandering River, wpadli do Stage Stop jak rozjuszone stado, mieli już broń w rękach. Widzieli, co się dzieje: Tłum ludzi Warbucka przycisnął Hasbrooka ogniem, a prawdziwym cudem było to, że szeryf nie został jeszcze załatwiony na zawsze. Był tam Rick Voorhees, przeklinający, kucający i strzelający tak szybko, jak tylko był w stanie pociągać za spust, posyłając w powietrze białe sosnowe drzazgi wyrwane z przewróconego stołu do pokera. Bliżej baru stał Jim Ogden, strzelając bardziej metodycznie, a jego ogień rozmieszczony był na chłodno. Inni ludzie z Long Valley pomagali im jak mogli. Ich celem był tylko stół, czoło Dana Hasbrooka lub jego dłoń trzymająca dymiący pistolet.

Na odgłos tupotu biegnących stóp na chodniku na zewnątrz, a następnie trzasku otwieranych wahadłowych drzwi, ludzie z Long Valley odwrócili się, by ktoś nie zaszedł ich z tyłu, i na ułamek sekundy w Stage Stop zapanowała intensywna cisza.

Spojrzenia Młodego Jeffa i Jima Ogdena zderzyły się ze sobą, ale w tej chwili na Jeffie i Ogdenie skupiło się wiele twardych, gniewnych oczu.

Była to jedna z tych przyprawiających o palpitację serca chwil, gdy zakrzywione na spustach palce spoczywają na nich nieruchomo jak śmierć i równie zabójczo. Gdyby nie pewna rzecz, która wydarzyła się moment później, wynik tej całej sprawy mógłby być tylko jeden – całe mnóstwo ludzi zabitych w strzelaninie.

Ledwie jednak ludzie znad Wandering River wpadli do środka, z młodym Jeffem Codym na czele, gdy nadbiegł również inny człowiek i jego głos, rozdarł krótką chwilę ciszy niczym grom w spokojny letni dzień. Krzyknął:

— Stać! Stójcie, przeklęci głupcy!

Był to głos, który raz usłyszany nie mógł już zostać zapomniany, głos Barta Warbucka, dźwięczny jak dzwon, zwłaszcza gdy Bart Warbuck był tak silnie poruszony jak teraz. Wszyscy obecni tam ludzi Warbucka zastygli w bezruchu, a nawet ludzie znad Wandering River na moment ulegli czarowi tego głosu.

Jeden człowiek w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Był to Dan Hasbrook. Widzieli ranę nad jego brwią, ale żaden z nich nie wiedział, tak

jak Dan, o innych dziurach po kulach w jego ciele. Myślał, że umiera i nie miał zamiaru umierać, nie zabierając ze sobą towarzystwa.

— Ty, Voorhees! — krzyknął, a jego głos zabrzmiał jasno i wyraźnie. Poderwał się na nogi, odsuwając stół z drogi. — To sprawa między wyłącznie nami. Ty…

W następnej chwili Dan i Rick Voorhees wystrzelili jednocześnie. Dan Hasbrook, zdołał ustabilizować rękę i strzelił Rickowi Voorheesowi prosto w serce. Kiedy Voorhees, który na zawsze pozbył się całej swojej złej dumy, padł martwy, Dan Hasbrook stracił równowagę, szaleńczo się wykręcił i upadł na podłogę. Na jego twarzy pojawił się dziwny, krzywy grymas; znowu był pewien, że umiera, lecz teraz był jeszcze bardziej pewien, że Rick Voorhees również już nie żyje.

Warbuck krzyknął ponownie, lecz jego okrzyk był niepotrzebny. Walka była skończona. Ludzie zaczęli chować broń do kabur.

— Co się tu dzieje, do cholery? — warknął Warbuck.

Młody Jeff odsunął go z drogi i pośpieszył do Dana Hasbrooka. Tuż za Jeffem hurmą przybiegli jego przyjaciele. Warbuck obrzucił ich gniewnym wzrokiem, wyłowił spojrzeniem Jima Ogdena i pospiesznie odciągnął go na bok. Ich przyciszona rozmowa nie dotarła do ludzi pochylających się nad leżącym szeryfem.

— Jest cały postrzelany od góry do dołu — powiedział Spurlock. — Zabili go, do cholery.

Jeff próbował wyczuć bicie serca Dana.

— Jeszcze bije — wycedził przez zęby. — Pomóżcie mi przenieść go na zaplecze. Jeden z was niech pędzi po lekarza.

Bart Warbuck pośpieszył naprzód.

Był człowiekiem, który dominował w większości sytuacji. Tę również zamierzał zdominować. Ten wielki mężczyzna o śniadej cerze i beczkowatej klatce piersiowej, o gęstych czarnych włosach na głowie i takich samych gęstych czarnych włosach na grzbietach dłoni i nadgarstków, o dużym nosie i potężnych szczękach, wręcz promieniował siłą aroganckiej męskości. Wśród większości ludzi był tym, czym ogier pośród wałachów, maszyną do tratowania pod stopami wszystkiego, co było słabsze od niego, dyktatorem dla niepewnych, żelazną pięścią wymierzoną w twarz większości.

— Cofnij się i wynoś się stąd, Warbuck — oznajmił Ed Spurlock — albo rozwalę ci gębę serią kul.

Bart Warbuck nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Padł na kolana nad Hasbrookiem, obok Jeffa Cody'ego. Wysunął swoją dłoń, razem z dłonią Jeffa, aby wyczuć pulsowanie serca Dana Hasbrooka.

— Do diabła — stwierdził i przykucnął na piętach. — Chyba znowu mu się uda. Do zabicia Dana Hasbrooka potrzeba czegoś więcej niż klapsa w twarz.

Przenieśli nieprzytomnego szeryfa na zaplecze, gdzie oprócz stołu i krzeseł znajdowała się stara sofa. Dopiero gdy Hasbrook spoczął na sofie, Młody Jeff zdał sobie sprawę, że to Bart Warbuck pomógł mu nieść ten bezwładny ciężar. Odsunął się, popatrzył na swoje lepkie od krwi dłonie,

wytarł je w chustę, którą w tym celu ściągnął z szyi, po czym popatrzył na Warbucka.

— Wyjdzie z tego, Cody — rzucił Warbuck. — Postaram się, żeby tak było. Chodźmy stąd. Chcę z tobą porozmawiać.

— Tak? — powiedział Jeff, wyprostował się i rozmasował sobie plecy.

— Tak. Nie wiem, o co była ta kłótnia, ale wiem, że dotyczyła głównie Hasbrooka i tego młodego piekielnika, Ricka Voorheesa. No cóż, Rick nie żyje, a Dan żyje i to koniec. Teraz są inne rzeczy do obgadania.

— Na przykład co? — spytał Jeff.

— Nie możemy rozmawiać tutaj. Chodźmy do hotelu.

Jeff pomyślał: „Powinienem zabić tego człowieka teraz, póki mam na to szansę, a gorąca krew wciąż buzuje w żyłach. To byłoby tak jakby zastrzelić wilka; nie ma sezonów ochronnych na leśne wilki."

— No i? — dodał ostro Warbuck.

— Pewnie — odparł Jeff. — Pewnie. Porozmawiajmy.

Tutaj nie było już nic więcej do roboty; Doc Jones przybiegnie ze swoją starą czarną torbą, a Dan Hasbrook umrze albo nie. Pewnie, pójdzie z Warbuckiem.

* * * *

W hotelu dwa pokoje zawsze były zarezerwowane na potrzeby Warbucka, jeden jako sypialnia, drugi z długim stołem, sofą i kilkunastoma krzesłami. Bart Warbuck upewnił się, że jedne i drugie drzwi są zamknięte na zamek; rozsiadł wygodnie, balansując na tylnych nogach krzesła, stopy położył na stole. Zwykle palił cygara i teraz zapalił jedno z nich.

— Napijesz się, Jeff?

— Nie. Co ci chodzi po głowie?

— Sporo. — Warbuck przyjrzał mu się, jakby nigdy wcześniej go nie widział. — Jaka jest twoja cena, chłopcze?

Jeff usiadł na krześle, opierając się o ścianę. Nic nie odpowiedział.

— Tak, powiedziałem cena — powtórzył Warbuck. — Jestem handlowcem, kupuję na prawo i lewo. Kupię ciebie, z rogami, kopytami i skórą. Chcę, żebyś mi pomagał. Podaj swoją cenę.

— Skąd ten pomysł, że mógłbyś zrobić ze mną interes, Warbuck?

— Mogę zrobić interes z każdym, jeśli zapłacę mu wystarczająco dużo.

— Tak myślisz?

— Wiem, że tak.

— Jak cholera! Idź więc i kup Cichego Jeffa. Albo starego Billa Morgana Czerwoną Koszulę!

— Ja mówię o żywych ludziach. Oni nie żyją od dwudziestu lat.

— Umarli razem z Halcyon?

— Umarli razem z Halcyon. Są tak samo martwi jak to miasto.

Jeff przypomniał sobie kawałki kwarcu, które znalazł w chacie Charliego Cartera, kwarcu pełnego złota; przypomniał sobie, co mówił o nim Bill Czerwona Koszula. Zauważył zamyślony:

— Tyle, że może Halcyon wcale nie jest martwy, Warbuck. Może tylko uśpiony? Może powinien się obudzić i zacząć żyć jak dawniej?

Warbuck wyrzucił w górę swe grube ramiona.

— Skoncentrujmy się na jednej sprawie na raz, chłopcze — powiedział. — Chcę cię mieć na swojej liście płac.

Jeff pomyślał o swej hipotece w banku Pioneer City. Warbuck był teraz jego właścicielem i mógł go naciskać.

— Co za tym stoi, Warbuck?

— Zaczniemy od umorzenia twojej umowy na hipotekę. To już prawie jedenaście tysięcy dolarów, prawda, z odsetkami?

— Na czym polegałaby moja praca?

— Przyjmowałbyś ode mnie polecenia.

— Miałbym robić wszystko, co powiesz?

— Wszystko. — Warbuck przekręcił cygaro. — Wszystko.

— Może jako wynajęty zabójca?

— Mam wystarczająco dużo zabójców. Nie są też aż tacy drodzy.

Wziął w dłonie pudełko zapałek. Jeff obserwował jego duże, brutalne palce.

— W każdym razie, nie boisz się mówić tego, co ci leży na sercu, prawda?

— Ja niczego się nie boję — odparł Warbuck.

— A gdybym ci powiedział to, co ja mam ochotę ci powiedzieć? A gdybym powiedział: „Możesz iść do piekła, Warbuck”?

Owłosione palce Warbucka złamały zapałkę, złamały, jakby była to jakaś żywa istota, jakby łamał jej kręgosłup.

— To byłaby odpowiedź — stwierdził i przerzucił połamane kawałki przez ramię.

Jeff skręcił papierosa, po czym wstał.

— Będę już szedł — powiedział bezdźwięcznie.

— W porządku — odparł Warbuck. — Nie śpiesz się, chłopcze, przemyśl to. Jeśli jesteś ze mną, wpadnij na ranczo to porozmawiamy. — Rzucił pudełko zapałek na stół. — Zapałki, chłopcze? — spytał.

— Nie, dzięki — odpowiedział Jeff. Podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł. Choć nie odwrócił się, by spojrzeć za siebie, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wzrok Warbucka wwierca mu się w plecy.

Pokoje Warbucka znajdowały się na parterze, z tyłu. Jeff przeszedł przez pogrążony w półmroku hol i wyszedł na frontową werandę, gdzie, z wyjątkiem słabo oświetlonej ścieżki biegnącej od drzwi, było zupełnie ciemno. Wzdłuż ulicy dostrzegał tylko niewyraźne, cieniste kształty; materializowały się one w postaci ludzi dopiero, gdy znaleźli się przed Silver Bar i skręcali, aby wejść do środka.

Usłyszał muzykę, która szalała w sali tanecznej; był to taniec w kwadracie, a zawadiacki głos Eddiego Peppera wywoływał figury:

— Duzi w prawo i w lewo! Panowie do przodu i do tyłu! Panie do przodu i do tyłu! Wszyscy chassé!

W czasie całej tej zabawy nawet nie usłyszeli strzelaniny w saloonie Stage Stop.

Stał zadumany, spoglądając na Pioneer City w ciemności, słuchając miasta, wyczuwając jego najdalsze regiony, a zapomniany papieros zaczął się rozpadać i sypać drobinkami tytoniu. Rozmyślał o różnych rzeczach: O małej Chrystine, puszystej i roztrzepanej, a jednak w jakiś sposób bystrej; o Arlene, którą tak zmieniły lata, która stała się na wskroś Warbuckiem; o Charliem Carterze, martwym w swojej chacie w Pocket Canyon z kulą w tyle głowy; o Budzie Kingu huśtającym się na dębie w Long Valley; o kryjącym się w kącie Danie Hasbrooku i Ricku Voorheesie postrzelonym prosto w serce; o Barcie Warbucku z włosami na rękach, cygarem i wrażeniem dyktatora; o sposobie, w jaki Jim Ogden postępował z Arlene i Chrystine Ward; o Sadie King, czekającej na powrót Buda do domu, a zamiast tego słyszącej, jak jakiś inny mężczyzna wjeżdża na podwórze, przynosząc jej wieści o tym, co się stało; o starej kobiecie w Dziurze Wiedźmy, chichoczącej ze złych rzeczy, wiedzącej już o morderstwie Charliego Cartera… Jego zamglony nastrojem wzrok przykuła drobna, śpiesząca się postać, dziewczyna z dużym szalem narzuconym na głowę, przechodząca szybko przez ulicę i kierująca się w stronę hotelu.

Dostrzegł jej białą sukienkę, delikatnie uniesioną z powodu kurzu na drodze, oraz bladoniebieskie buty i pończochy, wyglądające na białe w słabym świetle. Była to oczywiście jakaś dziewczyna, która wymknęła się na chwilę z tańców; tak zupełnie bez eskorty, i o tak wczesnej porze, nie mogła pewnie oddalić się na dobre.

Wbiegła po schodach, niemal ocierając się o niego i nie zauważając jego szczupłej, ciemnej postaci stojącej w cieniu, a on zorientował się, że to Chrystine Ward. Pośpieszyła korytarzem, a gdy ucichł szybki, miękki stukot jej stóp, usłyszał jej lekkie pukanie, delikatne uderzenia jej miękkich knykci o drzwi. Słychać było jak drzwi się otwierają, a następnie dobiegł do niego gniewny głos Warbucka:

— Ty cholerna mała głuptasko!

Potem drzwi się zatrzasnęły. Chrystine jednak nie przybiegła z powrotem. Została z Warbuckiem.

Jeff stał tam i czekał, nie bardzo wiedząc, na co czeka, pięć minut, dziesięć minut. Dziewczyna nie wyszła. Nie mógł tego zrozumieć. Bart Warbuck nie miał opinii człowieka, który lubiłby zabawiać się z małymi blond flirciarami. Dzisiejszego wieczora Warbuck miał głowę i ręce zajęte innymi, poważniejszymi sprawami. Ale skąd, u diabła, Chrystine wiedziała, że ma tu pokoje? I że będzie w nich dziś wieczorem? I gdzie się one znajdują?

— Każdy człowiek ma w sobie jakieś słabe miejsce — zdecydował. — Każdy mężczyzna prędzej czy później zrobi z siebie głupca - albo pozwoli jakiejś kobiecie by zrobiła go z niego. Zdaje się, że Warbuck nie jest silniejszy od Samsona.

Wrócił do Stage Stop, by sprawdzić, jak radzi sobie Dan Hasbrook. Hasbrooka już tam nie było; lekarz pospiesznie go zbadał i kazał odwieźć do domu, oddalonego o pół tuzina przecznic. Chłopcy z Wandering River zabrali kanapę razem z Danem i zanieśli szeryfa do jego własnego pokoju.

— Czy ma szansę by z tego wyjść, Doc? — zapytał Jeff.

— Do diabła, tak — odparł doktor Jones. — Gdyby nie to, że krwawi jak wieprz, nie martwiłbym się o niego ani trochę; widziałem już postrzelonego Dana. Ma duże szanse, większe niż pół na pół. Jest tylko jedna rzecz, która działa przeciwko niemu.

— Co to jest? — spytał Jeff.

— To jego lekarz — prychnął stary doktor Jones. — Zabiłem paru lepszych ludzi niż Dan Hasbrook. A teraz, chłopcy, możecie się stąd wynosić.

Gdy wyszli, Ed Spurlock zrównał krok z Jeffem.

— Dokąd zmierzasz, Cody? — zapytał.

— Do domu — odpowiedział Jeff.

Spurlock odparł:

— Ja też. Pojadę z tobą.

Poszli ciemną uliczką do stajni, mijając tyły hotelu. Żaluzje były opuszczone, ale Jeff widział niewyraźne linie światła rzucane przez lampę Warbucka. Zastanawiał się, czy Chrystine wciąż tam jest, a przede wszystkim zastanawiał się, co ją sprowadziło do Barta Warbucka.

Obaj mężczyźni osiodłali konie i wyjechali w ciemną, rozjaśnianą tylko gwiazdami noc; ciemność była tak ciężka, że gwiazdy wydawały się w niej stłumione, niczym niezliczone maleńkie punkciki, niczym odległe zimne diamenty.

— Chcę jeszcze raz przejechać obok hotelu — powiedział Jeff. — Trzymaj się trawy na poboczu, żebyśmy nie hałasowali.

Prowadził, a Spurlock podążał za nim, nie zadając pytań, które musiały pojawić się w jego głowie. Naprzeciw okna Warbucka Jeff zatrzymał się, a Spurlock podjechał do niego. Nie było nic widać oprócz czarnej bryły budynku i tych niewyraźnych linii światła spoza żaluzji, nic nie było słychać oprócz dobiegającej z oddali tanecznej muzyki.

Spurlock zobaczył, że Jeff unosi rękę i zdaje się czymś rzucać. Rozległ się brzęk odłamków szkła i zaskoczony kobiecy krzyk.

— Niech mnie diabli — stwierdził mocno zaintrygowany Spurlock. — Stary Warbuck ma tam ze sobą dziewczynę!

— Jedźmy, Ed — powiedział Jeff i ruszył przodem, śpiesząc się, ale wciąż trzymając się trawiastego pobocza. Pięć minut później małe Pioneer City z jego muzyką i miłosnymi uniesieniami, świeżo przelaną krwią i intrygami, pozostało za nimi.

— Co wrzuciłeś do okna Warbucka? — spytał Spurlock. — I po co?

— To był kawałek kwarcu, pełen złota — wyjaśnił Jeff. — Znalazłem go u Charliego Cartera w Pocket Canyon. Warbuck może go rozpoznać, gdy go zobaczy, ale będzie musiał zgadywać, kto wybił nim jego okno.

— O co w tym wszystkim chodzi, Jeff? Nic nie rozumiem.

— Ja też nie, Ed. Tylko się zastanawiam; zastanawiam się nad wieloma rzeczami. Charlie Carter w końcu znalazł złoto, więc go zabili. Potem zabili Buda Kinga. Dlaczego, Ed? Powiedzieli, że Bud zabił Cartera - może wtedy wyrwało im się trochę za dużo. Równie dobrze można by powiedzieć, że Bud King był w jakiś sposób powiązany z Carterem i jego złotem, jak myślisz?

— Jim Ogden wyrasta na niezłego ważniaka — zauważył Spurlock, bardzo zamyślony i szczerze zdziwiony. — Pracuje u Warbucka od siedmiu lat i miał wiele okazji, by uwić sobie własne gniazdko. Ma ambicje, widać to w jego oczach. Może to wszystko było tylko zagrywką Jima Ogdena, może Warbuck nie miał z tym nic wspólnego, co?

Wyruszyli na północ, jadąc szlakiem na skróty, przecinając czoło Long Valley, wjeżdżając na wzgórza, przeprawiając się na wysoczyznach przez Wandering River, w miejscu gdzie rzeka prześlizgiwała się po spłachciu równego terenu, zanim spadła gwałtownie do Deer Valley.

— Zatrzymuję się na ranczu Kinga — powiedział Spurlock. — Dan Hasbrook poprosił mnie, bym przekazał wieści staruszce Buda. To będzie trudne. Jedź ze mną, Jeff.

— Nie — zaprotestował Jeff. — Nie chcę brać w tym udziału. Nie mogę tego zrobić.

— Widziałeś, jak to się stało - to bardziej twoja robota niż moja. Musisz jechać ze mną, Jeff.

Psy Kinga zaczęły szczekać na pierwszy odgłos kopyt. Wśród sosen rozbłysło nagle blade światło, świadczące o pośpiesznie zapalonej lampie. Jasny prostokąt światła był skutkiem podniesionej zasłony okiennej. Kobiecy głos zawołał:

— To ty, Bud?

Obaj mężczyźni podjechali bliżej, nie odpowiadając. Gdy zsiedli z koni przed gankiem starego domu na ranczu, stado warczących psów zamknęło się wokół nich; nastąpiła chwila obwąchiwania, w której zwierzęta rozpoznały znajomych przyjaciół, potem trzepot merdających ogonów i cisza.

— Kto tam? — zawołała pani King. Niosła lampę, miała na sobie coś w rodzaju ciemnej chusty narzuconej na blady zarys jej koszuli nocnej, otworzyła drzwi i stanęła, spoglądając na nich.

— To my, pani King — powiedział Spurlock. — Ed Spurlock i Jeff Cody.

Być może powiedział jej to sam ton jego ściszonego głosu. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła i nie poruszała się. Zobaczyli, jak przykłada dłoń do ust, po czym podnosi ją nerwowo, by poprawić siwiejący kosmyk włosów na policzku, a następnie odsuwa się, aby mogli wejść.

— Wejdźcie, chłopcy — powiedziała.

Spojrzeli po sobie, obracając tylko oczy w nieruchomych głowach, po czym ściągnęli kapelusze i weszli do środka.

Poprowadziła ich prosto do salonu, prostego pokoju z gołymi ścianami i gołą podłogą, z wyjątkiem kilku czarnych dywaników z niedźwiedziej skóry.

— Jest trochę chłodno — powiedziała i podeszła do kominka. Obaj mężczyźni pospieszyli do przodu, obaj chętni do zrobienia czegoś dla niej, znalezienia papieru i rozpałki, ułożenia drewna.

Z pobliskiego pokoju odezwał się zaspany głos:

— O co chodzi, mamo? Czy to Bud?

— Lepiej wstań, Aggie — powiedziała Sadie King. — Ty i May. Budowi coś się stało.

Dwie młode kobiety przybiegły w pośpiechu, obie boso, May z kolorową, fantazyjną kołdrą zarzuconą na siebie, Aggie owijająca się starym płaszczem Buda, obie o dużych ramionach, silnych twarzach wiejskich dziewcząt, żadna z nich nie miała w sobie nawet cienia wciąż widocznej delikatnej urody ich matki.

Powinny być chłopcami; byłyby jeszcze bardziej podobne do ojca, obecnie już nieżyjącego, niż do dziewczyny, która w ich wieku tak głęboko zapadła w serce Dana Hasbrooka. May miała teraz około dwudziestu pięciu lat, Agatha była o dwa lata starsza.

— Czy on nie żyje? — spytała Sadie King.

Tak, oczywiście, było tak ciężkie, jak to przewidywał Ed Spurlock. Ciężko było słuchać krzyków, szlochów dwu sióstr Buda, a najtrudniej było patrzeć, jak Sadie King siedzi bez ruchu, z zastygłą twarzą, zamarłym sercem; jej ręce nawet się nie poruszyły, jej oczy nawet nie zwilgotniały, jej usta nawet nie zadrżały. Nie zadała ani jednego pytania; może zrobi to później. Dziewczyny pytały o wszystko, a Spurlock, który mówił najwięcej, odpowiadał. Sadie King spojrzała na młodego Jeffa. Przełknął raz czy dwa, zaciągnął się papierosem i powiedział jak mężczyzna opowiadający o pogodzie:

— Przekazałem informacje Danowi Hasbrookowi. Wysłał Eda, żeby pani powiedział. Sam Dan jest w kiepskim stanie. Banda z Long Valley, dowodzona przez Jima Ogdena i Ricka Voorheesa, napadła na niego. Zabił Voorheesa. Doktor Jones mówi, że Dan ma pięćdziesiąt na pięćdziesiąt szanse na przeżycie.

Nie chciał rozmawiać o Budzie huśtającym się na końcu liny; pomyślał, że może jeśli uda mu się rozdzielić w niej smutek, sprawi, że pomyśli też o Danie.

— Wy, dziewczynki, idźcie się ubrać — powiedziała pani King. — Chłopcy zaprzęgną starą Mary i Pat do bryczki. Pojedziemy do Pioneer. Bud tam jest i nie chcę, żeby był sam. Może wynajmiemy też jakąś pomoc do opieki nad panem Hasbrookiem.

Dziewczyny, które nie zawsze były posłuszne, teraz jednak nawet nie pomyślały o sobie, poszły do swojego pokoju. Oczy pani King wróciły do Jeffa.

— Chcę się o tym wszystkiego dowiedzieć, Jeff — powiedziała.

Więc Jeff, zaciskając mocno zęby, czując się cholernym słabeuszem z powodu sposobu, w jaki emocje chwyciły go za gardło, podczas gdy ona siedziała tak na pozór spokojna, opowiedział jej o wszystkim. Potem zadała mu jedno lub dwa pytania i zanim skończył, wiedziała tyle samo, co i on: o odnalezieniu Charliego Cartera, o rozmowie ze Starą Wiedźmą, z Cichym Jeffem i Billem Morganem, o końcu wszystkich ziemskich spraw dla jej syna pod starym dębem w Long Valley.

Ed Spurlock rozpalił w kuchni ogień i przygotował szatański napar z czarnej kawy. Znalazł też pół butelki burbona Buda i wypił połowę. Przez cały czas przeklinał przez zęby i przecierał oczy wierzchem dłoni. Wszedł z kawą. Sadie King uśmiechnęła się do niego, ścisnęła jego dłoń i wypiła to, co jej przyniósł.

— Czy to będzie trwać wiecznie? — zapytała cicho.

— Nie — odpowiedział Jeff. — Zamierzamy to powstrzymać. Jakoś… kiedyś.

— Biedny stary Charlie Carter przyjechał tu wczoraj późnym wieczorem — powiedziała. — Chciał się zobaczyć z Budem. Buda nie było jeszcze w domu. Charlie powiedział: „Proszę mu powiedzieć, że chcę się z nim natychmiast zobaczyć. Proszę mu powiedzieć, żeby przyjechał do mnie jak najszybciej.” Powiedziałam o tym Budowi dziś rano, jak tylko się obudziłam, nieco po świcie. Pojechał prosto do Charliego.

— Czego Charlie od niego chciał? — zapytał Jeff. — Wie pani?

— Charlie nie powiedział. Bud też nie. Ale, no cóż, już się domyślam. — Odstawiła filiżankę kawy; nikt nie mógł dostrzec najmniejszego drżenia jej cienkich, białych palców, ale filiżanka leciutko grzechotała na spodku. — Bud przez ostatnie sześć miesięcy finansował poszukiwania Charliego. Charlie był pewien, że znajdzie złoto; Bud też był tego pewien. Śmiał się, przytulał mnie do siebie i mówił: „Mamo, już niedługo, będziemy ze starym Charliem właścicielami kopalni złota, a potem pojedziemy sobie do San Francisco albo nawet do Nowego Jorku i kupimy całe to miasto.” Myślę, że Charlie chciał powiedzieć o tym Budowi, jako pierwszemu.

— Dziś wczesnym rankiem — powiedział Jeff, — Bud pojechał zobaczyć się z Charliem.

Myślał: „Wczesnym rankiem albo późno w nocy, zabili starego Charliego. Najprawdopodobniej wczesnym rankiem. A Bud pojawił się akurat w chwili, by to wszystko widzieć - i był sam, przeciwko ich całej zgrai, i miał dość rozumu, by wiedzieć, że nie ma z nimi szans - i wycofywał się, kiedy go zobaczyli… Ścigali go przez cały dzień, dopadli i zamknęli mu usta w jedyny sposób, w jaki można je było zamknąć na dobre”.

Nie wypowiedział na głos ani słowa z tego wszystkiego, lecz kiedy uniósł wzrok, te surowo suche oczy Sadie King wpatrywały się w niego, i matka Buda pokiwała głową z powolnym naciskiem.

— Tak, Jeff — powiedziała. — Tak właśnie się stało. Dlatego zabili Buda i powiedzieli, że to on zabił starego Charliego.

Weszły Aggie i May, całe opatulone. Pani King musiała również pójść się ubrać. Jeff i Ed Spurlock zapalili latarnię i poszli zaprzęgać starą Mary i Pat do bryczki.

— Wiesz, Ed — zauważył Jeff, zapinając uprząż na kołnierzu Pat — oni musieli polować na Buda przez cały dzień. Z Pocket Canyon do dębu w Long Valley jest prawie trzydzieści mil. Bud musiał ich wyprzedzić, może go zgubili i potem odnaleźli. Nie przejechałby tak długiego dystansu, nie widząc nikogo po drodze, prawda? Uciekłby do któregoś z domów na ranczach, natknąłby się na kogoś na wzgórzach. I może komuś powiedział, o co chodzi. Może powiedział komuś, co się stało, co widział i dlaczego tłum Warbucków go ścigał. Był w drodze do Pioneer, prawdopodobnie by przekazać coś Danowi Hasbrookowi. Domyślili się tego, więc go zabili. Ale czy rozmawiał z kimś, zanim go dopadli?

— Dowiemy się tego — stwierdził Spurlock.

Trzy kobiety wyszły na zewnątrz i wsiadły do powozu.

— Ty prowadź, May — powiedziała Sadie King. — Pamiętaj, że Mary i Pat nie są już takie młode jak kiedyś.

Jeff, pomagając jej usiąść na siedzeniu, odkrył, że kobieta dźwiga dwulufową strzelbę Buda. Impuls nakazywał mu ją jej odebrać. Ale dlaczego miałby to zrobić? Wszystko, co zrobi Sadie King, będzie w porządku. Będzie miała wiele godzin na przemyślenie wszystkiego, zanim dotrze do Pioneer City. Gdyby zdecydowała się na strzelaninę w mieście, nikt, kto ją znał - nikt, kto znał ją i Buda - nie uniósłby nawet brwi.

— Wy, chłopcy, byliście bardzo dobrzy — powiedziała.

May klepnęła lejcami i powiedziała:

— No, dalej — i bryczka wyjechała z podwórza, a konie ruszyły żwawym kłusem.

Młody Jeff i Ed Spurlock wskoczyli na siodła i podjechali razem jeszcze milę, po czym ich szlaki się rozchodziły.

— No to, spotkamy się mañana, Jeff — powiedział Spurlock.

— Pewnie — odpowiedział Jeff i każdy z nich ruszył w swoją stronę.

Jeff jechał bezwiednie wśród sosen, mając mętlik w głowie. Gdy dotarł do domu, zsiadł przy stodole, napoił Rangera, umieścił go w boksie, wytarł go, nakarmił i poszedł do domu.

Była to ciemna, długa, przysadzista plama wśród drzew, stary hiszpański budynek z cegły adobe, który był dla niego domem od kilkunastu lat, miejscem, które kochał. Stary dom Hernando, jak niektórzy wciąż go nazywali, miał prawie sto lat i był tak wygodny jak stara fajka. Znajdowało się tu oryginalne patio w dawnym stylu, z blaskiem gwiazd połyskującym na nieprzyciętych krzewach; przez spokojną noc przebiegały cichutkie szepty, słabe szelesty wiatru wśród sosen, mieszające się z pluskiem kapiącej wody.

Poszedł prosto do dużego, przyjaznego salonu i pewnie podszedł po ciemku do posrebrzanej lampy naftowej stojącej na długim stole z hiszpańskiego dębu. Bursztynowe światło wyrwało pokój z rąk głębokiej ciemności. Popatrzył na stary, znajomy widok nowym spojrzeniem. Rozmyślał o przejęciu przez Barta Warbucka banku w Pioneer City, a wraz z nim wszystkich hipotek. W takim miejscu człowiek może stać się wręcz sentymentalny. To stare rzeźbione obramowanie nad ogromnym kominkiem, ten zestaw wysokich świeczników, wytarta skórzana kanapa, nawet rowki i zadrapania na lekko chropowatej podłodze… Nagle rozległ się trzask, trysnęły odłamki szkła i młody Jeff Cody zwinnie uskoczył w ciemny kąt, a rewolwer mimowolnie znalazł się w jego dłoni. Potem usłyszał tętent końskich kopyt na zewnątrz. Stukot kopyt szybko ucichł.

Zaskoczony, w pierwszej chwili pomyślał, że ktoś do niego strzelał. Ale nie było słuchać huku wystrzału. Na krótko zapadła ciężka cisza; potem rozległ się lekki tupot bosych stóp i do środka wpadł stary Ah Wong z błyszczącymi, skośnymi oczami.

— H'lo, szefee Jeff'son — burknął. — Co ty lobić? Oszaleć, loźbić okno? Pewnee pijany, co? Oo-na-mah! Po co?

Jeff w końcu zobaczył, co rozbiło jego okno i wleciało do pokoju. Podniósł to i stał wpatrując się w to. Stary Ah Wong wyrwał mu to z ręki. Wąskie, orientalne oczy błyszczały.

— Ktoś ci dał duzio fajny plezient, szefee Jeff'son! Duzio złota! Po co?

— To prezent, który dałem Bartowi Warbuckowi — odpowiedział Jeff. — I już go odesłał. Po co, Wong? Ja nie jestem dużo bystry.

Rozdział VI

Światło porannego słońca, odgrywając rolę Midasa, sprawiało, że wszystko na położonym wśród dębów Rancho Los Robles, ranczu Młodego Jeffa, stało się złote i radosne. Jeff, na wpół ubrany, wszedł do dużego salonu jak leniwa, na wpół śpiąca pantera. Ah Wong przyszedł tu już przed nim, krzątając się stoicko i z łagodną, filozoficzną niezdarnością przy pękniętej szybie. Znalazł w magazynie arkusz szkła, który nie do końca pasował.

— Cholelnie szybko, ty znaleźć so-bie kuch-nia squaw, szefee Jeff'son — powiedział.

— Indiańską pomoc domową? — dopytywał się Jeff. — Po co?

— Kuch-nia zio-na — odpowiedział Ah Wong.

— Żona? — spytał Jeff i zmierzwił swoje i tak już sterczące włosy.

— Kuch-nia, szefee. Dobra zio-na, naprawia okna, zamiata podłogi, gotuje tlo-che. Ah Wong kuch-nia to cholernie duzio pracy już telaź.

— Rozbij parę jajek na patelni i zobacz, co się z nich wykluje, Wong — powiedział Jeff. — Zrób kawę tak mocną, jak prawa noga dobrego muła. Dołóż dużą stertę naleśników, bo jestem głodny. Potem zmykaj na dół do baraku dla kowbojów i powiedz Benny'emu i Pete'owi, że chcę się z nimi zobaczyć, zanim wyruszą na North End. Gdzie do cholery są moje buty?

— Lepiej, zie-by to były dwie kuch-nia squaw — chrząknął Ah Wong i odszedł.

Jeff rozejrzał się, podszedł do najbliższego okna i stał przy nim przez dłuższą chwilę, wyglądając na zewnątrz. Zawsze wiedział, że kocha to miejsce, od dnia, w którym jego ojciec, stary dobry Cichy Jeff, powiedział: „Chłopcze, jeśli chcesz je, weź je.” i dał mu na start najlepsze małe ranczo, o jakim człowiek kiedykolwiek słyszał. Dopiero dziś rozumiał, jak bardzo je kocha. To otoczenie wkradło się do jego serca. W tej chwili nie wiedział jeszcze, czy będzie należało do niego, czy do Barta Warbucka. Jego czarne brwi wygięły się jak diabelskie rogi.

— Przyjść do kuch-ni na śnia-da-nie — wyskandował Ah Wong.

— Nie, tu w salonie, Wong. — Jeff podniósł się i zaczął się ubierać.

— W takim lazie, iść do jadalni — krzyknął Ah Wong.

— Tutaj, do cholery — zirytował się Jeff. — Rusz się, albo rozpruję ci brzuch tasakiem do mięsa. Idź powiedzieć Benny'emu i Pete'owi, co ci kazałem.

Ah Wong zaklął płynnie po chińsku, po czym zaczął śpiewać swoją własną wersję popularnej piosenki:

Dwie male dziewcinki w błękicie, chlopcze,
Dwie male dziewcinki w błękicie;
Jedna to twoja matka, poślubię dlugą,
I będę kochał je dwie

— Lepiej, wziąć ją do kuch-nia — burknął Ah Wong. — Ona gotować lepiej śniadanie. Cholelnie złe tym lazem; ja ugotować zgniłe jajka; pozmywać, wlać bludna woda z mydłem do kawy; nie ma bekonu, ugotować kawałek zdechłego kota. Lepiej, żeby ci gotować miła squaw.

— Wong! — zawołał Jeff, jakby właśnie coś mu przyszło do głowy. Wong, już wychodząc, zatrzymał się i wrócił. — Na zewnątrz jest całkiem fajna rzeka — powiedział Jeff. — Idź i wskocz do niej.

Ah Wong zmiażdżył go pogardliwym milczeniem i wyszedł. Zanim dotarł do tylnych schodów, śpiewał:

Jedna mala dziewcinka w błękicie, chłopcze,
Jedna mala dziewcinka w błękicie;
Będziesz wyglądać słodko, na siodełku
Na moim lowerze zbudowanym dla obu.

Jeff zabrał się do śniadania, które dodawało człowiekowi otuchy. Squaw? Broń Boże. Jaka ziemska „squaw” mogłaby przygotować mu śniadanie w taki sposób, jak robił to Ah Wong? Jaka ziemska squaw mogłaby przeklinać na niego tak parszywie i zostawić go rozbawionego i w pewnym sensie zadowolonego z tego, że żyje, tak jak robił to Wong? Jaka ziemska squaw, biała, różowa, czarna, żółta czy złotobrązowa, potrafiłaby prowadzić dla niego dom tak, jak robił to Wong?

— Podniosę pensję temu żółtkowi — pomyślał, rozglądając się za kawą. Potem zrobił skrzywioną minę i powiedział: „Jak cholera. Zanim Bart Warbuck skończy ze mną i resztą nas, biednych frajerów, tutaj nad Wandering River, jedyne, co mogę zrobić, to podnieść, ale obłok kurzu.”

Musiał jednak się nad tym zastanowić. Warbuck posunie się do wszystkiego, by zdobyć to, czego pragnął - górskie królestwo i własną intronizację. Do ostateczności? Jak najbardziej. Tego już nikt nie kwestionował. Niewątpliwie, tak jak to oceniał Młody Jeff, szedł w górę po stopniach, które w końcu stały się szkarłatne, mokre od krwi Charliego Cartera i Buda Kinga, mokre od krwi wielu innych ludzi. Sześć miesięcy temu zabito Boba Vetcha. Kto go zabił? Wszyscy mogli tylko wzruszyć ramionami - a przecież wiedzieli, że żywy Bob Vetch stał Warbuckowi na drodze, zaś martwy Bob Vetch usunął się z niej.

„Stopnie mokre od ludzkiej krwi; tak, to prawda”, pomyślał młody Jeff. „Tyle że takie stopnie bywały także śliskie i niebezpieczne, zwłaszcza gdy człowiek wchodził po nich tak szybko, jak Warbuck.”

„Jest wiele rzeczy, które wymagają przemyślenia” — dumał. „Wczoraj zamordowano starego Charliego Cartera. Dlaczego? Bo w końcu znalazł

złoto? A więc Warbuck wiedział o tym; wiedział też, gdzie jest to złoto, bo inaczej nie zabiłby Charliego, dopóki by się tego nie dowiedział. Bud King został zgładzony. Dlaczego? Ponieważ wiedział, że banda z Long Valley zabiła Charliego. Dalej, ta piekielna Stara Wiedźma; skąd ona tyle wiedziała? Wyczytała to w fusach po herbacie? Niech mnie diabli wezmą, jeśli w to uwierzę! Ale jak ona się z tym wiąże - a może jednak? Warbuck nagle próbuje mnie kupić, zaraz po tym, jak pochłonął Pioneer Bank. Dlaczego? Cholera, dlaczego? Co ja mogę dla niego zrobić? I jeszcze ten kawał kwarcu wrzucony mi przez okno! Ale po co? Żeby dać mi do zrozumienia, że wie, skąd on się wziął, żeby szepnąć mi do ucha: „Uważaj, co robisz, Jeffie Cody, Juniorze". No i ta śliczna mała blondyneczka Chrystine; wygląda jak dziecko, ale wygląda też na młodą kobietę, która dobrze wie, co się wokół niej dzieje. Wyślizguje się potajemnie, żeby porozmawiać sobie z Warbuckiem. „Ty cholerna mała głuptasko", on mówi do niej. Ale wciąga ją do środka i zatrzaskuje za nią drzwi. A ona zostaje tam dosyć długo. Więc gdzie w tym jest jej miejsce? Warbuck tylko się z nią bawi? Tyle że Warbuck nigdy tak po prostu się nie bawi. Jest jeszcze..."

Pete i Benny, wezwani przez wrzaski Ah Wonga, przyszli z korralu. Pete, który urodził się wśród koni, wychował wśród koni i który nadal mógł oddychać wyłącznie wśród koni, sam wyglądał jak koń ze swoją długą twarzą i okrągłymi, zdziwionymi oczami; można by powiedzieć, że gdyby ktoś zatrzepotał przed nim szmatą, wziąłby mocno wędzidło w zęby i uciekł. Benny, młody, w połowie Indianin, a w drugiej połowie nieokreślone coś innego, podbiegł do Pete'a jak dzika istota.

— Dom się pali, Jeff? — zapytał Pete.

— Jeszcze nie — odpowiedział Jeff. — Przysiądźcie, chłopcy.

Przysiedli, Pete swobodnie, Benny wyglądał jak uwięzione leśne stworzenie; Benny zawsze taki był, gdy otaczały go cztery ściany.

— Mam tutaj kilka całkiem niezłych pony, co sądzicie, chłopcy? — powiedział Jeff.

— Widziałem lepsze — chrząknął Pete. — Tak sobie przypominam, jak byłem dzieckiem, na drodze Laredo, kiedy...

— Wiem, wiem — wszedł mu w słowo Jeff. — Zachowaj to opowiadanie dla swoich wnuków, Pete. Myślę teraz o tych, które lubię, o Kapitanie Kiddzie, Claude Duvalu i Lady Auguście, o Młodej Pat i Małej Mary, Czerwonoskórym, Gay Girl i Highboyu. Myślę...

— Ja też wiem — mruknął Pete. — Myślisz o Satynowych Pantofelkach, Sweetheart, Molly-O i…

— Chłopcy, nie chcę, żeby któremukolwiek z tych koni coś się stało — oznajmił Jeff.

Końskie oczy Pete'a nie mogły stać się jeszcze bardziej okrągłe; przybrały szklisty wyraz.

— Na przykład co, Jeff? — zaczął się dopytywać. — Co mogłoby im się stać?

— Ktoś może je uprowadzić, jakiejś ciemnej nocy, ktoś ukryty w zaroślach może postrzelić parę z nich z Winchestera. Wiele rzeczy może

się zdarzyć, Pete. Powiedzmy, że masz zrobić wszystko, by nic nie poszło źle. Dzień i noc pilnuj tych koni.

Pete i Benny spojrzeli na niego, szybko na siebie i z powrotem na niego.

— Co się dzieje, Jeff? — spytał Pete.

Jeff wstał i podszedł do okna, które naprawiał Ah Wong.

— Nie wiem, Pete. Może po prostu dzisiejszego ranka jestem odrobinę nerwowy. Wiem, że Bart Warbuck chce zrobić wielkie porządki na wszystkich ranczach w Long Valley, Deer Valley i tutaj, wzdłuż górnego biegu Wandering River. Oprócz innych rancz chce mojego i już je w połowie zdobył. Im więcej stracę ja, tym więcej wygra Warbuck, jasne? Wiecie równie dobrze jak ja, jak Warbuck gra w tę grę. — Odwrócił się gniewnie i powiedział: — Cholera, nic nie wiem. Po prostu róbcie, co mówię. I zacznijcie to robić od razu!

Benny wybiegł jak strzała; Pete, pociągnąwszy za długą dolną wargę, przygarbił ramiona i również ruszył szybkim krokiem do wyjścia.

Młody Jeff wkrótce podążył za nimi. Ciągle myślał o tym, co im powiedział: „Cholera, nic nie wiem”. Może solidny dzień spędzony w siodle i odwiedziny w paru miejscach coś mu powiedzą. Jadąc na ulubionym koniu do jazdy w terenie, mocnym czarnym czterolatku, skierował się najpierw do chaty Charliego Cartera; stamtąd zamierzał udać się generalnie w kierunku Pioneer City, myśląc o różnych ranczach położonych po drodze lub w niewielkiej odległości, na które Bud King mógł na chwilę zajrzeć, i gdzie mógł coś powiedzieć odnośnie zabójstwa Cartera.

Wcześnie jednak spostrzegł, że ktoś przed nim jedzie. Był to Cichy Jeff w starym, rozklekotanym wozie, którym przyjechał aż z martwego Halcyon. To był właśnie cały Cichy Jeff. Kiedy miał coś do zrobienia, to robił to; ponadto dzień i noc były dla niego prawie tym samym. Jeśli miał gdzieś pojechać, równie chętnie wyruszał o północy czy o drugiej nad ranem, jak o każdej innej porze.

— Cześć, Jeff — zawołał wesoło. — Myślałem o psach starego Charliego. Zabieram je ze sobą do domu.

Pięć psów, niewątpliwie kundli, ale z silną domieszką krwi owczarka w każdym z nich, już odnawiało przyjaźń z Jeffem, którego nie widziały od sześciu miesięcy, ale którego dobrze pamiętały. Młody Jeff uśmiechnął się na ten widok.

— Halcyon znów będzie miał mieszkańców — powiedział.

— Opowiedz mi co się dzieje; po drodze wpadłem na jednego z chłopców Reddinga — odparł Cichy Jeff.

Młody Jeff opowiedział mu wszystko, co wiedział; o wydarzeniach w mieście zeszłej nocy, o rozmowie z Edem Spurlockiem na temat Sadie King, o jej wyjeździe do Pioneer City. Cichy Jeff pociągał za wąsa i splunął raz czy dwa, ale nie miał nic do powiedzenia. Szybko Młody Jeff pomógł mu wsadzić psy na wóz, przywiązując je dla bezpieczeństwa do tylnego siedzenia, i zostawił go.

Tak jak to zaplanował, objazd zajął mu cały dzień. Jechał mniej lub bardziej przypadkowo, ponieważ nie było sposobu, by stwierdzić, jakimi ścieżkami mógł podążać Bud King, gdyby rzeczywiście uciekał przed

zabójcami Warbucka. Tego dnia dojechał prawie do Halcyon, zatrzymując się tylko na grzbiecie biegnącym w dół od Monument Mountain, skąd mógł zobaczyć porzucone domy w spokojnej dolinie. Stamtąd wrócił inną drogą i zarówno w jedną stronę, jak i gdy wracał, zatrzymywał się w domach ranczerów po drodze, pytając o Buda. Nikt go wczoraj nie widział.

Mijały dni i nic istotnego się nie działo. Ludzie szemrali, zbierali się na polach, rozdrożach i w mieście, byli niespokojni, źli i skłonni do jakiegoś wybuchu, ale nic nie robili. Młodsi, a nawet niektórzy co bardziej gorliwi starsi, byli za zebraniem solidnej grupy ludzi i wyruszeniem po Jima Ogdena i innych, którzy chwalili się linczem na Budzie Kingu. Ale ci, którzy widzieli dalej lub spoglądali wyraźniej, stłumili burzę w zarodku. Coś takiego zapoczątkowałoby małą wojnę, która szalałaby w górę i w dół Deer Valley, Long Valley i całego biegu Wandering River, przeniknęłaby nawet w góry i na pustynne tereny leżące na południu; doprowadziłaby do śmierci wielu ludzi, wznieciłaby złą krew, której całe pokolenie nie zdołałyby ostudzić - i pozostawiłaby Barta Warbucka na miejscu, w którym stał obecnie, na szczycie tego wszystkiego.

— Zachowajcie spokój i czekajcie — mówili ci, którzy ostatecznie stłumili bunt. — I miejcie oczy szeroko otwarte. Któregoś dnia pojawi się coś, co da nam szansę wgryzienia się w coś solidnego.

Tak więc zajęli się swoimi sprawami oraz, jak zwykle, trzymali pod ręką gotową do strzału broń, i na pewien czas wszystko się uspokoiło. Lecz na wielu twarzach, które wcześniej były dosyć pogodne, pojawiły się chmury. Wkrótce bowiem stało się powszechnie wiadome, że Melvin z Pioneer City Bank, sprzedał się Bartowi Warbuckowi – oraz że Warbuck, ipso facto, posiadł wiele, bardzo wiele kredytów na hipoteki. Do tej pory wystarczało tylko, że stary wyjadacz musiał powędrować do miasta i porozmawiać z Johnem Melvinem. „Do diabła, John”, mówił mu. „Nie mam dosyć pieniędzy, by kupić wystarczająco dużą kulę, do zabicia chorego królika. Więc myślę, że musisz poczekać”.

A John Melvin, znając tych ludzi, odpowiadał: „Na to wygląda, co? No cóż, wróć i porozmawiajmy o tym za trzydzieści dni”. Nigdy nie stracił ani centa na żadnym z nich i wiedział, że nigdy nie straci.

Lecz teraz osobą, z którą trzeba było porozmawiać był Warbuck. A Warbuck chciał całego świata, a przynajmniej tych paru tysięcy akrów na wschód od Deer Valley i na zachód od Long Valley. Był zawsze chętny do kupna - po swoich cenach. Lubił wpędzać ludzi w dołek, a potem zmuszać ich do sprzedaży. Ludzie próbowali w końcu zaplanować coś z wyprzedzeniem, aby wywiązać się ze swoich płatności, i stawali się coraz bardziej zdesperowani. Nie byli przyzwyczajeni do prowadzenia jakiejkolwiek księgowości, zwłaszcza takiej, która zestawiała dokładne sumy na równie dokładne daty. Gdyby dać im trochę czasu, wszystko byłoby w porządku; zawsze tak było, prawda? Ale...

Młody Jeff, pośród innych, próbował wymyślić sposoby i środki. Nie było wielkiego pośpiechu; powinien poradzić sobie ze swoimi kłopotami. Mógł sprzedać swoje stado, chociaż dwie trzecie jego młodych koni nie było jeszcze gotowych; mógł sięgnąć po ostatniego centa ze swoich

funduszy rezerwowych; mógł znaleźć kogoś, gdzieś, kto przejąłby resztę hipoteki Los Robles i dał mu chwilę wytchnienia.

Był na przykład Cichy Jeff. Cichy Jeff oznajmił mu lakonicznie:

— Mam trochę pieniędzy, Jeff. Powiedz ile i kiedy.

Stary Bill Czerwona Koszula też znał się na rzeczy.

— Przyjdź do mnie, mały, kiedy będziesz chciał pieniędzy.

Młody Jeff powiedział do siebie, nie do nich:

— Cholera, nie! Jeśli Warbuck może mnie załatwić, to niech mnie załatwi. Nie pójdę do tych dwóch starych capów - niech ich Bóg błogosławi.

W miarę upływu czasu zaczął się zastanawiać: Co z tym złotem, które znalazł Charlie Carter? Przecież te podnóża Tecolotes, choć ostatnio stały się krainą bydła, choć były oznaki, że doliny staną się pewnego dnia krajem siana i zboża, z początku były terytorium górniczym. Świadectwem tego był stary Halcyon, który niegdyś tarzał się i pławił w żółtym bogactwie, wykopanym przez ludzi z ziemi. Jasne, w Tecolotes było złoto, zawsze było i być może zawsze będzie. I jeśli jego przypuszczenia były logiczne, Charlie Carter je znalazł - a Warbuck lub jego prawa ręka dowiedzieli się o odkryciu Cartera - więc Carter został zgładzony, zanim zdążył coś powiedzieć albo zabrać się do pracy. Warbuck musiał więc wiedzieć, skąd Charlie Carter miał złoto.

Jeff wiedział, że Warbuck był żądny bogactwa, władzy i wpływów. Wszystko to szło razem z żółtym kruszcem. Skoro Warbuck wiedział, gdzie jest kopalnia złota, dlaczego nie wyciągnął po nią ręki? Dlaczego jeszcze jej nie zagarnął?

Zastanawiało go to; rozmyślał nad tym dzień i noc, szukając jakiegoś wyjaśnienia.

— Dlatego, że nie może, a nie dlatego, że nie chce. Coś stoi mu na przeszkodzie, coś go powstrzymuje, każe mu czekać.

Wtedy do niego dotarło; a przynajmniej pojawiło się wyjaśnienie, które wydawało się pasować: Złoto znajdowało się na cudzej ziemi, być może na terenie któregoś z ranczerów, którzy posiadali wszelkie prawa do minerałów. Na ziemi jednego z ranczerów, którego hipotekę przejął po przejęciu Pioneer City Bank? Prawdopodobne, nawet więcej niż prawdopodobne.

— Przecież ono może być nawet na mojej działce! — Ale potem pokręcił głową; stary Charlie przyszedłby z nowiną do niego, a nie do Buda Kinga. Co więcej, Warbuck zaproponował, że zlikwiduje hipotekę Jeffa, jeśli Jeff przejdzie na jego listę płac. — Ale co on myślał, że ja mogę dla niego zrobić?

Rozmyślając nad tym wszystkim, pojechał późnym popołudniem do Halcyon, by porozmawiać z Jeffem i Billem Morganem. Gdy długie cienie skradały się przez zieloną Deer Valley, zobaczył ze zbocza mały biały domek szkolny, wyglądający z tej odległości jak domek dla lalek, i przypomniał sobie Chrystine Ward. Nie widział Chrystine od czasu potańcówki; naprawdę miał zamiar wpaść do niej w wolnym czasie, ale jego energia nie skłaniała go do próżnowania, nawet w przyjemnych miejscach.

— Warbuck załatwił jej pracę — zastanawiał się. — Ciekawe, jak długo ją zna.

Gdy dotarł do Dziury Wiedźmy, zapadł już głęboki zmierzch; poprzez liście laurowe dostrzegł błysk światła w oknie, przez które wypadał blask jej lampy. Dziwna stara wiedźma, żyjąca samotnie na odludziu, wypaczona i niegodziwa, i, jak mówili, skąpiradło.

Gdy dotarł do poszarpanych obrzeży martwego miasta, było już ciemno, a od dawna opuszczony hotel na łagodnym wzgórzu, porośniętym czarnymi sosnami, wyglądał na miejsce niesamowite, wręcz upiorne. Wiał słaby wieczorny wietrzyk, a ze starego budynku dochodziły stłumione, dziwne szmery. Choć jego niegdyś zielone, a teraz brązowe i poplamione okiennice były rozłożone, na swoim miejscu, tak jak przez lata, wiatr dostawał się do środka przez tysiące szczelin; słychać było szelesty i skrobania, jakby jakiś przeciąg poruszał poluzowanymi tapetami, jakby stara gazeta była drapana przez szczury; słychać było słabe skrzypienia, jakby ten pomnik całkowitego opuszczenia narzekał, że został tak bezdusznie oddany na żer samotności, podczas gdy w młodości był taki wesoły, gościnny i przyjazny; na wpół słyszalne dudnienia mogły być czymkolwiek, obijającymi się o siebie nietoperzami, pozbawionymi celu lub ślepymi ludźmi, błądzącymi chaotycznie w środku.

— Nawiedzony — powiedział Jeff i, będąc pod urokiem tego miejsca, na wpół w to wierzył. — Dlaczego by nie? Z pewnością hotel ma prawo do swoich duchów, jeśli w ogóle jakiś dom kiedykolwiek je miał.

Było coś, co trzeba powiedzieć o jego ostatnim twierdzeniu. Widmowy, stary Pay Dirt Hotel miał za sobą w sumie mniej niż pięć lat aktywnego życia, ale były to gorączkowe, kolorowe lata, podszyte złotem i ozdobione czerwienią krwi. Długi mahoniowy bar, który przypłynął dookoła przylądka Horn, by zostać zainstalowany tutaj, w dziczy, wciąż nosił blizny, niektóre były głębokimi oparzeniami od niedopałków cygar, inne rozszczepionymi wyżłobieniami, w miejscach gdzie znalazły swój cel szaleńcze strzały rewolwerowe. Urodziło się tu co najmniej pół tuzina dzieci, jeszcze więcej ludzi zginęło gwałtowną śmiercią; miały w tym swój udział różnego rodzaju kobiety, niektóre z nich były pięknymi, w pewnym sensie delikatnymi, lecz dzielnymi i niepokonanymi pionierkami, które przekazały odwagę następnemu pokoleniu; niektóre z nich były zwiewnymi czarodziejkami; inne wspaniałymi poszukiwaczkami przygód, które odcisnęły na Zachodzie swój nieśmiertelny ślad, a ich imiona są ciągle pamiętane. Były też dziewczyny takie jak Irene Gaylord. Bart Warbuck ożenił się z nią i teraz była panią Bartową Warbuck, wyglądającą jak wielka księżna górskiej krainy.

Jeff zatrzymał się na chwilę koło hotelu, po czym pojechał dalej, wijącą się między opuszczonymi domami ścieżką, wchodzącą i wychodzącą pomiędzy młode drzewa i napierające zarośla, i wkrótce dotarł do chaty Cichego Jeffa. Drzwi były zamknięte, lecz lampa paliła się; zastał Cichego Jeffa w grubych czerwonych wełnianych skarpetach, śpiewającego hałaśliwie jedną z tych starych westernowych ballad, które nigdy nie powinny zostać napisane - albo może nigdy nie zostały napisane, lecz tylko przekazywane od jednego starego rozpustnika do drugiego -

przyśpiewkę zaczynającą się od słów: "Nazywam się John Taylor" i szybko przechodzącą od złego do jeszcze gorszego.

— A może dałbyś mi trochę pieniędzy, Jeff? — powiedział Młody Jeff, zamykając za sobą drzwi.

Cichy Jeff uniósł swoje kudłate brwi, które zmieniły się w znaki zapytania, pytając tylko:

— Ile?

— Dziesięć tysięcy — odpowiedział młody Jeff, spoglądając bystro na starca. — Warbuck ma teraz hipotekę na Los Robles i chce je wycisnąć.

Cichy Jeff zmagał się przez chwilę z szufladą w wypaczonym i niesamowicie poplamionym starym sosnowym stole i wydobył z niej książeczkę czekową; na dnie przysadzistej glinianej butelki pozostało kilka kropel atramentu, który mógł w niej być i prawdopodobnie był, od czasów powstania Halcyon.

— Nie chcę twoich cholernych pieniędzy — burknął Jeff.

Tak więc Cichy Jeff zasunął z powrotem szufladę stołu i czekał na dalszy ciąg.

— Zastanawiałem się tylko, czy naprawdę zostało ci trochę forsy — kontynuował jego syn i usiadł na krześle przykrytym niewyprawioną skórą. — Dlaczego, do jasnej cholery — dopytywał się dalej, — skoro masz tyle pieniędzy, siedzisz tu jak stary knur w chlewie?

Brwi Jeffa jeszcze nie zdążyły opaść, ale teraz uniosły się jeszcze wyżej, jakby chciał powiedzieć: „Do diabła. Co jest nie tak z tym miejscem?”.

— Gdybym nie widział cię na własne oczy, nie uwierzyłbym, że ktoś taki może istnieć naprawdę — prychnął Młody Jeff.

— Witaj, chłopcze — stwierdził stary Jeff, jakby Młody Jeff dopiero co wszedł. Rozsiadł się wygodnie na dużym, postrzępionym skórzanym fotelu, który kiedyś zdobił lobby hotelu Pay Dirt, wyciągnął długie nogi i potarł o siebie stopy w czerwonych skarpetkach jak jakiś wielki konik polny. Nie golił się od kilku dni, jego broda była cętkowana jak skóra lamparta, z przewagą brązu, czerni i siwej bieli, a sękate, orzechowe dłonie wyglądały, jakby cały dzień bawił się w robienie placków z błota. („Grzebiąc łapami w jakiejś przeklętej dziurze wydobywczej”, pomyślał młody Jeff. Tak jakby stary Jeff potrzebował jeszcze więcej złota, niż już miał! I jakby kiedykolwiek miał szansę na kolejny przełom – taki jak ten pierwszy i jedyny, który pozwolił narodzić się Halcyon).

— Oto, jak się sprawy mają, Jeff — zaczął młody Jeff i otworzył przed uważnym słuchaczem skarbiec swoich ostatnich przypuszczeń. Cichy Jeff kiwnął głową raz czy dwa, dwa razy podrapał się po uchu i raz wstał, by przyciąć knot lampy.

— Kolacja będzie gotowa za dwie chwilki, Jeff — powiedział na koniec. — Lepiej bądź gdzieś w pobliżu

Ale Młody Jeff trzepnął go w chude, kościste ramię i ruszył w swoją stronę, prosto przez Plac, do chaty Czerwonej Koszuli Billa Morgana. Stary Bill też chodził w tą i z powrotem jak tygrys w klatce; ręce miał dopiero co wyszorowane, ale jego przekrzywione buty były ubrudzone świeżym błotem.

— Wciąż szukasz złota, Bill? — spytał Jeff.
— Nigdy nie szukałem niczego innego — prychnął stary Bill. — Czego jeszcze warto szukać? No dalej, powiedz mi.
— Czy nie masz już dość pieniędzy, Bill? Życie musi cię kosztować pewnie jakieś trzy dolary miesięcznie.
— Nigdy wystarczająco dużo pieniędzy. Nie można być przez całe życie pasożytem.
— Dlaczego nie kupiłeś Pioneer Bank?
— Nie wiedziałem, że Melvin się sprzedaje. Mógłbym.
— Kiedy sprzedał bank Warbuckowi...
— Melvin to wesz — powiedział stary Bill.
— Pożyczysz mi dziesięć tysięcy dolarów, Bill?
— Po co? Diabli tam, wiem. Żeby Warbuck nie ukradł ci rancza. Jasne, że pożyczę, mały. Tylko — stary Bill spojrzał z lisią chytrością — wezmę pod zastaw hipotekę i...
Jeff roześmiał się.
— Nie chcę twoich pieniędzy, Bill, i powinieneś to wiedzieć. Chciałem tylko się przekonać, czy coś ci zostało. Koszty utrzymania muszą być dość wysokie, skoro trzeba utrzymać tak duży dom i całą służbę...
— Mam nadzieję, że pewnego dnia zaśmiejesz się na śmierć, ty hieno — rzucił ponuro Bill Morgan.
— Powiedz mi, Bill, dlaczego Warbuck, jeśli to był Warbuck, a nie tylko grający na własną rękę Jim Ogden, załatwił starego Charliego - chyba że wiedział, iż Charlie znalazł bogate miejsce i chyba że wiedział, gdzie to bogate miejsce się znajduje.
— Myślałem o tym trochę — powiedział Bill Czerwona koszula i sięgnął po najbardziej dogodnie ustawioną butelkę o grubym brzuchu. — Napijesz się? — Jeff pokręcił przecząco głową, a Bill powiedział: — I dobrze — i wypił za nich obu. Potem usiadł i zagłębił się w swojej brodzie, poszukując podbródka. — Warbuck był tu dzisiaj, mały. Rozmawiał ze mną, namawiając mnie do sprzedania wszystkich moich udziałów w Pay Dirt.
— Widział się z tobą i jeszcze z kimś, Bill?
— Przypuszczam, że widział się z innymi ludźmi, którzy mieszkali wtedy w Pay Dirt; nie wiem.
— Już wcześniej próbował cię wykupić. To nic nowego.
— Obecnie, próbuje tego już od trzech lat. Chce tu cholernie dużo zbudować, jak mówi. — Bill udał śmiech. — Mówi, że chce zebrać wszystkie wody, które tu płyną, spiętrzyć całą wodę Wandering River, zrobić na tym końcu Deer Valley największą tamę, o jakiej kiedykolwiek słyszano, i zacząć nawadniać sto tysięcy akrów piaszczystego dna doliny. — Znalazł w końcu swój ukryty podbródek i pomasował go. — Bart Warbuck to cholerny kłamca i zawsze nim był.
— Ta jego tama sprawiłaby, że cały Halcyon znalazłby się głęboko pod wodą, prawda?
— On tak twierdzi — prychnął Bill Czerwona Koszula.
— A ty mu powiedziałeś...
— Sięgnąłem po strzelbę, a on poszedł sobie do domu — zachichotał stary Bill.

Jeff popatrzył na niego z zaciekawieniem.

— Nie sprzedałbyś swoich udziałów w Halcyon za nic na świecie, co, Bill?

— Kupiłbym resztę Pay Dirt — powiedział Bill Morgan przez zaciśnięte zęby — gdyby drugi właściciel nie był takim cholerykiem — przerwał. Nigdy w życiu nie powiedział młodemu Jeffowi ani słowa złego o starym Jeffie.

Rozmawiali przez godzinę. Billowi, podobnie jak swemu ojcu, Młody Jeff opowiedział wszystko co wiedział o ostatnich wydarzeniach, przychodząc po radę do tych dwóch starych wyg, których, każdego na swój sposób, uważał za prostego lecz bardzo mądrego człowieka. Stary Bill mówił potem kwieciście przez pół godziny, przedstawiając swoje poglądy tak swobodnie, że przypominały one pędzące z górki zaprzęgi. Były to jednak mądre słowa; Jeffowi wydawało się, że słyszy, jak energicznie obracany młotek wbija mu wiele gwoździ prosto do głowy.

— W życiu Barta Warbucka pojawiła się kobieta — powiedział nagle stary Bill, przerywając jedną z kilku krótkich chwil milczenia.

— Wiem — mruknął Jeff. — Ona… — W tym momencie przerwał i zapytał: — Kto, Bill? Jaka kobieta?

— Śliczna pani, która mieszka niedaleko stąd — odparł Bill Czerwona Koszula. — Zostały jej trzy-cztery zęby i ma początki niezłych wąsów, a mieszka w Dziurze Wiedźmy. Może słyszałeś o starej pani Grayle? O niej mówię.

Jeff uporządkował myśli. Warbuck i Stara Wiedźma?

— Jak to możliwe? — dopytywał się. — Co się dzieje?

— Cholera, sam chciałbym wiedzieć! To już trzeci raz w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, kiedy przyłapałem go jak zakrada się na małe tet-a-tet ze starą Lady MacBeth. Po pierwszym razie, nic bym nie mówił, ale tak jakby obserwowałem też pozostałe dwa. Może przyszedł po radę, jak zabijać ludzi na dużą odległość, przy pomocy zaklęć i czarnej magii?… Zmień się w ropuchę?

Jeff powoli jechał w stronę domu, aż znów znalazł się przed starym, opuszczonym hotelem. Na parterze budynek z trzech stron miał szeroki ganek; z jego południowo-wschodniego rogu widać było niewyraźnie za drzewami pożłobione zbocze Monument Mountain, na którym stary, rozpadający się szyb kopalni Gay Girl Mine, obecnie zmienił się już tylko w głęboko odciśnięty ślad palca, starego Ojca Czasu. Budowla z kamienia i cegły miała drugie piętro, a na nim drugą werandę, powykrzywiany i gnijący balkon, który niegdyś był miejscem spotkań wyższych sfer Halcyon. Dzisiaj był obficie udekorowany, pod mniej lub bardziej osłaniającym go, obwisłym zniszczonym dachem, żółtymi skorupami gniazd.

Nocna bryza zmieniła się w mocny, szepczący wiatr, czysty i przyjemnie ostry, brzemienny niesionymi plotkami, które zebrał po drodze. Słychać było szelest przesuwanych starych papierów, stłumione odgłosy uderzeń, przytłumione metaliczne dźwięki, jakby starego arkusza blachy, luźnego z jednego końca i trzepocącego przy każdym powiewie.

„Nawiedzony”, pomyślał znowu Jeff i jechał dalej, gdy nagle zatrzymało go coś, co normalnie miałoby równie duże znaczenie, co liść spadający z poruszonego wiatrem drzewa. Był to tylko króciutki błysk światła rozszczepiający ciemność na ułamek sekundy, który natychmiast zniknął. Jego jedyne znaczenie polegało na tym, że pochodził on ze starego, od dawna opuszczonego Pay Dirt Hotel.

Zaskoczył go on; zaczął go zastanawiać; ledwie został stłumiony przez gęstą, aksamitną ciemność, zdającą się tłamsić wszystko w przytłaczającej ciszy, gdy wzbudził w nim różnego rodzaju pytania, które w końcu zaczęły kłuć go jak szpile. Według jego najlepszej wiedzy w Pay Dirt Hotel nie paliła się żadna lampa ani świeca, od dobrych dwudziestu pięciu czy trzydziestu lat. Skąd więc to światło?

Zmęczyło go już stawianie pytań, które pozostawały bez odpowiedzi. Oto jedno, na które mógł odpowiedzieć sobie sam. Szybko zsunął się z siodła, przywiązał konia w sercu gęstej kępy młodych cedrów i ruszył szybko i bezszelestnie w kierunku ruiny starego Hotelu Pay Dirt.

Wiedział, gdzie bez trudu może znaleźć wejście do środka; wykrzywione tylne drzwi na rozchwianych zawiasach umożliwiały mu to wejście już wcześniej, choć nie robił tego już od lat. Kiedyś, jako wystraszony, żądny przygód chłopiec, sam nie wiedząc, na jaką przygodę liczy, wchodził tędy niejeden raz.

Nie było żadnego drugiego błysku światła, a całe to miejsce spowijała grobowa cisza. Przecisnął się przez zniszczone drzwi. Ledwo przekroczył próg, znieruchomiał jak każdy nocny intruz, zatrzymał się, by nasłuchiwać. Cisza była niemal materialna, napierała mu na bębenki uszu.

Zrobił krok do przodu, brnąc przez ciemność tak gęstą, jakby spowijały ją zasłony z czarnego aksamitu; zrobił kolejny krok i jeszcze jeden, zatrzymując się na chwilkę jedynie wtedy, gdy stare deski podłogi skarżyły się pod jego stopami cichym skrzypieniem.

Potem usłyszał jakieś głosy; nie potrafił powiedzieć, jakiego rodzaju one były ani skąd dokładnie pochodziły. W końcu zobaczył rozmytą poświatę świetlną. Cała jego uwaga skupiła się na tym świetle i na głosach, które były niemalże stłumione. Był więc kompletnie nieświadomy faktu, że ktoś, tuż za nim, podszedł do drzwi, przez które właśnie wszedł do środka; że ten ktoś śledził go tak cicho, jak on śledził ludzi znajdujących się gdzieś przed nim. Jego jedyna konkretna myśl brzmiała: „A może to przeklęte miejsce rzeczywiście jest nawiedzone”.

Rozdział VII

Dostał się do cichego wnętrza budynku przez pomieszczenie, dawno temu używane jako przestronna kuchnia. Gdyby skręcił w prawo, znalazłby się w długiej jadalni, wychodzącej na werandę. Zamiast tego poszedł w lewo i w ten sposób dostał się do największego pomieszczenia w budynku, najważniejszej sali, która zarówno w dzień i w nocy była najbardziej intensywnie wykorzystywana – do baru. Na zapadającej się podłodze wciąż jeszcze stały stoliki do gry w karty, a on ostrożnie ruszył przed siebie, by nie zderzyć się z którymś z nich i nie sprawić, że kaleki mebel przewróci się i rozpadnie, powodując odbijający się gromkim echem huk upadku. Nic nie widział; nie był w stanie dostrzec swojej ręki, nawet kiedy trzymał ją tuż przed sobą. Zamglona smuga światła też zniknęła.

Stało się tak dlatego, że skręcił w kąt pomieszczenia, a drzwi, przez które sączyła się słaba poświata, zostały przesłonięte przez wystający narożnik. Stał chwilę, nasłuchując i upewniając się, że nie stracił orientacji. Znów usłyszał głos, teraz już tylko jeden, przyciszony, monotonie dudniący; miał on jednak w jego uszach nie więcej sensu niż warczenie niedźwiedzia. Posłużył mu jednak do prawidłowego skorygowania swojego wyczuciu kierunku.

Gdy stał sztywno wyprostowany, oddychając cicho i wytężając oczy i uszy, stary, cichy dom zaczął przemawiać do jego napiętych nerwów. Nie chodziło o to, że panujący w nim spokój został zakłócony, lecz raczej o to, że został on podkreślony przez różne ciche odgłosy, tak jakby podobnie jak i on hotel wstrzymał oddech i nasłuchiwał, a lekkie szmery w tym bezruchu, nie były już jego zasługą. To szumiał nocny wiatr, równie figlarny tutaj, jak potrafił być w głębi lasu, na odległym brzegu morza, wśród cmentarnych cyprysów - gdziekolwiek. To szeleścił kawałek papieru, a jego szmer w ciemnym pomieszczeniu był równie złowieszczy, jak szepty morderców. Powrócił znajomy blaszany, leciuteńki zgrzyt; można by pomyśleć, że to jakiś odległy szmer talerzy przesuwających się po sobie, tam i z powrotem, z tak cichym dźwiękiem, jakby tylko się muskały; zimny, drżący pocałunek cyny. A od czasu do czasu, stary dom jakby oddychał, a ściany zmieniały się w ściany jego starożytnych płuc, rozlegało się suche jak pył skrzypienie.

Pokonał kilkanaście kroków i znów zobaczył odbicie upiornego światła, które rozlewało się na podłodze, tworząc nieokreślone cienie na ścianach. Głos, którego słuchał wcześniej, ciągle mówił, lecz mimo to żadne z wypowiadanych przez niego słów nie było wyraźne; człowiek w takim miejscu mówił przyciszonym tonem, gdyż zmuszał go do tego czar otoczenia, a niezależnie od tego, czy mówił o rzeczach sekretnych, czy

jawnych, zaledwie mamrotał. Jeff pomyślał, zastanawiając się: „Znam ten głos. Kto to mówi?”

Po raz kolejny ruszył dalej po omacku; jego dłoń przesunęła się po jakimś gładkim słupku, który był tylko lekko ziarnisty od nagromadzonego kurzu. Wkrótce znów dostrzegł wyraźnie słabe światło, wydobywające się z dawnego prywatnego pokoju biurowego, tuż przy lobby, pokoju, w którym menedżer hotelu Pay Dirt miał swoją kancelarię i gdzie wiele razy rozgrywano naprawdę ważne partie pokera. Mruczący głos na chwilę ucichł, lecz wkrótce pojawił się ponownie, wyraźniejszy, i w końcu rozpoznał, czyj to głos. Bart Warbuck. Ton głosu Warbucka był zduszony, jakby przesiąknięty stłumionym gniewem, który w każdej chwili mógł przerodzić się w burzliwą wściekłość.

— To może zadziałać na niektórych ludzi — oznajmił Warbuck. — Na mnie jednak nie. Wydawałoby się, że po tak długim czasie powinnaś znać mnie lepiej.

W odpowiedzi usłyszał przede wszystkim suchy, zgrzytliwy chichot pełen czystej złośliwej radości.

— Och, znam cię doskonale, mój drogi Bartonie! Znam cię tak, jak nikt inny na świecie, lepiej niż twoja kobieta, choć mieszka z tobą od ponad dwudziestu lat. I...

— Nie lubię tego przeklętego miejsca. Jeśli musisz ze mną rozmawiać, to dlaczego tutaj? Jest twoja chata, są inne miejsca...

— Tu mi się najbardziej podoba, Bartonie. Ten hotel budzi słodkie wspomnienia. Czy nie budzi ich także w tobie?

— Czy wiesz, Amando Grayle — powiedział ciężko Warbuck - że pewnego dnia skręcę ci ten przeklęty kark? Któregoś dnia zabiję cię, tak pewnie...

— Tak pewnie, jak zabiłeś...

— Zamknij się, wiedźmo! Zaraz, na Boga...

Rozległ się odgłos szamotaniny, ale trwał niecałe pięć sekund, po nim nastąpił odgłos szurających stóp, gdy dwoje ludzi odsunęło się od siebie, a potem suchy chrypiący szloch w gardle starej kobiety, i wreszcie jej zduszony głos, jakby jego wielkie, brutalne dłonie wciąż trzymały ją za gardło, albo dusiła ją jakaś furia:

— Ty głupcze! Ty durny, zakuty głupcze! Nie wiesz, co by się z tobą stało?

Warbuck zaśmiał się z niej, lecz jego śmiech nie brzmiał przekonująco. Jeffa Cody'ego już wcześniej uderzyła osobliwa rzecz: Warbuck bał się Starej Wiedźmy, bał się jej śmiertelnie.

— Doskonale zdajesz sobie sprawę, Bartonie Warbuck — wyrzęziła do niego — z tego, że spisałam wszystko co wiem, i że zostało to ukryte w bezpiecznym miejscu - i że w ciągu dziesięciu dni od mojego zaginięcia lub śmierci wszystko wyjdzie na jaw, a ty...

— Zamknij gębę!

— ...a ty zawiśniesz, i nich cię diabli! — warknęła staruszka, chłostając językiem jak biczem.

— Jeśli spróbujesz mną kierować...

— Kieruję tobą już od ponad dwudziestu lat, prawda? — zadrwiła z niego.

— Tak? I nawet jeszcze mi nie powiedziałeś, czego chcesz dzisiejszej nocy. Wyrzuć to z siebie.

Wyrzuciła to:

— Chcę połowy złota Charliego Cartera. Połowy!

— Ty…

— Tak! Jestem czarownicą, wiedźmą, piekielnym gadem i żmiją. Czym tylko zechcesz, kochanie. I dostanę połowę złota Charliego Cartera.

— Już w tej chwili masz więcej pieniędzy, niż byłabyś w stanie wydać, nawet gdybyś szastała nimi na wszystkie strony, w czasie dziesięciokrotnie dłuższym od twego całego życia.

— Do diabła, chłopaczku, będę żyła jeszcze sto lat - chyba że ktoś mnie zabije, a wszyscy boją się zabić Amandę Grayle! Niektórzy chcą ją nawet utrzymać przy życiu, dopóki nie dowiedzą się, gdzie trzyma swoje złoto - a ty jesteś na każde moje skinienie, wystarczy że tylko kichnę! Bo gdybym umarła – no cóż, umarłabyś zaraz potem, prawda, kochanie?

— Niech cię diabli, Amando, nawet nie wiem, gdzie...

— Nie okłamuj mnie, Bartonie! Wiesz, bo inaczej zabroniłbyś zabijać Charliego, dopóki się nie dowiesz! Wiem także… Och, jest wiele rzeczy, które wiem, prawda, Bartonie? Wyczytałem je w fusach po herbacie.

— Teraz już idę — oznajmił Warbuck. — Zobaczymy się jeszcze. Porozmawiamy o tym...

— Jutro wieczorem, Bartonie.

— Nie! Mam...

— Następnej nocy, Bartonie? — wymruczała do niego te słowa jak stary, senny kot.

— Niech cię diabli, nie! Nie tak szybko. Ja…

— W takim razie za tydzień, Barton. I lepiej o tym pamiętaj. I radzę ci, módl się o moje zdrowie w międzyczasie.

Jeff zaczął się wycofywać, czując, że to dziwne spotkanie dobiegło końca, a gdy to zrobił, ta druga, niewidoczna dla niego osoba, znajdująca się tak blisko za nim, również zaczęła się wycofywać. Lecz nagle oboje zostali zatrzymani przez to, co stało się później, tak nagle i niespodziewanie, jak jakaś eksplozja. Otworzyły się drzwi, których nie widzieli, ale usłyszeli ich szuranie po nierównej podłodze. Były to drzwi prowadzące z innej części budynku, do pokoju, w którym Warbuck przebywał ze starą kobietą z Dziury Wiedźmy. Ciężkie kroki rozdarły nocną ciszę i odbiły echem w starym Pay Dirt Hotel.

— Witaj, Bart — powiedział głos Jima Ogdena, rozbrzmiewający równie wyraźnie, jak jego szybkie kroki. — Dzień dobry, pani Grayle. Niech to będzie przyjęcie dla trzech osób. Przysłuchiwałem się waszej rozmowie o dawnych czasach. I dowiedziałem się paru rzeczy, które chciałem wiedzieć.

Minęła dłuższa chwila, zanim Warbuck wykrztusił: „Witaj, Jim”. Był człowiekiem, którego trudno wytrącić z równowagi, człowiekiem przyzwyczajonym do panowania nad sytuacją i nie odwracania się do niej plecami. Wiedział, że jest twardszy od Jima Ogdena, bardziej

doświadczony i bystrzejszy, a jeśli chodzi o konkretne przypadki, bardziej energiczny. Jeff ponownie wysunął się naprzód; chciał przyjrzeć się tej trójce, która do tej pory była dla niego tylko głosami i niewidocznymi, antagonistycznymi siłami.

— Więc w końcu urosły ci uszy, co, Jim? — stwierdził wreszcie Warbuck i zachichotał. Może starsza pani miała rację i bał się jej, ale z pewnością nie bał się Jima Ogdena. — Mówią, Jim — dodał po krótkiej przerwie — że wiedza to niebezpieczna rzecz! — I znów zachichotał, a właściwie zaśmiał się cicho, zanim jego łagodny, dudniący głos ucichł.

— Ostatnio zaczynałeś mnie martwić, Warbuck — odparł Ogden. — Trudno było zgadnąć, co tam ci siedzi w głowie. Ale było oczywiste, że zwalasz na mnie całą brudną robotę, a sam siedzisz z założonymi rękami i nic nie robisz. Wysłałeś mnie, bym załatwił Boba Vetcha, a ja wykonałem to zadanie. Chciałeś, żeby Charlie Carter zszedł ci z drogi, a potem musiał zniknąć także Bud King; ty trzymałeś się od tego z daleka, co?

— Wydaje mi się, Jim — oznajmił Warbuck, siląc się na dobroduszny ton — że robisz wszystko, by uznano się za zabójcę. Ale, na twoim miejscu nie chlapałbym tak jęzorem. Nigdy. Nawet po ciemku, we własnym pokoju, przy zamkniętych drzwiach. Lepiej trzymaj język za zębami, chłopcze. Pijany jesteś, czy co?

— Trzeźwy jak świnia, Warbuck. Nigdy nie byłem bardziej trzeźwy, nigdy nie byłem bardziej chłodny, nigdy nie myślałem równie jasno. Zalecasz człowiekowi trzymanie gęby na kłódkę, nawet kiedy jest sam na sam z zamkniętymi drzwiami? A co z tobą? Słucham was, odkąd ty i starsza pani Grayle spotkaliście się dziś wieczorem.

— No i? — spytał Warbuck i zabrzmiało to, jakby był rozbawiony. Ale Jim Ogden dobrze go znał. Warbuck był teraz napięty jak zwinięta sprężyna.

— Przygotowywałeś się do tego, Warbuck, by wsadzić mi nóż w plecy, od chwili gdy tylko przestałeś potrzebować mnie tak mocno, jak potrzebowałeś kogoś, kto posłużyłby ci jako kozioł ofiarny. Wiem o tym od dawna. Tak jak byłeś gotów skopać truchło Ricka Voorheesa po tym, jak został zabity będąc na twojej liście płac, tak samo chciałeś skopać i moje. Tyle, że nie będziesz miał na to szansy.

— Tak sobie ciebie słucham — rzucił Warbuck. — Niezły z ciebie gaduła, Jim.

— Dawno temu zamordowałeś człowieka, a ta stara diablica wszystko o tym wie — powiedział Ogden. — Zamordowałeś, powiedziałem, i jeszcze dziś się boisz, że zdradzi komuś prawdę i cię za to powieszą. Sprawdzę to i sam dowiem się wszystkiego, zanim minie tydzień.

— Brzmi nieźle — przyznał Warbuck, i ciągle brzmiało to jakby był w najlepszym humorze w życiu.

— W każdym razie tylko nasza trójka — mówił dalej Ogden, a wszyscy, którzy słyszeli, od razu rozumieli, że wbił w coś głęboko zęby i zamierza się tego trzymać, jak buldog — wie, że w końcu stary Charlie znalazł swoją kopalnię złota. Teraz jest już jasne, że wielu innych, choć może o tym nie wiedzą, przynajmniej się tego domyśla. Sam mi opowiadałeś,

Warbuck, jak ktoś, według ciebie młody Jeff Cody, wrzucił ci do okna kawał złotonośnego kwarcu.

— Słucham, Jim. Nie krępuj się, mów dalej, ja słucham — powiedział Warbuck.

— I lepiej słuchaj uważnie! — głos Jima Ogdena zabrzmiał po prostu paskudnie, jak człowieka o nerwach zupełnie na wierzchu, który chce kontynuować to, do czego już wcześniej przyłożył rękę, wiedząc, że może narazić go to na niebezpieczeństwo, ale nie dba o to; Jim Ogden przemówił otwarcie wyzywająco. — I teraz przychodzi do ciebie ta stara baba i mówi: „Daj mi. Daj mi połowę". A co ze mną?

— Chcesz tę drugą połowę, Jim? — zapytał lekko Warbuck.

— Podziel to na trzy części — zażądał zawadiacko Ogden. — Nasza trójka: ty, starsza pani Grayle i ja.

— Twardy jesteś, co, Jim?

— Twardy jak diabli, Warbuck. Wystarczająco długo robiłeś mnie w konia. Muszę zadbać o swoje dobro, tak samo jak ty. Pomyśl, co byś zrobił w mojej sytuacji. Rozumiesz? To moje stanowisko.

— Rozumiem, Jim. No cóż, muszę się zbierać. Może już pojedziemy?

— Skoro kasa się rozsypuje — oznajmił krótko Ogden — to dlaczego nie rozciąć torby? Podsłuchałem jeszcze jedną rzecz. Znalazłeś się w dosyć głębokiej i czarnej dziurze, Warbuck; lepiej znajdź sobie przyjaciela, póki jeszcze możesz.

— Tak? — odparł Warbuck i po raz pierwszy zabrzmiało to groźnie. — I co jeszcze?

— Wiem, że nie tylko ta kobieta, ale i pewien mężczyzna - Doc Sharpe, tak się nazywa, nieprawdaż? - złapał cię za szyję. I mogę być cholernie blisko dowiedzenia się tego, co Sharpe ma na ciebie, co wydarzyło się prawie dwadzieścia lat temu, kiedy urodziła się twoja córka. Nie chciałeś tego dziecka, które pojawiło się tamtej nocy. Udusiłbyś ją – a nawet próbowałeś ją udusić. Ale doktor Sharpe...

— Wygląda na to, że jestem największym pechowcem we wszystkich siedmiu okolicznych stanach — burknął Warbuck. Jego stopy przesunęły się, a potem znieruchomiały. Po krótkiej ciszy oznajmił stanowczo: — Z waszą dwójką krwiopijców porozmawiam później. Teraz już idę.

Jeff Cody znów zaczął się pośpiesznie wycofywać; i znów niewidoczna i kompletnie niewyczuwalna osoba, która ukradkiem podążała za nim, wycofała się równie pośpiesznie. Jeff cofnął się, trzymając dłoń na krawędzi baru, nie spuszczając wzroku ze ścieżki światła ciągnącej się z pokoju karcianego, w którym znajdowali się Bart Warbuck, stara kobieta i Jim Ogden. Wyczuł, bez konieczności patrzenia czy macania palcami, kiedy dotarł do drzwi, które otwierały się na kuchnię. Odwrócił się i pospiesznie nimi wyszedł. Wymknąwszy się przez tylne wejście do budynku, przebiegł kilka kroków, kierując się w gęstwinę nowych sosen, w miejsce gdzie rzucały najczarniejszy cień, nie chcąc, aby Warbuck, Jim Ogden czy też stara kobieta wiedzieli, że tej bardzo ważnej nocy jeszcze czwarta osoba wpadła do starego Pay Dirt Hotel. Piąty z bawiących w Pay Dirt gości, uciekając przed nim do tej samej zacienionej przystani,

znajdował się nie więcej niż kilka metrów od niego, gdy Jeff odwrócił się, czekając, aż bezwzględna trójca rozejdzie się w swoje strony.

Było za ciemno, by wiele dostrzec; widać było tylko czarną nadbudówkę starego budynku i ścianę wdzierającego się na jego teren lasu.

Lecz dźwięki były tym wyraźniejsze. Usłyszał kroki, trzask i skrzypienie drzwi, a potem przyciszone głosy.

— Gdzie twój koń, Jim? Mój jest tutaj — powiedział Warbuck.

— Dobranoc, chłopcy — pożegnała ich Amanda Grayle i zaczęła się śmiać w sposób, w jaki śmiała się, gdy zły psikus losu dotykał kogoś innego. — Jedźcie szczęśliwie, chłopcy.

— Aż mnie ciarki przechodzą — burknął Jim Ogden. — Zostawiłem konia nad brzegiem rzeki, gdzie jest najciemniej. Ja…

Nagle buchnął ogień i rozległ się huk wystrzału, gdy ukryty w czyjejś dłoni rewolwer sprawił, że każdy głos poza jego własnym przestał mieć większe znaczenie. Natychmiast potem rozległ się zduszony krzyk człowieka, następnie drugi strzał i odgłos upadającego w zarośla ciała.

— Barton, ty porywczy głupcze! — krzyknęła stara kobieta.

— Zamknij się, do jasnej cholery — odparł głos Warbucka, uderzając w bębenki uszne jak kafar. — Uciekaj stąd i trzymaj gębę na kłódkę.

Po raz pierwszy stara czarownica z Dziury Wiedźmy okazała mu natychmiastowe posłuszeństwo; z przerażonym piskiem rzuciła się do ucieczki. Dłoń Jeffa zacisnęła się na broni; choć to nie była jego walka, żołądek podjechał mu do gardła. Nie bardziej niż inni lubił stać bezczynnie, gdy z zimną krwią dokonywano morderstwa. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że tuż za nim znajduje się jeszcze jedna osoba; usłyszał szelest martwych igieł sosnowych poruszonych szybkimi krokami i zduszone sapnięcie. Odwrócił się, by nie zostać zaskoczonym przez jakiegoś kolejnego Warbucka. Usłyszał, jak sam Warbuck oddala się; gdzieś w ciemności rozległ się trzask w zaroślach, a potem zapadła nagła, drżąca cisza.

— Kim ty u diabła jesteś? — mruknął Jeff. — Czego tu chcesz?

Rozpoczęła się trzecia gwałtowna ucieczka. Jeff był jednak zdeterminowany, by dowiedzieć się dziś wszystkiego, co mógł, i nie miał zamiaru dać się zaskoczyć tajemnicy. Trzymając broń w jednej ręce, a drugą wyciągając przed siebie w kompletnej ciemności, posłuchał naglącego impulsu i rzucił się prosto przed siebie za niemal niewidoczną postacią przedzierającą się przez zarośla. Rozległo się kolejne sapnięcie, odgłos potknięcia, i jego ręka uderzyła w czyjeś ramię. Palec na spuście był gotowy do strzału, ale natychmiast się rozluźnił. Postać, na którą natrafiła jego lewa dłoń, przypadkowo spoczywając na łagodnie opadającym ramieniu, była drobna, a jego palce zmierzwiły jej długie włosy.

— Puść mnie, puść mnie! — zażądał zduszony głos. — Na miłość Boską, puść mnie!

Wtedy zrozumiał, a jego mocno zaciśnięte palce nieco się rozluźniły, lecz nie puścił jej całkowicie.

— Czy to ty? — powiedział ze zdziwieniem. — Ty, Arlene?

— A ty jesteś Jeff? Och, Jeff! Ja… Ja… — Zaczęła szlochać. — Puść mnie, Jeff! Puść mnie!

Był bardzo bliski tego by pozwolić jej na to. Potem jednak się rozmyślił.

— Nie, Arlene. Poczekaj chwilę. Jeszcze nie możesz odjechać.

Zaczęła go bić małymi, twardymi pięściami. Przyciągnął ją do siebie i zamknął w uścisku swoich ramion, sprawiając, że jej szaleńcze szarpnięcia stały się na tyle daremne, że chwilę później zrezygnowała i opadła na niego, tracąc resztki sił.

Rozdział VIII

— Pójdziesz ze mną — polecił jej Jeff.

— Nie — powiedziała Arlene i znów zaczęła się gwałtownie szarpać. — Nie chcę!

— Ale pójdziesz. Najpierw musimy dowiedzieć się, czy Jim Ogden nie żyje.

— Nie obchodzi mnie to! Czym on jest, czym jest reszta? Oni wszyscy są tylko zabójcami, mordercami, wężami. To bestie. Mój własny ojciec...

— Dorośnij — warknął gniewnie Jeff. — W odległości dziesięciu kroków od nas może umierać człowiek. Tak czy inaczej, musimy to sprawdzić.

— Nie obchodzi mnie to, mówię ci! Puść mnie!

— Och, do diabła — warknął Jeff z obrzydzeniem i puścił ją. Odepchnął ją nawet od siebie tak, że potknęła się w ciemności i upadła. Później nie zwracał już na nią uwagi; znalazł zapałki, zapalił jedną z nich i zaczął szukać Jima Ogdena.

Kiedy znalazł Ogdena, uznał go za martwego, ale nie miał co do tego pewności. Przeciągnął go więc blisko do tylnych drzwi starego hotelu, wciągnął do środka i zostawił go tam leżącego, podczas gdy sam pośpieszył, zapalając kolejne zapałki, do przypominającej stodołę sali barowej, przez którą wszedł do pokoju, w którym rozmawiali Warbuck, Amanda Grayle i Jim Ogden. Tak jak miał nadzieję, znalazł tam świecę. Zapalił ją, postawił na barze i wrócił do Ogdena. Zastał Ogdena siedzącego, krzywo opartego o bar, z jedną stroną twarzy czerwoną od krwi, która błyszczała w świetle świecy. Palce jednej, bezwładnej dłoni były czerwone, a ściekająca z nich krew tworzyła ciemną kałużę w małym zagłębieniu wytartej podłogi.

— Więc jednak żyjesz, co, Jim? — powiedział Jeff tonem osoby niezbyt zaniepokojonej, ale naturalnie zainteresowanej tym nieoczekiwanym zjawiskiem.

— Czy wykrwawiam się na śmierć? — spytał ranny. — Czy możesz jakoś powstrzymać krwawienie, Jeff?

— Dlaczego, do diabła, miałbym to zrobić? — powiedział Jeff, a stary gniew przeszył go gorącym płomieniem. — Zabiłeś Boba Vetcha, zabiłeś Charliego Cartera i widziałem, jak powiesiłeś Buda Kinga. Co mnie obchodzi, czy wykrwawisz się na śmierć?

— Jeśli tak o tym myślisz… — Jim Ogden zaczął szarpać swoją koszulę, próbując oderwać z niej kawałek materiału, który nadawałby się na bandaż.

Siły, które mu pozostały, były nie większe niż u kociaka. Przez chwilę lekko się kołysał, po czym stopniowo zaczął bezwładnie opadać, aż nagle

jego chude ciało ponownie wylądowało na podłodze, pogrążając się w stanie nieprzytomności, graniczącym bezpośrednio ze śmiercią.

Jeff przyjrzał mu się z boku, w blasku świecy, która stała w spływającym roztopionym wosku, dając niewystarczające światło. Kula przeszyła czaszkę Ogdena centymetr nad lewym uchem; druga wwierciła się w górną część ciała, być może łamiąc mu łopatkę. Pozostawiony na pewną śmierć przez zbyt pewnego siebie Warbucka, który strzelił do niego dwa razy z odległości zaledwie czterech czy pięciu stóp, wciąż miał szansę przeżycia. Żyć, pomyślał ponuro Młody Jeff, i sprawiać, by lepsi ludzie od niego, tacy jak Bob Vetch i Bud King, umierali.

— Czy on nie żyje? — spytała Arlene cienkim, zdławionym szeptem.

Jeff skończył niezdarnie, chaotycznie pracę, którą rozpoczął Jim Ogden, rozrywając koszulę Ogdena i robiąc z niej bandaże, częściowo tamujące upływ krwi. Myślał: „Nie wiem, co z nim zrobić. Niech go szlag, niech i tak umrze. Ale Cichy Jeff mógłby pomóc. Albo stary Bill."

Wyprostował się, ręce miał poczerwieniałe, i stał, patrząc na ledwie oddychającego mężczyznę, rozciągniętego bezwładnie u jego stóp.

Arlene podeszła bliżej, drżąca i niezdecydowana, na wpół martwa ze strachu i przerażenia.

— Jeff! Odpowiedz mi! Czy on… czy on u-umrze? Czy już jest martwy?

— A skąd mam wiedzieć, do diabła? — rzucił szorstko. — Powinien.

I wtedy zdał sobie sprawę, że Arlene jednak nie uciekła. Powiedział, a w jego głosie zabrzmiał niepokój:

— Nie jestem lekarzem. Nie mogę mu pozwolić tak leżeć na podłodze. W jednym z pomieszczeń, zaraz za starym pokojem do gry w karty, było łóżko. Zaniosę go tam. Ty biegnij po mojego tatę. Zawołaj też starego Billa Morgana. Powiedz im, że mają się pospieszyć. Powiedz im, że Ogden został cholernie mocno postrzelony.

— Pójdę, Jeff, pobiegnę.

Był tylko mgliście świadomy jej bliskości; nie słyszał nawet lekkiego, szybkiego tupotu jej biegnących stóp. Wziął świecę, poszedł szukać dawno nieużywanego łóżka w pobliskim pokoju; znalazł je i popatrzył na nie ze smutkiem. Wciąż tam było, po pierwsze. Było zbite z litego mahoniu i śmiało się z upływu lat. Wciąż leżał na nim stary, spleśniały, gnijący materac; gdy go dotknął, w górę uniosły się niewielkie kłęby kurzu niczym dziecięce duchy. Pomyślał, że jeśli położy się tam człowieka z otwartymi ranami, to wszystko to dostanie się do jego krwi i na pewno go zabije. Wrócił więc do Jima Ogdena i stał, patrząc na niego ze zmarszczonymi brwiami, czekając na przyjście Cichego Jeffa i Billa Czerwonej Koszuli.

Cichy Jeff przybył jako pierwszy, z latarnią kołyszącą się u boku i starą strzelbą hołubioną pod pachą. Wszedł do środka, popatrzył na syna jastrzębim wzrokiem, po czym poświecił światłem latarni na białą, zakrwawioną twarz Jima Ogdena. Zastanowiwszy się chwilę, czuł się zobowiązany do chrząknięcia. Nie takiego normalnego, zwyczajnego i pospolitego chrząknięcia, lecz takiego, które mówiło całkiem sporo. Następnie uniósł kudłate brwi, by ponownie popatrzeć na Jeffa. Było to równoznaczne ze słowami: „No i? I co z tego? Byłoby lepiej, gdyby nie żył, prawda?".

Wtedy nadbiegła Arlene, a tuż za nią, także niosąc latarnię i ściskając strzelbę, pojawił się stary Bill Czerwona Koszula. Arlene, z rękami tragicznie splecionymi na piersi, stała nieruchomo przed drzwiami. Stary Bill wszedł z impetem; jego wzrok spiorunował wzrokiem Cichego Jeffa, szybko przeskoczył na Młodego Jeffa, a potem spłynął na nieprzytomnego i wyglądającego zupełnie jak martwy Jima Ogdena. Stary Bill parsknął jak koń, który chce uciec.

— Powiedziałbym, że odwaliłeś kawał dobrej roboty z tym Ogdenem — stwierdził. — Po co chcesz to zepsuć? Jeśli jeszcze nie umarł, to niech umrze.

— Ja go nie zastrzeliłem — odparł krótko Jeff. Potem popatrzył na Arlene; opierała się plecami o bar, jej drżące dłonie były mocno przyciśnięte do ust i nie zdziwiłby się, gdyby zemdlała. Jeff nie wypowiedział więc słów, które miał na końcu języka; nie powiedział: „To Warbuck go zastrzelił". To mogło poczekać; nie było sensu dalej torturować takiego dzieciaka jak Arlene, nawet jeśli była Warbuckiem.

Prychnął na Billa Morgana:

— Nie pozwoliłbyś psu umrzeć w taki sposób, Bill, i dobrze o tym wiesz. — Popatrzył na Cichego Jeffa. — Ty też byś nie pozwolił, Jeff. Co z nim zrobimy? Bardzo krwawił, nie sądzę, że powinniśmy go ruszać. Co wy na to?

Kilka minut później podnieśli Jima Ogdena i zanieśli go do pokoju, w którym stało stare łóżko. Najpierw Cichy Jeff i Arlene poszli do chaty Cichego Jeffa po czyste koce i stare, poszarpane, ale dość czyste prześcieradło, które posłużyło za bandaże oraz butelkę wysokiej mocy alkoholu do przemycia ran. Szczypanie alkoholu sprawiło, że Ogden otworzył oczy. Poprosił o wodę, a oni mu ją podali, z solidnym dodatkiem alkoholu starego Jeffa.

Arlene odwróciła się, by odejść. Desperacja wypisana na jej twarzy, sprawiająca, że jej oczy wydawały się ciemne i ogromne na tle bladej twarzy, pociągnęła za nią młodego Jeffa. Wyprzedził ją w sali barowej, gdzie jego świeca wypaliła się już i zaczęła przygasać.

— Przykro mi z powodu tego wszystkiego, Arlene — powiedział, dopiero teraz zaczynając rozumieć, co dzisiejsze wydarzenia i ujawnione informacje musiały dla niej oznaczać. — To dla ciebie trudne, ale musisz to zaakceptować. Chcesz, żebym pojechał z tobą do domu?

— Do domu? — odparła Arlene. W jej oczach nagle pojawiła się wilgoć, która sprawiła, że zalśniły w blasku świecy. Potem powiedziała jeszcze raz, niemal wykrzykując to słowo: — Do domu!

Zaczęła się śmiać, potem szlochać, a chwilę później Jeff nie był w stanie już stwierdzić, czy się śmieje, czy płacze. Zresztą sama Arlene też nie potrafiłaby tego powiedzieć.

— Uważaj! — oznajmił ostrzegawczo. — Jesteś tak napięta jak struna skrzypiec, która zaraz pęknie. Trzymaj się mocno, Arlene.

Arlene trzymała się – przytulając się do niego. Żadne z nich nie wiedziało, jak to się stało, ale szlochała, opierając twarz o jego pierś i obejmując go ramionami.

— Do domu — powtórzyła po raz trzeci, jej głos był tak stłumiony, że ledwo słyszał, co mówi. — Nigdy nie wrócę w tamto miejsce. Nigdy! Po dzisiejszym wieczorze, po tym, co teraz wiem...

— Dokąd więc chcesz jechać? — dopytywał się Jeff.

— Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Dokądkolwiek na ziemi, byle nie tam.

Wyszedł z nią na zewnątrz, gdzie wśród sosen uwiązany był jej koń. Jego dłoń ześlizgnęła się z ramienia dziewczyny w dół, na chwilę zacisnęła się na nadgarstku, po czym złapała jej dłoń, zaś ta przylgnęła do jego. Czuł, jak wstrząsają nią dreszcze. Powiedział, wciąż trzymając ją, gdy chciała się wyrwać i wdrapać się na siodło.

— Jak to się stało, że tu dziś się znalazłaś?

— Byłam strasznie niespokojna; ostatnio często się czegoś boję, choć nie do końca wiem dlaczego. — Zadrżała. — Głównie przez tę starą kobietę. Fascynowała mnie, odkąd byłam małą dziewczynką. Czasami, gdy jadę konno sama, przejeżdżam koło jej domu. Mówiła mi takie dziwne rzeczy, jedynie mgliste aluzje, Jeff, które sprawiły, że chciałam się dowiedzieć, co ona wie, czego nie wie nikt inny, skąd to wie i jaką tajemnicę kryją Warbuckowie. Wyruszyłam dziś wieczorem na spotkanie z nią; kiedy już tam prawie dotarłam, usłyszałam, że ktoś jedzie za mną; zjechałam na bok w ciemności i pozwoliłam mu się wyminąć. To był mój ojciec. Zaczęłam ich szpiegować…

— Trójka szpiegów dziś wieczorem — stwierdził Jeff. — Ty, ja i Jim Ogden. Jak on się znalazł na tym przyjęciu?

— Nie wiem. Zauważyłam ostatnio dziwny wyraz jego twarzy, kiedy obserwował mojego ojca, a robił to cały czas kątem oka. Przypuszczam, że śledził go dziś wieczorem. Och, pozwól mi odejść!

— Dokąd? — spytał po raz drugi.

— Mówię ci, że nie wiem! Nie obchodzi mnie to! Puść mnie!

— Pojadę z tobą — powiedział Jeff. — Nie puszczę cię samej w takim stanie. Ale poczekaj chwilę! Nie możemy odejść i zostawić Jeffa i Billa na pastwę losu. Tam jest Jim Ogden...

— On nie żyje — stwierdziła żałośnie Arlene. — Był umierający. To było widać.

— Ale nie umarł. Ma nawet szansę się uratować. Chodź ze mną, zobaczymy, co da się dla niego zrobić. Potem może, jeśli jesteś zdecydowana na jazdę konną i nie obchodzi cię dokąd, pojedziesz do Doca Jonesa. Chodź z powrotem. To zadanie tak samo dla ciebie, jak i dla mnie.

Jak wcześniej, tak i teraz, jego słowa przyciągnęły ją z powrotem do starego domu i do Jima Ogdena. Zastali Cichego Jeffa i Billa Morgana Czerwoną Koszulę, stojących jak dwie stare postacie wyrzeźbione ze zwietrzałego drewna, ignorujących się nawzajem i wpatrujących się w człowieka na łóżku. Jeff odezwał się energicznie.

— Arlene zostanie tu jeszcze przez jakiś czas; spróbujemy wyciągnąć z tego Ogdena. Albo ona, albo ja podjedziemy do paru najbardziej prawdopodobnych miejsc w drodze do Pioneer, w których można znaleźć Doca Jonesa. Powiedzcie nam, co robić w międzyczasie. Cokolwiek?

Podczas gdy Bill Czerwona Koszula odpowiadał na to pytanie wieloma ostrymi słowami, Cichy Jeff odpowiedział krótko i odwrócił się do drzwi. Uwagi Cichego Jeffa ograniczyły się do drgnięcia warg, uniesienia w górę jednego końca jego wielkiego wąsa i wzruszenia ramionami. To jednak mówiło wszystko, co Czerwona Koszula lub jakikolwiek inny człowiek mógł mieć do powiedzenia.

— Ja zostanę tutaj — powiedziała Arlene. — Nie chcę, żeby umarł. Ty jedź do lekarza, Jeff.

— Ona nie chce by Jim Ogden umarł — powiedział sobie młody Jeff, gdy ruszył przez ciemność w kierunku Pioneer City. — Ale dlaczego? Pewnie byłoby jej ciężko, wiedząc, że jej ojciec znów jest mordercą. — Lecz przypomniał sobie Arlene tańczącą z Ogdenem w Pioneer i zaczął się zastanawiać, a stukot kopyt jego konia zdawał się wybijać jeden refren: „Ona nie chce, żeby on umarł.".

Znalazł Doca Jonesa na zapleczu Silver Bar, grającego w pokera. Doc, spieniężywszy swoje żetony, wstał z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Ja to naprawdę mam dzisiaj szczęście — zaśmiał się, patrząc na twarze mężczyzn, z którymi grał. — Wygrywałem całą noc, Jeff, dopóki szczęście nie odwróciło się ode mnie, jakieś dziesięć minut temu. A teraz ty przybiegasz, żeby mnie stąd wyciągnąć, kiedy jeszcze jestem na plusie! Nikt nie może winić lekarza za wycofanie się z gry, przy tego rodzaju nagłym wypadku, prawda? Bujajmy się stąd.

— Przy okazji, Doc — zapytał Jeff — jak tam sobie radzi Dan Hasbrook? Wszystko w porządku?

— Dana trudno zabić; na pewno jest cały i gotów do akcji. A teraz chodźmy.

Musiał jednak zatrzymać się po swoją torbę i wstrząsnąć butelką lekarstwa dla starej Butcher Lily, więc Jeff powiedział mu, dokąd ma się udać, a sam pojechał dalej nie czekając.

Kiedy wrócił przez mroczne ciemności spowijające Halcyon, zastał Arlene samotnie opiekującą się półprzytomnym, bladym Jimem Ogdenem.

U stóp łóżka stało rozklekotane, stare krzesło, na którym siedziała. Po obu stronach łóżka stały dwa małe stoliki, a na każdym z nich paliła się zadymiona latarnia, zaś ponury pokój wręcz trząsł się od upiornych cieni.

— Przynajmniej ciągle jeszcze żyje — mruknął Jeff.

— On musi żyć, Jeff! Musi! — Poderwała się, podbiegła do niego i złapała go za obie ręce. — Gdyby umarł...

— Tak? A jeśli umrze? Słyszałaś go, słyszałaś, co mówił...

— Jeśli on umrze, ja też chcę umrzeć! — Potrząsnęła nim szaleńczo, po czym nagle rozluźniła się i opadła na krzesło.

— Och — stwierdził młody Jeff. Po chwili zapytał: — Co się stało ze starszymi panami? Gdzie są Jeff i Bill?

— Nie mogli oddychać razem w tym samym pokoju — wyjaśniła Arlene. — Udawali, że muszą po coś iść; jeden potrzebował whisky, a drugi kolejnego koca. Dlaczego oni się tak nienawidzą, Jeff? Och, dlaczego ludzie muszą się tak nienawidzić… i robić rzeczy, które robią ludzie?

— Możesz odjechać w każdej chwili — powiedział Jeff. — Kiedy tylko będziesz wiedziała, dokąd chcesz jechać. Doktor Jones będzie tu lada chwila.

— Nigdzie stąd się nie ruszę — odparła szybko Arlene. — Zostanę tutaj. Mogę być kimś w rodzaju pielęgniarki. Dr Jones powie mi, co mam robić.

Młody Jeff, który już powiedział „Och!", teraz powiedział „Hmf!".

— Co masz na myśli mówiąc „Hmf" — zaczęła ostro się dopytywać Arlene.

Wziął jedną z latarni aby przeszukać stary budynek i zobaczyć, co zdoła znaleźć w kwestii wygód, którymi mógłby ją otoczyć. Jasne, że zamierzała zostać; nie musiała tego dwa razy powtarzać. W końcu tutaj miała jakieś schronienie; to było coś lepszego niż ucieczka na wpół ślepo przez las, nie wiedząc, dokąd zmierza, nie dbając o nic, dopóki nie był to „dom".

Na parterze nie było niczego, co by się do czegokolwiek nadawało. Po raz pierwszy od lat ruszył więc w stronę schodów, które prowadziły na górę. Z holu, będącego zaledwie przedsionkiem do przestronnego baru, zaczął wchodzić po skrzypiących stopniach. Przypomniał sobie o pewnym pokoju; w dawnych czasach musiał to być w hotelu apartament typu *deluxe*. Miał wyjście na górną werandę; znajdowało się w nim ogromne łóżko, wyblakła czerwona sofa, stół i marmurowa umywalka, dwa duże krzesła i… cała horda nietoperzy. Jeff uchylił się, nietoperze wyleciały, a on wszedł do środka i wziął najwygodniejsze krzesło. Stojąc przy drzwiach obejrzał się krytycznie za siebie.

— Jeśli zostanie tu dłużej, ten pokój można by naprawić — zdecydował. Następnie zszedł na dół ze swoim krzesłem.

Arlene została. Niespodziewanie okazało się, że Arlene jest bardziej odważna, niż ktokolwiek z nich - stary Jeff, młody Jeff i Bill Czerwona Koszula - przypuszczał. Jej podbródek był okrągły, miękki, słodki i miał leciutki dołeczek; teraz przekonali się, że był to podbródek, który potrafił być równie uparty jak podbródek Barta Warbucka.

Doktor Jones przyjechał, zbadał, wymacał, chrząknął i dał wskazówki („Niech skunks zdechnie, kogo to obchodzi?" — dopytywał się) i odjechał. Arlene oznajmiła:

— Nie pozwolimy mu umrzeć. Nie może. — Odwróciła się do Jeffa, położyła mu obie ręce na jego ramionach i powiedziała: — Prawda, Jeff?

Tak, Arlene została.

* * * *

Jeff wyszorował i wywietrzył, a po pewnym czasie odnowił, dla niej pokój wychodzący na werandę na piętrze. Nie mogła jechać do domu po swoje ubrania; nie miała ze sobą nawet szczoteczki do zębów. Kilka rzeczy, które musiała mieć, aby żyć jak człowiek, kupiono dla niej w sklepie w Pioneer City; to Cichy Jeff w swoim wozie, w towarzystwie pięciu psów, udał się na zakupy. Kiedy poprosił o szczotkę do włosów i dziewczęcą koszulę nocną, Jock Barber, sklepikarz, nachylił się w jego

stronę. Stary Jeff zacisnął kąciki ust, bardzo zadowolony z siebie, podkręcił wąsa i pozwolił swym starym oczom wywrócić się ku niebu; i to było wszystko, co Jock Barber z niego wyciągnął.

— Powiesz swoim rodzicom, gdzie jesteś? — Młody Jeff spytał Arlene. — Zamierzasz wtajemniczyć ich w cokolwiek?

— Nie — odpowiedziała mu krótko Arlene. Odwróciła się do tyłu, po czym zawirowała z powrotem i powiedziała szybko: — Pewnie wszyscy już się dowiedzieli, że mój ojciec próbował zamordować Jima Ogdena. Rozgłosiłaś to po całym mieście, kiedy pojechałaś po doktora Jonesa, co?

— Niech to szlag — zakpił Jeff. — Zamierzałem to zrobić, ale zapomniałem. Tak się złożyło, że nie powiedziałem o tym nikomu; po prostu wyciągnąłem Doca od pokerowego stolika, powiedziałem mu na dworze o co chodzi, a nawet przekonałem, że lepiej będzie, jeśli zamieciemy na razie całą sprawę pod dywan, dopóki nie dowiemy się o tym wszystkim odrobinę więcej. Szkoda, ale trochę już za późno, żeby coś z tym zrobić, nie uważasz?

— Jeff — powiedziała dziewczyna i wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpłakać — czy ty chcesz, żebym cię pokochała? — Wybiegła z pokoju.

„Biedna dziewczyna” — pomyślał, pocierając podbródek i spoglądając za nią po stromych, ciemnych schodach. „Dla Arlene Warbuck to piekielny upadek. W zeszłym tygodniu najbardziej dumna królowa na świecie, a teraz co? Ojciec jest zabójcą i skunksem, a ona musi o tym myśleć kładąc się spać, budząc się, cały dzień próbując utrzymać przy życiu tego drugiego skunksa, Ogdena. Rany.

Podszedł do Cichego Jeffa i Billa Czerwonej Koszuli, by zamienić z nimi kilka słów:

— Nie możecie zostawiać jej samej z Ogdenem — oznajmił bez ogródek. — Wy dwaj jesteście jedynymi sąsiadami, którzy są pod ręką; musicie zadbać o to, by któryś z was był z nią przez cały czas.

Sam nie wyjechał z Halcyon do czasu, aż noc przesunęła się o połowę drogi do świtu, i zostawił Cichego Jeffa i Arlene razem. Oboje wyglądali na kruche, nierealne postaci w ogromnej, wypełnionej cieniami sali barowej. Musiał wracać na ranczo; miał na głowie tę przeklętą hipotekę i Barta Warbucka do spłacenia, a ponadto obiecał, że wczesnym rankiem będzie daleko w terenie, by porozmawiać z chłopcami Frasera o interesie z końmi. Sprzedałby teraz niedojrzały materiał, jak musiał, a pieniądze dla Warbucka zdobędzie w ten czy inny sposób, jeszcze przed jesienią. To była kolejna obietnica, którą młody Jeff złożył samemu sobie.

Do Halcyon wrócił dopiero drugiej nocy. Wjeżdżał do miasta późno, zmęczony, nic nie zrobiwszy, a dług wobec Warbucka wisiał mu nad głową niczym monstrualny, czarny jak noc, Chiński Mur. Tej nocy jechał na Rangerze. Garbił się w siodle, ze spuszczoną głową, zdegustowany wszystkim. Ranger parsknął. Stary Bill Czerwona Koszula Morgan, nie potrafiłby parsknąć mocniej nawet wtedy, gdy był w najlepszej formie.

Młody Jeff uniósł głowę. On i Ranger byli tak bardzo zdumieni, że zatrzymali się jak wryci i popatrzyli na siebie. Jeff przetarł oczy, Ranger potrząsnął głową i ponownie parsknął. To, co właśnie zobaczyli, wystarczyło, by zaniepokoić ich obu.

We wszystkich oknach starego Pay Dirt Hotel paliło się światło. Światło paliło się w każdym ze starych, dawno opuszczonych domów. Na Placu płonęło ognisko. Latarnie krążyły wszędzie dokoła jak świetliki. Słychać było szum głosów, jakby wielokrotnie wzmocniony szum roju pszczół. Wszędzie kręcili się ludzie. Mały, od dawna martwy Halcyon znów obudził się do życia!

I budząc się po wieloletniej ciszy, zachowywał się dokładnie tak, jak w przeszłości: Hell's Bells jak był pieszczotliwie nazywany przez tych, którzy go kochali. To była nazwa pasująca do dzisiejszego wieczoru.

Jeszcze tydzień temu w Halcyon mieszkało dwóch starców. Potem stanęli tam obozem ranny mężczyzna i dziewczyna. A teraz? Wprowadziło się tu tysiąc ludzi, z rodzaju tych, którzy zwykle tworzą otwarte, nowonarodzone, bezprawne górnicze miasteczka Zachodu.

Niewątpliwie Halcyon znów żył. I to z dzwonami włączonymi na pełny regulator.

Rozdział IX

Zdumiony, niemal jak porażony piorunem, Jeff Cody podjechał do frontowych drzwi starego Pay Dirt Hotel. Zbudowano tu długą poręcz do wiązania koni: oczyszczono z gałęzi kilka drzewek i zrobiono z nich lekko uginające się drążki wiszące pomiędzy pośpiesznie i krzywo poustawianymi słupkami; wśród tłumu innych koni niemalże nie było możliwości, by Jeff mógł znaleźć miejsce dla Rangera.

Ranger odetchnął z głęboką ulgą; przypadkiem został uwiązany tuż obok pony, którego znał, małej rudej klaczy należącej do Franka Plunketta, mieszkającego kawałek w górę nurtu Wandering River. Oboje przyjaźnie potarli się nosami.

Jeff przepchnął się przez małe lobby, gęste od ludzi i dymu tytoniowego, i wszedł do baru. W lokalu znajdowało się nie mniej niż dwustu ludzi i nie było wśród nich ani jednego zabijaki. Byli zajęci wydawaniem pieniędzy przy okrągłych stołach pokerowych lub przy świeżo wyczyszczonym i wypolerowanym czterdziestostopowym barze.

Barmanów było dwóch. Na jednym końcu stał Cichy Jeff, na drugim Czerwona Koszula Bill Morgan. Wydawali drinki w dobry, staromodny sposób. „Co podać, panowie?” - pytali i stawiali przed delikwentem butelkę whisky. Jeśli nie chciałeś whisky - a kto by nie chciał? - lub jeśli miałeś ochotę na markę inną niż ta, którą Pay Dirt właśnie przed tobą stawiał, było po prostu kiepsko. Mogłeś sobie pojechać w inne miejsce - tylko że tak się składało, że nie było żadnego innego miejsca.

Zdumione oczy Jeffa omiotły pomieszczenie. Zobaczył co najmniej kilku ludzi, których dobrze znał, Eda Spurlocka i Steve'a Bannistera, dwóch chłopców Jamesona i Sama Harpera, Hanka Fellowesa, Chrisa Wrighta i Dicka Yatesa - ludzi z Wandering River i krainy krów po drugiej stronie Pioneer City, a także ze stu osiemdziesięciu innych mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widział na oczy. Wydawało się, że przybyli z każdego zakątka ziemi. Był tam wielki Chińczyk z brylantem w czerwonym krawacie, a obok niego mały Chińczyk w łachmanach; był tam człowiek, który wyglądał jak bankier z Albuquerque lub San Antonio i wznosił kieliszek z dżentelmenem, wyglądającym jakby wyszedł prosto z jakiegoś większego i brudniejszego miejskiego rynsztoka; byli Szwedzi, których można spotkać wszędzie, nawet w górach i na pustyniach, i byli tam wykolejeńcy z czterech stron świata. Byli tam górale i ludzie pustyni, krzykliwie ubrani i tacy którzy jakby się wszystkiego bali, przynajmniej jeśli chodzi o ich ubranie. Starzy i młodzi, mieszkańcy miast i ludzie, którzy nigdy nie widzieli miasta liczącego więcej niż pięć tysięcy mieszkańców.

A tej podpitej hordzie wciąż przewodniczyli Jeff i Czerwona Koszula Bill! Na swoim końcu baru Bill Czerwona Koszula witał wszystkich jak leci radosnymi okrzykami, dla tych, których znał i lubił dodając uściski dłoni, oraz okrzyki zaczynające się od: „Powiedz, czy widziałeś kiedyś takie miejsce, jak tutaj!” Zaś na swoim końcu baru Cichy Jeff uśmiechał się krzywo jednym końcem swych wąsatych ust lub unosił kudłatą brew - unosząc obie brwi naraz, tylko od czasu do czasu. Zarówno on jak i Bill Morgan stawiali z hukiem butelki i pobierali dolara od każdego drinka - a każdy z nich mógłby wykupić cały ten tłum i nawet by nie zauważył, ile go to kosztowało! Wpływy ze sprzedaży trafiły do dwóch oddzielnych pudełek; Jeff zauważył to jako pierwszą rzecz.

— To trochę zabawne — pomyślał Młody Jeff. — Te stare pierniki nawet na siebie nie spojrzą. Obaj udają, że nie wiedzą, że ten drugi też jest w pracy. Ale założyłbym się o wszystko, że obserwują napływające dolary i każdy z nich chce sprzedać więcej niż drugi. Co ich do tego skłoniło?

Kiedy nadarzyła się okazja, przyciągnął spojrzenie Cichego Jeffa i przecisnął się do baru.

— Powiedz mi, Jeff… — Cichy Jeff postawił przed nim z hukiem świeżą butelkę.

— Nie będę pić, Jeff — powiedział Młody Jeff. — To ty mi powiedz. Co z Jimem Ogdenem?

Cichy Jeff uniósł głowę w taki sposób, by zasygnalizować, że tam są schody prowadzące na górę i że Jim Ogden może się tam znajdować.

— A Arlene? Wciąż z nami?

Cichy Jeff powtórzył swój gest z pewną wariacją; jego kiwnięcie głową nabrało odcienia przygnębienia. Jasne, Arlene też tam była, może nie powinna, ale była. Przesunął butelkę wzdłuż baru do nowego klienta.

— Co się tutaj stało? — spytał młody Jeff. — Zdaje się, że ktoś wpadł na pomysł, że Halcyon to dobre miejsce.

Cichy Jeff uniósł do góry swe kościste ramiona. Następnie zainkasował dwa dolary za dwa kolejne drinki i wrzucił je do skarbonki. Młody Jeff poszedł na górę.

Jedni ludzie wchodzili na górę, a inni schodzili na dół. To miejsce cuchnęło ludźmi. Pierwsze pytanie brzmiało: skąd oni się tu wzięli? Po co przyjechali? To było następne, z listy najważniejszych pytań.

— Złoto — pomyślał Młody Jeff. — Chyba diabeł wyskoczył z pudełka. Pewnie wieść się rozeszła i znaleźli kopalnię starego Charliego Cartera.

Wtedy usłyszał dziewczęcy śmiech. Był to wysoki, piskliwy śmiech, w którym nie było ani krzty szczerego rozbawienia, lecz raczej złośliwa radość. Stara wiedźma z Dziury Wiedźmy mogła śmiać się w ten sposób, kiedy była młodą dziewczyną.

Niczym złota nić przez ten niemal blaszany śmiech przebił się głos innej dziewczyny, głos Arlene.

— Tak właśnie myślisz, że było, co? I tak to odbierasz? Ze śmiechem? Kiedy...

Głos pierwszej dziewczyny odezwał się ponownie, dzwoniąc z metaliczną wyrazistością przez stare, cienkie drzwi.

— Halcyon wrócił do siebie, Arlene, kochanie! — zawołała wesoło. — Znowu zaczyna się tu rozpętywać wesołe piekło, a ci dwaj starzy dżentelmeni, którzy wpadają tu do Jima Ogdena, to tylko jego część, prawdziwy początek. To najzabawniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek się wydarzyła. Oczywiście, że jestem wniebowzięta; każdy, kto nie był różowo-białym wypieszczonym bobasem, byłby wniebowzięty. Ty miękka ciamajdo!

— Kto ci powiedział?

— O tym, że kochany tatuś Warbuck postrzelił Jima Ogdena? Nikt mi nie powiedział i nie czytałam o tym w gazetach.

— Nie tak głośno. Te ściany...

— Kogo to obchodzi? Mnie nie. Wiesz, Arlene, potrafię czytać w ludzkich myślach, tak samo jak stara matka Grayle. Zdarzało się wielokrotnie, że tatuś Warbuck i Jim Ogden spoglądali na siebie w bardzo zabawny sposób, a ja obserwowałam, jak Jim węszy za naszym słodkim tatką. Tamtej nocy, kiedy Jim nie wrócił do domu i ty też, a pan Bart Warbuck miał krew na grzbiecie dłoni, zastanawiałam się, skąd ona się tam wzięła!

Jeff pośpiesznie podszedł do drzwi i zapukał. Drzwi otworzyły się natychmiast i wyjrzały przez nie dwie dziewczyny. Jedną z nich była Arlene, a drugą Miriam Warbuck.

Jeff nie widział Miriam już od długiego czasu, ale nawet jeśli ktoś nie widziałby jej przez dwadzieścia lat, to nie potrzebowałby nawet sekundy żeby ją rozpoznać. Była mniej więcej w wieku Arlene, lecz była nie większa niż dziecko w wieku ośmiu czy dziesięciu lat. Miała pikantną, ciemną twarzyczkę otoczoną kręconymi, atramentowo czarnymi włosami; jej usta były jaskrawoczerwone, a oczy ogromne i jeśli to możliwe, jeszcze czarniejsze niż jej włosy. Mała ciemnowłosa Miriam przede wszystkim sprawiała wrażenie krzywej; jej drobne, szczupłe ciało było zniekształcone, jedno ramię miała za wysoko; chodziła szybkim, żwawym krokiem, jak zraniony ptak; na jej twarzy, zarówno teraz, jak i w wielu innych chwilach, malował się wyraz nikczemnej, złośliwej, bezczelnej radości.

— Och, Jeff! — przywitała go Arlene. A potem: — Pamiętasz moją siostrę?

— Adoptowaną siostrę, kochanie — oznajmiła Miriam, akcentując pierwsze słowo. — Nigdy nie zapominaj o tej „adoptowanej” części, najdroższa. Zawsze pamiętaj, jak bardzo nasi kochani mama i tata dbają o to, by wszyscy o tym wiedzieli. — Odchyliła głowę do tyłu, by spojrzeć w twarz Jeffa. — Cześć — powiedziała bezczelnie. — Podsłuchiwałeś, co? Jesteś młodym Jeffem Codym, pamiętam cię...

— Witaj, Miriam — rzucił krótko Jeff; była to dziewczyna, której nigdy nie lubił, znając ją tak, jak kiedyś ją znał – była sprytną, samolubną i bezlitośnie okrutną istotą. Mgliście zastanawiał się, czy wciąż ma swoją strzelbę kaliber dwadzieścia dwa; uwielbiała z niej zabijać; widział, jak kiedyś zastrzeliła szarą wiewiórkę o puszystym ogonie wysoko na sośnie, a potem stała pod nią i patrzyła z niecierpliwością, jak wiewiórka w swej

ostatniej chwili życia, rozpaczliwie trzyma się gałęzi; wciąż pamiętał jej jasny, ostry śmiech i klaskanie w dłonie.

Tak więc jedyne, co do niej powiedział, to zdawkowe „Witaj, Miriam". Zapytał Arlene:

— Co z Ogdenem?

— Wszystko z nim w porządku — odpowiedziała Arlene. — To znaczy, tak twierdzi. Jeszcze tu jest, ale wyjeżdża dziś wieczorem. Czeka tylko, aż przyjedzie po niego wóz.

— Dokąd?

— Do domu, oczywiście, dziecinko — odezwała się Miriam. — Do kochanego tatusia Warbucka, który postrzelił go przez pomyłkę. Tatuś myślał, że Jim Ogden jest królikiem. Zauważyłeś kiedyś, jakie Jim ma długie uszy?

Jeff wzruszył ramionami. Dziwne, pomyślał, że Jim wraca do Warbucka. Ale to była sprawa Ogdena i Warbucka; jeśli postanowili poderżnąć sobie gardła, nie musiał się tym przejmować. Byłoby dobrze.

Spytał Arlene:

— A ty? Byłaś tu cały czas? — Przytaknęła. — Zostajesz?

— Tak, zamierzam zostać w Halcyon.

— Co się tu działo przez kilka ostatnich dni? Skąd się tu wszyscy wzięli? Ten tłum w Halcyon. Jakim cudem?

— Wszyscy mówią o szukaniu złota; oszaleli na tym punkcie — stwierdziła Arlene. — Najzabawniejsze w tym jest, że nikt nie wie, gdzie to złoto jest!

Miriam znów zaczęła się śmiać.

— Opowiem ci to, Jeff! Najzabawniejsze? Po prostu boki zrywać! Tamtej nocy, gdy Jim Ogden został wzięty za królika, dwaj chłopcy Duckweilera - znasz starego Duckweilera, fryzjera w Pioneer? - przejeżdżali tędy późno; wracali z Blue Ridge. Usłyszeli kilka strzałów; usłyszeli, że ktoś jedzie, jakby gonił go sam diabeł; zobaczyli kilka innych pędzących osób. Podkradli się bliżej i zobaczyli poruszające się latarnie, jakichś ludzi wchodzących do hotelu. Myśleli, jak wszyscy w okolicy, o powrocie do Deer Valley starych złotych czasów. Mówiło się o tym, że Charlie Carter znalazł złoto. Powiedzieli więc: „Cholera, znaleziono złoto i rozpoczął się wyścig!" I pobiegli do Pioneer, aby rozpuścić tę wiadomość. Dostarczyli swoją historię we właściwe miejsce; stary Duckweiler rozpyla ze swego języka plotki, jak skunks rozpyla ze swego ogona zapachy. I tak Halcyon znów stał się miastem boomu, jak za starych dobrych czasów. I wszystkiego dowiedzieli się od kogoś, kto uważa — uśmiechnęła się jak mała diablica, którą przecież była — że na Księżycu istnieje morze krwi! Hahaha!

— Miriam! — powiedziała Arlene.

— Och, zamknij się, mięczaku — warknęła Miriam.

— Pójdę zajrzeć do Jima Ogdena — powiedział Jeff.

Znalazł Ogdena w pełni ubranego, siedzącego na skraju łóżka. Wyglądał blado, był roztrzęsiony i wychudzony, ale mimo to sprawiał wrażenie człowieka, któremu może udać się z tego wyjść. Obaj mężczyźni przywitali się i popatrzyli na siebie.

— Jesteś śmiesznym, cholernym głupcem, Jeff — stwierdził Ogden, pełnym pogardy głosem. — Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, by uchronić mnie przed kopnięciem w kalendarz. Tak samo żałujesz, że Warbuck mnie nie zabił, prawda?

— Nie płakałbym po tym — zgodził się Jeff.

— Wy, półgłówki, nigdy do niczego nie dojdziecie — burknął Ogden. — Równie dobrze możesz skoczyć z klifu teraz, jak i czekać, aż zostaniesz zepchnięty później. Trzeba ludzi takich jak Warbuck czy ja, mały, by dojść do czegoś w tym kraju prawdziwych mężczyzn.

— Wciąż cię ciągnie do Warbucka? — zapytał Jeff.

— Do diabła, tak! On jest naprawdę ważnym człowiekiem, prawda? Wkrótce będę miał jego plecy pod nogami - i kim wtedy będę?

Jeff nie powiedział tego na głos, lecz sam do siebie w myślach: „Najprawdopodobniej trupem", ponieważ znał Warbucka oraz znał Jima Ogdena, i gdyby przyszło mu postawić, no cóż, wszystkie jego pieniądze poszłyby na Barta Warbucka.

— Przyjedzie po mnie wóz — powiedział Ogden. — Powinien już tu być. — Zaśmiał się cicho, po czym skrzywił się z bólu. Ale mówił dalej: — Wysłałem Warbuckowi wiadomość, że jestem ranny. Przysłał mi odpowiedź, że z przykrością o tym słyszy. Spodziewam się, że on sam też przyjedzie razem z wozem. Nie martw się o mnie, Jeff, pojadę na tylnym siedzeniu.

Gdy Jeff wycofywał się z pokoju, nadszedł Warbuck. Podszedł prosto do Ogdena, mijając Jeffa, ale nawet go nie widząc, mówiąc tym swoim dudniącym głosem:

— Ojej, Jim! Ktoś cię postrzelił, tak? Ciężka sprawa, staruszku, ale nie przejmuj się. Wkrótce będziesz zdrów jak ryba. Osobiście się tym zajmę.

— Wiem, że to zrobisz, Warbuck — wycedził Ogden.

Wracając na klatkę schodową, Jeff zobaczył, że drzwi do Arlene są otwarte; że Miriam stoi na korytarzu, obserwując i nasłuchując. Potem zobaczył, jak biegnie, w ten swój dziwny sposób, jak ranny ptak z wlokącym się skrzydłem, do pokoju, w którym zostawił Warbucka i Jima Ogdena. Usłyszał dudniący głos Warbucka:

— Ty tutaj, Miriam? Po jaką cholerę! A gdzie jest Arlene? Na pewno się dowiesz, przeklęta mała wiedźmo.

— A ty jesteś tylko Warbuckiem — a nie chciałabyś być warlockiem? — zażartowała mała, ciemnowłosa Miriam. — Oczywiście, że wiem, gdzie jest Arlene; w pokoju po drugiej stronie korytarza, ukrywa się przed tobą.

Jeff zszedł na dół. Ale zanim dotarł na dół, usłyszał tupot szybko biegnących, lekkich stóp, zbliżających się do niego z tyłu, i zobaczył uciekającą Arlene. Minęła go, przebiegła przez hol, wypadła na ganek i w ciemność na zewnętrz.

Próbował wyrzucić ją z pamięci. Co to wszystko miało z nim wspólnego? Oczywiście, nic. Tak się jednak złożyło, że nigdy jeszcze nie postawił sobie trudniejszego zadania niż teraz, gdy powiedział sobie chłodno i z całym zimnym rozsądkiem: „To, co ona zrobi, to jej sprawa, nie moja". Jakoś ciągle stawała mu przed oczyma jej twarz, ale nie taka, jaką widział ją przed chwilą, kiedy miała kamienny, nic niemówiący wyraz,

lecz taka, jaką widział ją, w tej ogromnej rozpaczy, po tym jak usłyszała rozmowę Barta Warbucka i Amandy Grayle, po tym jak Jim Ogden pojawił się na ich spotkaniu, po tym, jak Warbuck postrzelił Ogdena. Nie mógł przestać myśleć: „Biedna dziewczyna, nękają ją wszyscy, od osła do posła, i nie wie, w którą stronę się zwrócić”.

Nie mógł też przestać stawiać sobie pytania: „Gdzież ona się teraz podzieje?”. Gdzie na tej wielkiej, zielonej ziemi mogłaby się schronić? Wiedział, bo dostrzegł twarde zdecydowanie w jej pełnych pasji oczach, że nigdy nie wróci do „zamku” Warbucka, w Long Valley. Pay Dirt Hotel przez kilka godzin był dla niej czymś w rodzaju spokojnej przystani, ale teraz był tu sam Warbuck i jego ludzie, a ona uciekła od niego najszybciej, jak tylko mogła. Dokąd?

Wzruszył ramionami w wystudiowany sposób. Nie jego sprawa. Ale nie skręcił przez hol do baru, gdzie tyle się działo, gdzie ludzie byli mocno rozemocjonowani, gdzie byli jego przyjaciele. Wyszedł na werandę i stanął po jednej stronie drzwi, wpatrując się w noc, która była tak czarna, jak tylko mogą być noce w górach, kiedy gwiazdy, całe miriady gwiazd, są jasne jak diamenciki, ale ledwie przebijają się przez ciemność.

Zobaczył, jak Warbuck i Ogden wychodzą na dwór, Ogden ledwie szedł, a Warbuck podtrzymywał go ramieniem. Zobaczył, że wóz stoi blisko ganku; wokół było paru jeźdźców, wyglądających jak eskorta dawnego szlachcica.

Warbuck pomógł Jimowi Ogdenowi wsiąść do wozu. Był to długi powóz ciągnięty przez dwa szybkie konie; zamontowano w nim tylne siedzenie i Ogden zajął na nim miejsce. Warbuck powiedział do człowieka wstrzymującego gotowe już ruszyć konie, napiętymi, szarpiącymi się lejcami:

— Poczekaj chwilę, Joe.

Wszyscy mogli to usłyszeć. Ale potem odciągnął dwóch jeźdźców na bok, kilkanaście kroków dalej, gdzie rosła sosna, pod którą było tak ciemno, że zniknęli jak ludzie zanurzający się w kałuży atramentu. Rozmawiał z nimi przyciszonym głosem. Jeff Cody nie wyłapał ani słowa z tego, co mówił Warbuck - a jego słowa dotyczyły przede wszystkim Młodego Jeffa Cody'ego.

Ci dwaj, których Warbuck zawołał na bok, to byli Nick Balff i Frank Bruce. Jeff wiedział, że to są dwa szczury z gatunku nieświętej pamięci Ricka Voorheesa. To, co powiedział Warbuck, miało bezpośredni i rzeczowy charakter.

— Chłopcy, zostańcie dziś na chwilę w Halcyon — przekazał im tonem tak ciepłym i miłosiernym jak świst tasaka do mięsa. — Młody Jeff Cody gdzieś tu się kręci. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś go dzisiaj posłał prosto do piekła. Też bym za nim nie płakał. Chce narobić kłopotów, nam wszystkim w Long Valley. Dajcie mi znać, jeśli coś mu się stanie i pomyślcie o tym: Pierwszy z was, który przyniesie mi tę wiadomość, dostanie podwójną zapłatę - plus pięćset dolarów na dokładkę. Dobranoc, chłopcy, i uważajcie na siebie.

Po tych słowach wrócił do wozu i usiadł obok Jima Ogdena, na tylnym siedzeniu. Młody Jeff usłyszał, jak radośnie woła:

— Jedź, Joe. Tylko ostrożnie na wybojach, bo Jim jest ranny.

Joe popuścił lejce i jego niespokojne konie ruszyły. Jeff leniwie patrzył, jak pochłania ich noc. Potem zauważył, że towarzyszący wcześniej Warbuckowi jeźdźcy, Frank Bruce, Nick Balff i reszta, zsiedli z koni i przez kilka minut stali w ciasnym kręgu, ze złączonymi głowami, dyskutując coś ściszonymi głosami. Znaleźli sobie miejsca do przywiązania koni i weszli do hotelu. Nie zauważyli go, bo stał w cieniu, ale on widział, kim są pozostali; razem z Balffem i Brucem byli tu Pocopoco Malaga, Andy Coppler z wystającymi końskimi zębami i Injun Długi Nóż.

„Kojoty" pomyślał Jeff ze złością. „Ta parszywa banda zabójców..."

Przypomniał sobie Buda Kinga wiszącego pod starym dębem w Long Valley i jego złość zmieniła się w zimną, przytłaczającą furię. Prawo nie mogło nic zrobić tym ludziom; nie mogło i nie chciało. Warbuck, grając odważnie, wciąż jednak grał podstępnie. A tutejszy kraj był pełen ludzi Warbucka.

Byli też ludzie tacy jak Jeff, jak jego przyjaciele znad Wandering River, których niechęć od dawna narastała. Byli to ludzie cierpliwi, przestrzegający prawa. Wiedzieli, co oznaczałaby niewielka wojna domowa, szalejąca w ich wysoko położonych dolinach. Wielu ludzi zginie, wiele małych rodzin zostanie zrujnowanych, a Warbuck wyjdzie z tego niemalże bez szwanku.

Już miał zawrócić do hotelu, gdy usłyszał stłumiony, niemal zdyszany głos, który go zawołał; zawołał cicho, ale pilnym naciskiem.

— Jeff! Jeff!

Zszedł powoli po schodach i skierował się w stronę głębokiej ciemności pod sosną, gdzie zaledwie kilka chwil wcześniej Warbuck rozmawiał ze swoimi najemnikami. Rozpoznał głos Arlene i zdał sobie sprawę, że ponownie ogarnęła ją rozpacz.

Rozdział X

— Jeff! Zrobisz coś dla mnie?
— Oczywiście — odpowiedział jej.
— Nie tak głośno. Nie chcę, żeby ktoś usłyszał!
Obiecawszy, że zrobi to o co prosiła, gdyż jej głos, choć niewiele głośniejszy od szeptu, miał tak pilny i błagalny ton, teraz dodał:
— O co chodzi, Arlene?
— Zabierz mnie do domu!
— Jasne, że cię zabiorę. Ale myślałem, że jesteś zdecydowana nie wracać.
— Nie do mojego domu, Jeff. Do twojego. Teraz, właśnie teraz. Boję się tutaj. Proszę cię, Jeff.
To go zaskoczyło; nic nie mogło być bardziej nieoczekiwane. Ale ponownie powiedział, równie serdecznie jak poprzednio:
— Oczywiście.
— Weź swojego konia — powiedziała ponaglająco. — Pośpieszmy się, Jeff.
Szybko się zakrzątnął, odwiązał Rangera i podprowadził go tam, gdzie wciąż czekała na niego w najgłębszym mroku; jej ciemny strój do jazdy konnej sprawiał, że była zupełnie niewidoczna; wszystko, co był w stanie dostrzec, to jedynie mglista biel jej twarzy. Podróż po konia była krótka, lecz miał czas na przemyślenia: Arlene stała w tamtym miejscu, gdy Warbuck przeprowadził krótką, tajną rozmowę z Balffem i Bruce'em. Podsłuchała wszystko, co im powiedział. Nie zapytał jej jednak o to; zamiast tego spytał, gdzie zostawiła konia.
— W starej szopie na tyłach chaty Cichego Jeffa — odpowiedziała. — Postarajmy się, by nikt nas nie dostrzegł. Nie chcę, żeby nas zauważono. Szybko, szybko!
Wydawała mu się na skraju paniki, wsunął więc ramię pod jej rękę, przyciągnął ją bliżej i ruszył tak szybko, że od czasu do czasu musiała podbiegać kilka kroków, aby dotrzymać mu kroku. Widzieli kilku ludzi, ciemne, bezkształtne postacie, a kilku jeźdźców przyjechało galopem z południa, lecz było zbyt ciemno, by mogli dostrzec ich twarze, a już na pewno nikt nie wydawał się zwracać na nich uwagi. Dotarli do chaty Cichego Jeffa. Podczas gdy Młody Jeff kręcił się w ciemności i w końcu udało mu się osiodłać konia Arlene, ona weszła do domu przez otwarte tylne drzwi. Jeff zobaczył blask świecy. Chwilę później światło zgasło, a ona pośpiesznie wróciła do niego.
— Musiałam zostawić krótką notatkę dla tego kochanego staruszka, twojego ojca — wyjaśniła, gdy Jeff podał jej rękę do siodła. — Był dla

mnie taki dobry i wiem, że martwiłby się. Napisałam mu więc, że wszystko jest ze mną w porządku i że zobaczę się z nim za parę dni - i poprosiłam, żeby przekazał to również panu Billowi Morganowi. Obaj są dla mnie jak anioły.

Jeff musiał się chwilę roześmiać. Anioły, te dwa stare capy! Zastanawiał się też, co Cichy Jeff zrobi, jeśli chodzi o przekazanie tej wiadomości człowiekowi, z którym nie rozmawiał od dwudziestu lat!

* * * *

Ta nocna przejażdżka była niezapomniana. Martwe miasto, tak dziwnie i nagle wracające do życia, zniknęło za nimi, a oni ruszyli w górę cichej doliny, gdzie jedynie szkliście połyskująca rzeka wydawała jakiekolwiek dźwięki, zaś stukot kopyt ich koni tłumiła sprężysta murawa. Światło gwiazd unosiło się nad nimi, ale zdawało się nie docierać do miejsca, w którym się znajdowali; góry i lasy na wzgórzach były czarne oraz pozbawione widocznych szczegółów.

Słaby wietrzyk wiejący przez dolinę niósł ze sobą rozmaite wonie, zapach zielonej trawy z tonem żywicznych drzew iglastych, ale nie dawał żadnych słyszalnych odgłosów. Kiedy oddech Arlene wznosił się i opadał, aż do głębokiego westchnienia, Jeff to słyszał.

Przejechali przez Dziurę Wiedźmy i ujrzeli błyski światła; widziane przez krzewy laurowe. W czasie jazdy, wyglądały jak iskierki świetlików.

— Ona naprawdę jest czarownicą — stwierdziła Arlene.

— Babka diabła — dodał Jeff.

— Słyszałeś, co mówiła tamtej nocy... — urwała wpół słowa; nie zamierzała więcej już nigdy wypowiedzieć słów „mój ojciec”. — Do Bartona Warbucka — dokończyła.

— Wszystko, co i ty słyszałaś, jak mi się wydaje. Ona go szantażuje.

I po raz kolejny Arlene wykrztusiła:

— Och, pośpieszmy się!

Puścili konie wygodnym dla nich tempem, a kolejne mile łatwej drogi mijały im jak strzała. Potem jechali spokojniej, prześlizgując się bezszelestnie przez cichą i spokojną, piękną noc. Nie minęło wiele czasu, gdy dotarli do posiadłości Młodego Jeffa na wysoko położonej łące i ujrzeli jego niski, rozłożysty dom i zabudowania gospodarcze. Znów usłyszał westchnienie Arlene. Nie był w stanie odgadnąć, o czym myślała, nie mógł więc wiedzieć, że myślała przede wszystkim o nim: „Może uratowałam mu dziś życie”. A drugą myślą, która jej towarzyszyła, było: „Nie znajdą mnie tutaj. Teraz już mnie nie zaciągną do domu siłą.”

Pokazał jej drzwi wejściowe, powiedział, gdzie znaleźć zapałki i lampę, i poszedł do stajni z końmi. Kiedy wrócił, przez okna salonu wypadał ciepły, złoty blask, i pomyślał: „Po raz pierwszy w życiu wracam o tej porze nocy i zastaję zapalone światła oraz kogoś kto na mnie czeka.” To było dziwnie przyjemne uczucie.

Rozpaliła nawet ogień w kominku; z kilku kawałków łupek sosnowych, pół tuzina sosnowych szyszek płonęło jak pochodnie, a pokój był wypełniony słodką wonią ich dymnego zapachu.

Stał chwilę w drzwiach, uśmiechając się do niej. Z początku jej usta ani oczy nie poruszyły się w odpowiedzi. Myślała: „Nigdy wcześniej nie zauważyłam, jak uśmiech Jeffa go zmienia, jak cała chuda twardość jego twarzy rozpada się i łagodnieje."

— Atmosfera jest całkiem domowa — powiedział i zamknął drzwi, po czym dołączył do niej przed jasnym, żarzącym się ogniem, który rozpaliła.

Uśmiechnęła się wtedy i powiedziała:

— Tu jest bardzo przytulnie. — Nigdy wcześniej tu nie była i rozglądała się z żywym zainteresowaniem, po czym szybko wykrzyknęła: — Och, tu jest cudownie!

Przytaknął, a ona zauważyła, że w jego oczach pojawił się cień; to dlatego, że przypomniał sobie o hipotece, którą posiadał Warbuck.

— To był dom starego Hernando, wiesz — powiedział jej. — Ma już około stu lat i przypuszczam, że mniej więcej tyle czasu zajmuje domowi dojrzewanie i przekształcanie się w coś, co można nazwać domem. Cieszę się, że ci się podoba; później musisz jeszcze rzucić okiem na inne pokoje. I tak długo, jak zechcesz tu zostać, Arlene, wszystko należy do ciebie.

Wyglądała nieco wesoło, gdy odparła:

— Hernandowie musieli przekazać ci wraz z domem w spadku swoje absurdalne i piękne, stare hiszpańskie zwyczaje! I… Ach okna! Żaluzje są podniesione, a drzwi otwarte!

Zaryglował drzwi, pomógł jej zaciągnąć żaluzje. Zrobił nawet, bez słowa sprzeciwu, obchód domu, gdy poprosiła, aby upewnił się, że wszystkie drzwi zewnętrzne w domu są zamknięte, a wszystkie okna zasłonięte. Kiedy wrócił do salonu, zastał ją siedzącą na ławce przy kominku; stanął nad nią, opierając się o kominek i sięgnął po fajkę.

— Lepiej powiedz mi, co się dzieje, Arlene, dobrze? — powiedział. — Chodzi o coś, co wydarzyło się dziś wieczorem w Halcyon, prawda? — Poruszyła się niespokojnie, a on kontynuował, nie czekając, aż uniesie wzrok: — Coś, o czym usłyszałaś, kiedy Warbuck rozmawiał z Nickiem Balffem i Frankiem Bruce'em?

— Tak! Właśnie wybiegłem i stałam tam w ciemności, nie wiedząc, dokąd pójść, kiedy podeszli i zaczęli rozmawiać. Słyszałam, co… co powiedział tym dwóm ludziom. Chce mnie sprowadzić z powrotem do domu; powiedział, że mają mnie znaleźć i przyprowadzić do niego bez względu na to, co będę miała do powiedzenia na ten temat. A ja nie zamierzam wracać. Nigdy.

Jeff ostrożnie nabił fajkę, po czym odłożył ją z powrotem na kominek.

— Jesteś pełnoletnia, Arlene, dorosła i sama sobie jesteś szefem.

— Wiem, ale jaką to sprawia różnicę? Widzisz, on rozmawiał z Jimem Ogdenem; przypuszczam, że Jim powiedział mu wszystko o tobie i o tym, że ty i ja podsłuchaliśmy jego oraz tę starą kobietę...

— Mów dalej — powiedział Jeff. — I co z tego?

— W każdym razie chciał mnie sprowadzić z powrotem do domu. Dlatego poprosiłam cię, żebyś przywiózł mnie tutaj – w miejsce, gdzie mnie nie znajdą.

Przez cały ten czas ani razu nie uniosła wzroku. Jeff stał, patrząc na czubek jej głowy i starając się nie myśleć o jej włosach, miękkich,

brązowo-brązowych i kręconych; nie podziwiać delikatnej krągłości policzka, nie intrygować się jej splecionymi na kolanie dłońmi. Wyczuł, że choć powiedziała mu prawdę, to jednak nie całą. Zgadza się, Warbuck i Ogden rozmawiali; nawet odjechali razem, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że ich interesom najlepiej przysłuży się, jeśli będą się trzymać razem, zamiast odcinania się jeden od drugiego. No cóż, nigdy nie wiadomo, co zrobi człowiek taki jak Bart Warbuck, ani człowiek taki jak Jim Ogden.

Oznajmił z namysłem:

— Warbuck nie chciał, żebyś mówiła o tym, co podsłuchałaś. To naturalne. Dlaczego nie zamknęłaś się w swoim pokoju w hotelu? Zarówno Cichy Jeff, jak i Czerwona Koszula Bill prędzej rozpętaliby piekło, niż pozwoliliby twojemu ojcu lub komukolwiek innemu aby wdarł się do ciebie. Wiesz o tym.

— Ja… Bałam się.

— W porządku. Ale… Posłuchaj, Arlene: musi w tym być coś jeszcze. Jeśli Warbuck chciał zamknąć ci usta, to co ze mną? Jeśli Ogden powiedział mu, że byłaś niedaleko, kiedy on kłócił się ze starszą panią Grayle i postrzelił Jima, to znaczy, że ja też tam musiałem być! I kiedy Warbuck rozmawiał z Balffem i Bruce'em, powiedział im parę zdań o mnie, prawda?

— Tak, Jeff. Miałam ci powiedzieć… później. Jutro rano albo...

— Zróbmy to teraz, co? Lepiej uporządkujmy cały ten bałagan. Co to było?

— Powiedział - albo tak samo jakby to powiedział - że ci ludzie mieli cię dziś wieczorem zabić! Tych pięciu, których widziałaś wchodzących do baru - byłeś tuż przy drzwiach i gdyby cię zobaczyli...

Poderwała się; zobaczył, jak odchyliła głowę do tyłu, gdy niemal wstrząsnęła nią udręka, jaka ogarnęła jej młodą, waleczną duszę; widział, jak mocno zacisnęła dłonie po bokach, jak zesztywniała.

— Dobry Boże w niebiosach! — zawołała w męce. — Dlaczego coś takiego musiało mi się przytrafić? Poznać własnego ojca jako straszliwą, morderczą bestię, jaką jest! Jestem krwią z jego krwi, kością z jego kości - i z krwi mojej matki, niegdyś dziewczyny z sal tanecznych i… jeszcze gorzej!

— Spokojnie, maleńka — powiedział Jeff i zabrzmiało to bardzo surowo.

— Och, Jeff!

— Wytrzymaj to. Po prostu, trzymaj się. I pamiętaj o starym powiedzeniu, które przetrwało tak długo, jak przetrwało, dlatego że jest prawdziwe: „Człowiek nie jest ponosi winy za swoich rodziców, ponieważ nie miał nic do powiedzenia przy ich wyborze”. To trudne; na pewno trudne. — Był bliski tego by wziąć jej drżącą postać w swe ramiona. — Ale zaczyna do mnie docierać, że człowiek musi brać na siebie trudne i łatwe sprawy, prawda? I powiedziałbym, że jak do tej pory przez całe życie miałaś cholernie łatwo. Teraz twoja kolej na te trudne i … No cóż, stawiam na ciebie.

Odetchnęła głęboko przez rozchylone usta, po czym ponownie usiadła na ławce, a jej dłonie ponownie zacisnęły się na kolanach. Zauważył w tych dłoniach siłę i charakter; były małe i zgrabne, lecz jędrne.

— Pójdę zrobić dla nas dzbanek kawy — powiedział Jeff.

— Pójdę z tobą - powiedziała Arlene i szybko wstała.

Rozpalił niewielki ogień w starym piecu na drewno, w kuchni, podczas gdy ona upewniła się, że wszystkie żaluzje są dobrze opuszczone, a tylne drzwi zamknięte. Kuchnia była pięknie wysprzątana, absolutnie lśniła czystością:

— To robota Ah Wonga — wyjaśnił i opowiedział jej o starym Chińczyku, który był z nim od siedmiu lat. Zaparzył kawę i zasugerował coś do jedzenia, ale pokręciła przecząco głową. Zabrali więc filiżanki z powrotem do kominka, Jeff zwinął sobie papierosa i rzucił niezobowiązująco: — Więc tak naprawdę przyjechałaś tutaj ze mną po to, żeby ratować moją skórę. I nie chciałaś mi tego powiedzieć…

— Wiedziałam, że nie chciałbyś jechać! Zostałbyś i tych pięciu ludzi by cię zabiło. Wiem!

— Może — stwierdził Jeff. — Może. No cóż, Arlene, jesteś prawdziwą przyjaciółką. Dobrze to wiedzieć. Traktuj mnie tak samo, dobrze? Przyjaciele?

Popatrzyła na niego promiennie - zbyt promiennie - bo nagle ta jasność w jej szarych oczach zmieniła się we łzy, które zaczęły z nich płynąć.

— Ja… ja chyba jestem strasznie zmęczona — oznajmiła i odstawiła filiżankę, która lekko grzechotała na spodku.

— Porozmawiamy jutro — zgodził się i odstawił filiżankę na kominek. Stały tam świece; zapalił jedną i zaprosił: — Chodźmy, pokażę ci twój pokój.

Przeszli starym hiszpańskim korytarzem z łukowatymi drzwiami po obu stronach, osadzonymi w grubych ścianach z adobe, i dotarli do przestronnej sypialni wyposażonej w proste, ale miłe stare rzeczy: duże łóżko z ciemnego dębu, długi czarny dębowy stół, krzesła z wysokimi oparciami i wygodnymi skórzanymi siedzeniami, małe jasne dywaniki i urocza mała Madonna we wnęce ściennej.

— Nic tu nie zmieniłem odkąd się wprowadziłem — powiedział. — Mam nadzieję, że ci się spodoba i będziesz dobrze spać. — Pokazał jej stary jedwabny sznur do dzwonka, u wezgłowia łóżka. — Dzwonek wciąż jest na dole w holu — powiedział. — Wystarczy pociągnąć za sznur, by obudzić cały dom. Jeśli chodzi o rzeczy do spania, to najlepsze, co mogę zrobić, znajdziesz w komodzie. — Uśmiechnął się do niej dobrodusznie. — Może zgubisz się w mojej piżamie, ale znajdziesz drogę powrotną, gdy będzie już jasno. Wanna znajduje się za tymi drzwiami. Zapalić lampę? Nie? No to, dobranoc.

— Dobranoc — odparła Arlene i postarała się uśmiechnąć tak, jak powinien uśmiechać się gość... W tym wielkim pokoju, tak spokojnym w głębokiej ciszy gór, w tym wielkim łóżku, w tej wielkiej piżamie, czuła się jak mała, sześcioletnia dziewczynka. Wtuliła twarz w ramiona, ręce w poduszkę i zaszlochała.

Przez całe swoje głupie życie była taka dumna – i z czego? Z tego że była córką bogacza, czy z tego że była Arlene Warbuck. Była pyszna i wyniosła; spoglądała w dół, na ziemię, ze złotych wyżyn – do tego była próżna i zarozumiała. Warbuck! Teraz wzdrygnęła się; odwróciła się od dawnej siebie, od matki i ojca; z wyżyn światowej próżności zstąpiła w otchłań wstydu. Była wstrząśnięta, upokorzona, tak strasznie zawstydzona. Czuła się brudna, nieczysta jak trędowata. Chciała krzyczeć, poderwać się i uciec, wziąć nóż i rozciąć swe białe ciało, by wypuścić z niego brudną krew.

Ale - była bardzo młoda, bardzo zdrowa i bardzo zmęczona. Płakała, aż wydawało się, że musi wypłakać sobie serce; płakała do czasu aż usnęła.

Rano obudziła się, przeciągnęła wygodnie i uśmiechnęła - tylko dlatego, że czuła się tak dobrze. Była wypoczęta, a z jej leniwie budzącego się umysłu zostały wymazane wszystkie wspomnienia wczorajszego dnia. Wielkie łóżko było tak cudownie wygodne i przytulało ją tak czule; staroświecki pokój był taki piękny, a poranek zaglądający przez szczeliny na krawędziach zaciągniętych żaluzji był tak cudowny, szedł do głowy jak szampan.

Wtedy sobie przypomniała.

Lecz nawet pamięć nie potrafiła całkowicie zatrzeć faktu, że była młoda, pełna młodzieńczego szumu w głowie i wypoczęta. Podniosła żaluzje; złote słońce stało wysoko na ciemnoniebieskim niebie, a zalesione zbocza, na które spoglądała, były świeże jak mury Edenu. Ubrała się pospiesznie i poszła poszukać Jeffa i śniadania. Znalazła kuchnię i Ah Wonga.

Ah Wong, gdy zaczął ją witać - a było to dopiero po dłuższym przyjrzeniu się jej - powitał ją wylewnie, choć w większości przypadków Ah Wong nie był zbyt wylewnym dżentelmenem. Nazwał ją pa-na Ah Lee i minęło sporo czasu, zanim dotarło do niej, że Ah Lee to jego interpretacja imienia Arlene.

W pierwszej chwili, doszedłszy aż do drzwi kuchni, szukając Jeffa, zatrzymała się, niepewna następnego kroku, i spojrzała na Ah Wonga pytającymi porannymi oczami, a oczy Arlene o poranku były tak piękne, jak małe górskie jeziora, z których właśnie unosi się mgła. Ze swojej strony Ah Wong położył ręce na biodrach, w jednej trzymał nóż rzeźnicki, a w drugiej na wpół obrany ziemniak, i całym sercem oddał się intensywnemu studiowaniu jej. Kiedy skończył, poczuła, że poznał ją dogłębnie; mógłby powiedzieć, jaki jest rozmiar jej stóp, z jakiego materiału uszyty jest jej strój do jazdy konnej, jak ogólnie jest ukształtowana, jak duża wokół szczupłej talii i jak głęboko ma osadzony biust, jakie wyglądają jej dłonie, gardło, podbródek, usta, włosy, uszy i oczy - prawdopodobnie też, czy umyła zęby. No cóż, nie umyła. Jak miała to zrobić?

— Widzisz, nie zabrałam ze sobą szczoteczki do zębów — powiedziała do Ah Wonga jak przyjaciółka do przyjaciółki. — A nie mogłam przecież ukraść szczoteczki pana Cody'ego, prawda? Mam pięć stóp pięć centymetrów i ważę sto dziewiętnaście funtów, i myślę, że ty też jesteś miły.

Seraficzny uśmiech na twarzy Ah Wonga pojawił się jeszcze zanim wypowiedziała pierwsze dziesięć słów. Przytaknął energicznie, jak przystało na mężczyznę.

— Wi-taj, pa-na Ah Lee — przywitał się z nią. — Cholelnie z ciebie ślicz-na dziew-cin-ka. Mocno głodna? W poziądku, iść do jadalnia, moja kuch-nia oglomne śnia-da-nie, baldzo sib-ko.

— Gdzie jest pan Cody? — spytała.

— Szefee Jeff'son? Długo na zewnątź. Wlacać baldzo sib-ko.

Odwrócił się do niej plecami, kontynuując obieranie ziemniaków, a Arlene poszła do jadalni, przylegającej do salonu i wychodzącej przez pozłocone słońcem okna na świeże, chłodne i radosne patio.

— Dlaczego nazwał mnie Ah Lee? — zastanawiała się. Potem roześmiała się ze zrozumieniem: Po chińsku: Arlene. Jeff musiał powiedzieć Ah Wongowi, że jego nocnym gościem była Arlene Warbuck.

Całe żywe uznanie, jakie wzbudził w niej ten łagodny stary dom zeszłej nocy, powróciło tego ranka; pomyślała, że to najbardziej zachwycające miejsce, do jakiego weszła w życiu. Jakże różniło się od „zamku" Warbucków w Long Valley, gdzie każdy dywan, zasłona i mebel mógł równie dobrze mieć wielką czerwoną metkę z napisem: „To kosztowało pięćset dolarów. To kosztowało dwa tysiące. To sześć tysięcy, wierz mi lub nie. To..." Ah Wong przybiegł ze śniadaniem, wystarczającym, jak oceniała, dla pięciu ciężko pracujących mężczyzn, z ogromną jeszcze ilością resztek, które mogliby zabrać ze sobą, na kolejny lunch; herbatniki i gorące ciasteczka ułożone w wysoki stos, galaretka, dżem i marmolada, kawa i śmietanka, sok pomarańczowy, ogromny półmisek bekonu na jednym końcu i szynki, na drugim, miska owoców, jabłek i pomarańczy - przyniósł nawet gofry i syrop klonowy.

— Mój Boże! — sapnęła Arlene. Potem spytała go, jak się nazywa. — Ah Wong? W porządku, Ah Wong. A teraz powiedz mi prawdę: czy wyglądam aż na tak wygłodzoną?

Rozśmieszył ją swoim chińskim chichotem.

— Jeść duzio, pani Ah Lee. Tloche więcej cia-ła, i ty wyg-lą-dać jeście pięk-niej. Tak myślę.

Naprawdę była głodna i jadła „duzio", ku uciesze Ah Wonga. Z długim westchnieniem zadowolenia, czując się jak małe, dobrze najedzone zwierzątko, w końcu wstała i powlekła się do salonu.

Na kominku leżała fajka Jeffa; napełnił ją zeszłej nocy i odłożył; leżała tak, jak ją zostawił. Pomyślała: „Nigdy nie widziałam, żeby palił fajkę". Podeszła do okna, uklękła na długiej ławce z twardego drewna i spojrzała na zielone, rozświetlone słońcem pola, rozciągające się aż do zalesionych wzgórz. Pomyślała, że to wszystko wygląda jak sekretny zakątek raju.

Potem chodziła niespokojnie po domu. Co chwila spodziewała się powrotu Młodego Jeffa, ale mijały godziny, a ona miała ranczo Hernanda właściwie tylko dla siebie. Poszła spojrzeć na siebie w lustrze w sypialni i pomyślała: „Wyglądam jakbym została wyrzucona w zeszłym tygodniu na śmieci". Lecz chodziło tylko o jej ubrania. Nagle zdała sobie z tego sprawę. „To wszystko, co mam na świecie!". Wygnieciony strój do jazdy konnej, w którym stała, z wyjątkiem paru drobiazgów, które kupił dla niej Cichy Jeff,

stanowił cały dobytek Arlene Warbuck. „Nawet to ubranie i buty, w których stoję, dostałam od Bartona Warbucka."

W końcu Jeff wrócił. Zobaczyła go z daleka, jak jedzie na skróty przez rozległe, pozbawione dróg łąki, dosiadając pięknego, rudo-gniadego wierzchowca, którego nigdy wcześniej nie widziała, wyglądając, jakby tworzył ze swym koniem jedną całość, jakby ten sam rzeźbiarz wspaniałej męskości wykuł ich jednym dłutem, by byli ideałem siły, szybkości i gracji. Zniknął za wielką czerwoną stodołą, której tylko róg znajdował się w polu widzenia Arlene.

Wkrótce jednak pojawił się ponownie, krocząc wzdłuż ściany stodoły, jego kapelusz z szerokim rondem kołysał mu się w dłoni, a palce niecierpliwymi gestami przeczesywały ciemne, niesforne włosy.

Kiedy wszedł do pokoju, siedziała skulona na kanapie, leniwie wpatrując się w stary, nudny obraz olejny, pozostawiony przez poprzedniego właściciela rancza, Hernanda. Widział tylko czubek jej głowy, kępkę kędzierzawych brązowych włosów nad wysokim oparciem kanapy.

— Naprawdę! Dobrze jest wrócić do domu i zastać cię tutaj! — oznajmił Jeff.

Arlene cechował sposób rumienienia się, który w ostatnich latach wydaje się być sztuką prawie utraconą; zdawało się, że nie ma żadnego szczególnego powodu do pojawienia się rumieńca na jej twarzy, po prostu pojawiał się on tak, jak pojawiają się inne piękne rzeczy. „Dobrze jest wrócić do domu i zastać cię tutaj!" Doprawdy, dlaczego dziewczyna miałaby się zarumienić?

— Po prostu oszalałam na punkcie twojego domu, Jeff!

— Mnie też się on podoba — zgodził się z nią.

Zauważyła jednak, że nagle na jego twarzy pojawił się cień; jakby jej słowa zraniły go, jak pchnięcie nożem. Nie wiedziała jeszcze wtedy o kredycie hipotecznym, który przejął Bart Warbuck, ani o tym, jak desperacko Młody Jeff szukał sposobów i środków, by na czas się z nim uporać; jak kładł się spać w nocy i budził się rano z tym przeklętym kredytem, ciążącym na nim jak inkub.

Lecz uśmiech powrócił mu tak szybko, jak błyskawica, tworząc małe wesołe kreski na jego szczupłej brązowej twarzy, i pomyślała: „Właśnie przypomniał sobie, że jestem jego gościem, a on moim gospodarzem, i musi być dla mnie miły". Było to jednak coś więcej; dobrze było wrócić do domu i zastać czekającą Arlene.

— Spałaś, kiedy wstałem — wyjaśnił. — Obiecałem, że spotkam się z Edem Spurlockiem, moim sąsiadem. Obaj próbujemy — uśmiechnął się dobrodusznie, sięgając po fajkę — uratować nasze skóry. Jest szansa na sprzedaż paru sztuk koni i wysokiej klasy krów; ja mam konie, Ed ma krowy i liczymy na tę transakcję.

Widziała kilka jego młodych ogierków biegających po łące za zagrodami, otaczającymi czerwoną stodołę. Długonogie i wysoko noszące głowę młodziaki, mające w sobie coś z dumy i chwały.

— Nie rozumiem, jak możesz sprzedawać swoje konie, Jeff! Zakochałabym się w każdym z nich i chciała mieć je zawsze przy sobie.

Tym razem zapalił fajkę. Te szare, niebieskie, a potem opalizujące obłoczki dymu, wyciągające się w stronę słonecznego okna, przyciągnęły jej wzrok; a jego oczy podążyły za jej spojrzeniem.

Potem niebiesko-szare obłoczki rozwiały się w nicości, a Jeff i Arlene popatrzyli na siebie.

— Wiem, jak to jest — stwierdziła cicho. — Ranczer musi prowadzić ranczo, prawda? Hodowca koni musi sprzedawać konie. Często zastanawiałam się nad ludźmi, którzy hodują te słodkie małe szczeniaczki, które można zobaczyć w witrynach sklepowych w dużych miastach. Założę się, że chcieliby zatrzymać każdego z nich, gdyby tylko mogli.

— Jadłaś śniadanie?

— Ah Wong przywalił mnie stertami jedzenia. I nazywa mnie Ah Lee.

— Ah Lee? — Wtedy i on zrozumiał; zaznajomiony z łamaną angielszczyzną Ah Wonga, pojął rzecz niemal natychmiast. — Ładne imię - Ah Lee. Jakoś też do ciebie pasuje.

Ah Wong wsunął głowę do pokoju.

— W poziątku, szefee Jeff'son — zaśmiał się. — Całkiem nie-źle, całkiem nie-źle, tak myślę!

— Co jest w porządku, Wong? — spytał Jeff, zakłopotany.

Ah Wong wskazał na Arlene, używając trzymanego w ręku noża rzeźnickiego jako wskaźnika.

— Całkiem niezła zio-na, szefee Jeff'son — zachichotał i zniknął jak mechaniczna kukułka wracająca do wnętrza zegara.

— Co u licha? — sapnęła Arlene. — Zio-na, co to znaczy?

— Ah Wong wchodzi w drugie dzieciństwo — odparł Jeff. — Może w trzecie. W każdym razie lubi cię, a to już coś; zatknij piórko do kapelusza; Ah Wong ma skłonność do bywania wybrednym.

— Nie mam żadnego kapelusza — stwierdziła Arlene. — Ani piórka.

— Wiem — przytaknął, łapiąc jej myśl. („Sprytnie z jego strony", pomyślała. „Skąd on wie, o czym myślę?") Usiadł w dużym, wyściełanym fotelu, wysunął stopy daleko przed siebie i popatrzył na nią trzeźwo. — Wyrwałaś się w ostatniej chwili, co?

— Gdybyś wziął sznurek, a potem przeciął go nożyczkami na pół — odpowiedziała cicho, — byłoby to dokładnie tak samo, jak z moim życiem.

— Tak, oczywiście. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przestanie kiwać głową nad tą swoją starą, czarną fajką, czy kiedykolwiek będzie chciał powiedzieć coś więcej. Jej palce zacisnęły się na krawędzi poduszki, na której siedziała. — Co zamierzasz z tym zrobić? — zapytał nagle.

— Nie obawiaj się, nie będę ci siedziała na karku przez całe życie!

— Chciałabym, żebyś to zrobiła — odparł niby obojętnie Jeff. Następnie wyjął fajkę i uśmiechnął się do niej zdawkowo. — Tak samo jak Ah Wong, pa-na Ah Lee.

Lecz wkrótce pytanie powróciło jako kwestia uboczna czegoś, o czym rozmawiali. „Co zamierzała z tym wszystkim zrobić?"

— Czy mogę zostać tu do jutra? — zapytała.

— Tak długo, jak tylko będziesz tu szczęśliwa. Nawet tysiąc lat.

— Dziękuję ci, Jeff. Myślałam o tym dzisiaj rano. Próbowałem robić jakieś plany - po raz pierwszy w moim głupim życiu. To trochę trudne,

wiesz — przyznała z uśmiechem. — To znaczy, naprawdę myśleć i planować.

Kiedy przerwała, nic nie powiedział, nie prowokował jej pytaniami. Po prostu czekał, ale ona widziała, jak jego oczy wbiły się w nią, a potem odpłynęły, skupiając się na fajce. Ta zaś w międzyczasie zgasła. Odłożył ją na kominek i zaczął przypalać papierosa.

— Nie mam kapelusza — stwierdziła Arlene. — Miałam, ale zgubiłam go gdzieś poprzedniej nocy. Nie mam żadnych ubrań poza tymi, które mam na sobie i koszulą nocną, którą kupił mi twój tata. Te ubrania, które mam na sobie - cóż, zostały mi podarowane i gdybym nie musiała biegać nago, w tej chwili bym je zdjęła i zatańczyła indiański taniec, patrząc jak płoną! Nie mam żadnych pieniędzy, nawet pięciu centów. I nie zamierzam pożyczać ani centa od pana, panie Jeffersonie Cody, ani od nikogo innego na tej dobrej, zielonej ziemi. Rozumiesz, o czym mówię?

— Całkiem nieźle chwytam — odparł Jeff. — Rozumiem.

— Jutro wracam do Halcyon. Nie boję się.

— Wiem. Ostatniej nocy nie bałaś się o siebie. Chciałaś tylko wyciągnąć mnie z trumny. Przypuszczam, że dla mnie byłaby to skrzynia z sekwoi i dobrze o tym wiedziałaś. — Wstał i krążył niespokojnie przez dwie minuty, po czym obrócił się i stanął nad nią, marszcząc brwi i patrząc w jej uniesioną twarz. — Jeśli zdawałem się nie doceniać tego wspaniałego faktu...

— Nie Jeff! Rozmawialiśmy o mnie; nie masz żadnego powodu, by tak ostro wkraczać do akcji! Oto, co zamierzam zrobić. Ja…

Tyle, że nie bardzo wiedziała, co ma zrobić. Przez całe życie nic nie robiła, a teraz, w ciągu kilku godzin, jak mogła zacząć burzyć i budować, i widzieć wszystko jasno i wyraźnie? Mimo to prawie wiedziała… Rozumiał to. Powiedział:

— Mamy cały dzień. Niczego nie przyśpieszajmy. Może wyjdziemy i rozejrzymy się po okolicy? Spodoba ci się moje ranczo. Pokażę ci kilka moich koni.

Poszła z nim, by powiesić się na płocie i popatrzeć na jego długonogie ogierki, i pomyślała: „Mogłabym otworzyć zakład krawiecki, ale w Halcyon nie ma kobiet, a ja nie mam pieniędzy i nie wiem nic o krawiectwie albo o tym, jak zrobić kapelusz.” Wprawdzie podniecała ją perfekcja, z jaką Claude Duval i Lady Augusta prezentowały swój lekki krok, lecz jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

„Mogłabym robić sałatki i kanapki i sprzedawać je głodnym mężczyznom. Tyle że oni woleliby wieprzowinę, fasolę i pieczeń wołową, a ja i tak nie miałabym za co kupić składniki do sałatek i kanapek.”

Na dworze było bardzo przyjemnie w słońcu, a rozfalowane pola i łagodne wzgórza oraz surowe stare góry z ich potężnymi lasami, były naprawdę piękne. W oddali, na końcu małej, zamkniętej doliny Jeffa, tryskał niewielki wodospad tworzący miniaturowe tęcze. Też był piękny, zaś koło niego wyrastały młode, drżące osiki. Jednak ona zastanawiała się: „Czy mogłabym pomóc gotować w Pay Dirt Hotel? Albo zmywać naczynia? A może kelnerować?”

I kiedy tak słuchała Jeffa mówiącego o tym i owym; podczas gdy on tak mężnie i w oczywisty sposób starał się oderwać jej myśli od kłopotów, wciąż zadawała sobie pytanie: „Jak mogę zarobić wystarczająco dużo pieniędzy i kiedy będę mogła zarobić wystarczająco dużo, żeby kupić buty, pończochy, bieliznę i sukienkę - tak, żebym mogła zdjąć te rzeczy, które mam na sobie? I szczoteczkę do zębów, i grzebień, i… o Boże!”.

Ale był to dzień warty zapamiętania, tak niezapomniany jak przejażdżka w ciemnościach zeszłej nocy. Arlene, chwilami zrozpaczona, chwilami przerażona, była przez większość czasu szczęśliwa, dziwnie szczęśliwa.

To, jak była dziwnie szczęśliwa, dotarło do niej dopiero tej nocy, kiedy ona i Jeff, z podającym im Ah Wongiem, jedli razem kolację; kiedy rozmawiali bez celu na patio, aż zrobiło się chłodno i nawet jasne gwiazdy zdawały się drżeć z zimna; kiedy powiedzieli sobie dobranoc, a ona poszła do swojego pokoju. W tej ogromnej piżamie - musiała być strasznie luźna, nawet na Jeffa, i w rzeczywistości była - kiedy w końcu wczołgała się do wielkiego łóżka, które dawno temu przybyło tutaj wokół przylądka Horn, czując się znowu całkiem mała, uśmiechnęła się i zapytała samą siebie: „Co się z tobą dzieje, Arlene?”. Kusiło ją, by zachichotać tak jak Ah Wong i powiedzieć to na ten jego sposób: „Co robiś, Ah Lee?”. To był wspaniały dzień. Wtuliła się i zakopała głęboko w grubej poduszce, i usnęła, zostawiając jutro na jutro.

...I obudziła się, podrywając się nerwowo, nie wiedziała ile godzin później i początkowo nie wiedziała też dlaczego. Półprzytomna zsunęła się z łóżka i podbiegła do drzwi. To, czego jej tak brutalnie obudzony umysł nie potrafił powiedzieć, usłyszało, zarejestrowało i było bliskie zrozumienia, coś w jej śpiącym umyśle. Zanim otworzyła drzwi, zawołała:

— Jeff!

Wtedy usłyszała jego głos, brzmiący surowo i zupełnie niepodobny do głosu Jeffa z tego przyjemnego popołudnia. Wiedziała, że nie mówi do niej, że nawet jej nie usłyszał.

— Kto tam jest? — zawołał. — Czego chcesz?

Jej umysł podskoczył, wyciągając wnioski może pochopnie, ale tak się złożyło, że trafił w samo sedno: To byli ludzie Warbucka, przybyli tutaj, by wykonać dla niego krwawą robotę. Głos, który po krótkiej chwili ciszy odpowiedział Jeffowi, w jakiś sposób wydawał jej się zbyt melodyjny; przywodził jej na myśl starą bajkę o Czerwonym Kapturku.

— To ja, Jeff, Frank Bruce — oznajmił głos. — Mogę zamienić z tobą słówko? Wiem, że jest już trochę późno.

— Na jaki temat? — zapytał Jeff.

Frank Bruce roześmiał się. Chyba nigdy nie było gorszego odtwórcy roli fałszywej babci.

— Warbuck przysłał mnie, żebym porozmawiał z tobą, czy nie moglibyście się dogadać. Mówi, że ty potrzebujesz pieniędzy, a on potrzebuje więcej koni. Przyszedłem porozmawiać o sprzedaży dla Warbucka.

W tym czasie Arlene, drżąca ze strachu, była już koło Jeffa. Postawił świecę na stole; jej niewielki płomień pozostawiał pokój pogrążony w

cieniu. Ale Jeff ją zobaczył; usłyszał miękkie uderzenia jej bosych stóp. Popatrzył na nią i uniósł rękę, nakazując ciszę.

— Jesteś zupełnie sam, Frank? — spytał Jeff.

— Pewnie, że jestem sam — zaśmiał się Frank Bruce. — Nie sądzisz chyba, że boję się nocnej jazdy?

— Jesteś cholernym kłamcą — oznajmił Jeff. — A przynajmniej masz ze sobą czterech lub pięciu ludzi. Pierwszy, który wsadzi głowę do mojego domu, zostanie zastrzelony. A teraz wynoście się stąd.

Nie nadeszła żadna odpowiedź, ale rozległ się tętent końskich kopyt, kilku koni, co nawet Arlene mogła stwierdzić. Nie odjechały daleko. Tętent oddalał się, lecz powoli. Potem zatrzymały się na krótko.

— Trzymaj się od tego z daleka, słyszysz mnie? — Arlene drgnęła; to Jeff mówił do niej, rozkazując krótko: — Idź szybko się ubrać; idź do kuchni i do spiżarni za nią; znajdziesz drzwi w podłodze, prowadzące do piwnicy. Weź ze sobą świecę. Jest tam okno, przez które można się wyczołgać; poczekaj na odpowiednią chwilę i schowaj się w stajni. Za nią znajduje się piętrowy dom. Niech chłopcy osiodłają ci konia - wracaj do Halcyon. Do starego Jeffa i Billa. A teraz rób, co ci każę!

— Tak, Jeff — odparła potulnie Arlene.

Ale gdy Jeff pośpieszył do swojego pokoju, by założyć buty, wziąć do ręki karabin i upewnić się, że drzwi i okna są w porządku, Arlene uklękła na ławce w najbardziej zacienionym kącie i wyjrzała przez krawędź żaluzji. Była przerażona: wydawało jej się, że czuje lodowate palce śmierci ściskające jej serce - ale po prostu niech ją diabli, jeśli miałaby przegapić nadchodzące wydarzenia.

Rozdział XI

Kiedy Młody Jeff wrócił do pokoju, Arlene, zdenerwowana i przerażona do granic możliwości, przyłożyła dłoń do ust, by głośno się nie roześmiać. Wciąż był ubrany w piżamę; groteskową pasiastą piżamę, która przywodziła jej na myśl kolorową zebrę. Mniej więcej pośrodku ciała miał założony pas z nabojami, pośpiesznie zapięty, a przy nim wisiał stary, czarny Colt czterdziestka piątka; pod pachą trzymał karabin, który przypominał jej starego Cichego Jeffa i Billa Czerwoną Koszulę.

Lecz jej chęć do histerycznego śmiechu zamarła, gdy tylko zobaczyła jego twarz. Mięśnie szczęki miał napięte, na jego szczupłej twarzy rysowały się twarde linie. W oczach miał wyraz, o jakim nigdy by nie pomyślała, że może w nich się pojawić. Mężczyźni, pomyślała i nagle osłabła, byli zabójcami. Nie tylko zabijali, ale też uważali to za powód do chwały. Jeff był w tej chwili gotów na wszystko; co więcej, chciał to zrobić. Jeśli Frank Bruce, Nick Balff i reszta odjadą, nic nie robiąc, wiedziała, że Jeff nie odetchnie z ulgą, lecz poczuje się oszukany.

Jeff nie widział jej, gdy przykucnęła w swoim kącie. Stał na środku pokoju, nieruchomy, tak jak stuletnie krzesła i stoły wokół niego, nasłuchując. Wydawał się tak pewny ataku, który mógł się rozpocząć w każdej chwili, tak gotów na jego nadejście. Nagle poczuła zadowolenie z tego, że on taki jest, że stoi tak jak stał, wygląda tak jak wyglądał - czekając na watahę wilków wysłanych przeciwko niemu przez Bartona Warbucka. Poczuła niemal niekontrolowaną ochotę, by podskoczyć do niego i mu dopingować. Udało jej się jednak zachować spokój i siedzieć nieruchomo jak myszka.

Cisza była głęboka. Nie było słychać odgłosu kopyt koni na twardym podłożu podwórza. Oznaczało to, że jeźdźcy wciąż byli tam, gdzie się zatrzymali – albo, że zsiedli z koni i zbliżali się do domu po cichu. Arlene myślała gorączkowo: „Wszystko okaże się w najbliższych chwilach. Jeśli za chwilę nie będzie słychać, jak odjeżdżają, wiadomo będzie, że się zbliżają... Pięćset dolarów za zabicie człowieka! Młodego, pełnego życia, wspaniałego człowieka, takiego jak Jeff Cody!”.

Przeciągającą się ciszę przerwał brzęk - odgłos tłuczonego szkła i lecących odłamków z rozbitej szyby w oknie. Ktoś na zewnątrz musiał wybić je kijem. Drugie okno rozprysło się w ten sam sposób, a trzecie niemalże w tym samym momencie. Potem znów wszystko ucichło.

Jeff nie poruszył się; nie było sensu strzelać przez zaciągnięte żaluzje, kiedy najlepszym, w co mógłby trafić, była lufa pistoletu trzymanego przez człowieka stojącego bezpiecznie z boku okna. Gdy ucichł brzęk ostatniego spadającego odłamka szkła, lekki wietrzyk, który pojawiał się tu zawsze o

zmroku, sprawił, że żaluzje okienne zaczęły delikatnie szeleścić, a płomień świecy, który do tej pory był zupełnie nieruchomy, zaczął się chwiać.

Wtedy Jeff się poruszył. Podbiegł do świecy i zgasił ją - i nie zrobił tego ani sekundy za wcześnie. Gdy słabo oświetlony pokój zrobił się nieprzejrzyście czarny, dobiegł odgłos unoszonej od zewnątrz żaluzji. Po chwili podniosła się kolejna żaluzja; jeszcze jedna, z uporem zacinająca się na swojej rolce, została zerwana.

A potem zaświszczały kule; pokój został spustoszony od końca do końca, przez ogień karabinowy. Oczywiście, strzelali na oślep, bo w ciemnym pomieszczeniu nic nie było widać, ale przy pięciu ludziach zalewających to miejsce gradem ołowiu, były duże szanse, że jeden z ich strzałów trafi w wybrany cel.

Arlene osunęła się na podłogę, chowając się tuż przy ścianie, nieco z boku pod oknem. Widziała pomarańczowo-czerwone rozbłyski wystrzałów na zewnątrz, a potem kątem oka bardziej jaskrawy błysk w pokoju, kolejny i jeszcze jeden. Jeff zrewanżował się im tym samym i, podczas gdy oni mieli przewagę liczebną, nie mogli nawet zgadywać gdzie on stoi, on zaś miał do dyspozycji słabo zarysowane prostokąty okien, które pomagały mu ich zlokalizować. Kiedy oddał pół tuzina strzałów i wiedział, że dostrzegli błysk jego karabinu, przestał strzelać i cicho przeszedł do innej części pokoju.

Arlene podczołgała się do niego; jej dłoń musnęła jego but.

— Jeff — wyszeptała. — Jeff, jestem tutaj.

— Wynoś się stąd! — szepnął do niej ze złością. — Nie mówiłem ci?

— Tak, Jeff — powtórzyła i stanęła blisko niego. Tak blisko, że jej dłoń musnęła czterdziestkę piątkę, którą miał u pasa. Szybko wysunęła rewolwer z kabury. — Potrafię się tym posługiwać równie dobrze jak ty — powiedziała i nie brzmiało to już tak potulnie.

Ostatnim dźwiękiem, jaki wtedy spodziewała się usłyszeć, był chichot Jeffa. Ale natychmiast chwycił ją za ramię, pchnął na podłogę i stanął przed nią.

Z zewnątrz, przez trzy okna, znów posypały się kule; słyszała ich cienki świst, tak blisko przeszły niektóre z nich; ich uderzenia o drewno i cegły brzęczały jak wściekłe szerszenie. Zobaczyła błyski broni i siedząc na podłodze, podniosła starą czterdziestkę piątkę Jeffa i wypaliła do nich, oddając strzał za strzałem. Potem odskoczyła na bok i wstała, opierając się o ścianę.

Znowu zapadła intensywna cisza, cały ostrzał ustał. Poczuła dym prochowy wypełniający pokój.

— Jeff! — szepnęła.

— Sz! — odpowiedział jej jego szept. Wzięła głęboki oddech i była dziwnie szczęśliwa; w miejscu, w którym powinna być przerażona na śmierć, nie czuła już przerażenia, ale uczucie szczęścia! Tak właśnie się dzieje, kiedy człowiek zaczyna sobie radzić z rzeczami, tak jak ona dziś w nocy. Jeff nie ucierpiał, ona nie ucierpiała i czuła mrowiące pulsowanie życia.

Gdzieś z ciemności w głębi domu, z jadalni lub korytarza, dobiegł syczący szept:

— Szefee Jeff'son! Co się dziać? Wsiści zwaliowali?

W odpowiedzi przeciął ciszę, suchy jak syk kuli karabinowej, szept Jeffa:

— Napad, Wong. Ludzie Warbucka. Weź broń i uważaj na nich z kuchni.

— Łobuzi! Stsielba w kuch-nia dla mnie najlepsia — powiedział Ah Wong i zabrzmiało to, jakby był zachwycony.

Nie słyszeli jak Ah Wong podchodził, ale teraz wyraźnie usłyszeli tupot jego bosych stóp, gdy biegł wykonać swoją misję. Arlene potrafiła sobie wyobrazić, jego chytrą, starą twarz wykrzywioną w szerokim uśmiechu. To był człowiek, którego fajnie byłoby poznać!

Potem Jeff zaczął jej szukać w ciemności i jakimś cudem ją znalazł; jego dłoń odnalazła jej palce i zacisnęła się na nich tak mocno, że aż ją zabolało.

— Do diabła — rzucił Jeff — wynoś się stąd. Zejdź do piwnicy tak, jak ci mówiłem, weź ubranie i zmykaj. Lada chwila znowu coś zaczną. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda. Wykradnij się stąd i schowaj się w piwnicy.

— Chyba trafiłam jednego z nich, Jeff — szepnęła Arlene. — Wydawało mi się, że słyszałam jego pisk!

— Zamierzasz się stąd wynieść czy nie?

— Powiem ci „tak", jeśli tego chcesz — odparła mu słodko Arlene. — Ale bez względu na to, co powiem, niech mnie diabli, jeśli gdzieś stąd pójdę.

— Młoda damo, zrobisz to, co…

Człowiek na zewnątrz coś krzyknął; nie wyłapali dokładnych jego słów, lecz wiedzieli, że był to krzyk ostrzegawczy i rozkaz. Przez chwilę wydawało się, że znów zaczyna się tam rozpętywać piekło; ponownie kilka karabinów otworzyło ogień z pełną mocą, która przetoczyła się po pokoju od jednego końca do drugiego. Po chwili zapadła jednak głęboka cisza, a następnie pojawił się nowy odgłos, stukot kopyt pędzących koni. Potem zaś kolejny krzyk, był to inny głos:

— Hej, Jeff! Hola, Jeff! Co się, do diabła, dzieje?

Jeff oznajmił z długim westchnieniem, nie była do końca pewna, czy ulgi, czy żalu:

— I tak kończy się cała impreza. To chłopcy biegną z budynku dla kowbojów. Cały ten hałas ich obudził. Nasi przyjaciele z Long Valley kończą dzień pracy i wracają do domu.

Podszedł do frontowych drzwi, szarpnął za nie i zdawało mu się, że widzi kilka postaci oddalających się przez łąkę. Posłał za nimi parę strzałów „na szczęście", jak powiedział Arlene, po czym wrócił i zapalił świecę. W tym czasie, dotarli już na miejsce pełnym biegiem Benny i Pete, obaj uzbrojeni w najcięższą posiadaną artylerię.

— Co do diabła? — dopytywał się Pete, mrugając oczyma.

Oczy jego i Benny'ego zwróciły się na Arlene i pozostały tam, nie dając się odciągnąć. Młody Jeff uśmiechnął się.

— Chłopcy — oznajmił — poznajcie pannę Ah Lee. Jest przyjaciółką Ah Wonga. Panno Ah Lee, to jest Pete, a to Benny - właśnie uratowali nam

życie, jeśli się nie mylę? W każdym razie to dobrzy chłopcy - i nie da się ich pomylić z nikim innym, sądząc po sposobie, w jaki się ubierają. Taki już mają styl.

Zarówno Pete, jak i Benny byli boso. Pete miał na sobie długą, luźno powiewającą koszulę nocną; Benny był w swoich długich czerwonych flanelach, które, jak sądził, jeśli są wystarczająco dobre na dzień, będą też wystarczająco dobre na noc. Zarówno Pete, jak i Benny zarumienili się.

Benny sapnął: „O mój Boże", wymknął się z pokoju i uciekł. Pete groźnie popatrzył.

— Sam jesteś dosyć zabawnie ubrany, jeśli na siebie spojrzysz, Jeff — stwierdził kwaśno.

Odwrócił się i ruszył za Bennym, udając, że się nie spieszy. Jeff ryknął śmiechem, po czym pośpieszył za nimi, by wyjaśnić im, co się stało i dać im do zrozumienia, że nie lekceważy tego, że przyszli mu z odsieczą.

W kuchni:

— Nie wiedziałem, że to przyjęcie z udziałem pań — warknął Pete. — Dlaczego nam tego nie powiedziałeś? Ja i Benny założylibyśmy nasze lepsze szmatki. Poświęciłbym też trochę czasu na ogolenie się i może na lepszą fryzurę. Więc ci goście byli zabójcami od Warbucka, tak? Teraz już tak, zupełnie otwarcie?

— Na to wygląda, Pete. No dobrze, wracaj do łóżka; impreza i tak się już skończyła. Jutro z tobą porozmawiam. Ty i Benny pamiętajcie, co wam mówiłem: Przez cały czas miejcie oko na nasze konie.

Pete podrapał się lufą karabinu po kościstej nodze.

— Skoro już się obudziliśmy, to może się przejedziemy? Dlaczego nie wpaść na chłopaków z Long Valley i nie odstrzelić Bartowi Warbuckowi łba? Spalibyśmy po tym lepiej. Podobnie jak wielu innych ludzi.

Jeff pokręcił przecząco głową.

— Dzięki, Pete. Ale nie dzisiaj. Kiedyś? *Quien sabe*?

— Kim jest ta dziewczyna? — spytał Pete. — To nie Chinka, jak nam mówiłeś.

— To Arlene Warbuck — wyjaśnił Jeff.

Pete zagwizdał, a jego zmarszczone brwi uniosły się tak mocno, że aż napotkały kosmyki opadających włosów.

— Warbuck, co? To zabawne! Może to dlatego...

— Dobranoc, chłopcy — przerwał mu Jeff.

Wrócił do Arlene. Zegar na kominku, tykający miarowo i bez niepokoju, mimo że niecałe trzy cale nad jego spokojną tarczą znajdowało się wyżłobione miejsce, w które trafiła kula, mówił im, że jest już dobrze po trzeciej. Za chwilę będzie ranek, więc właściwie należało się ubrać i rozpocząć nowy dzień.

— Widzisz, Ah Lee... — rzucił żartobliwie Jeff i nie poszedł dalej. Stała tam taka drobna; wyglądała jak mała dziewczynka bawiąca się w dorosłą, włosy miała potargane, a oczy błyszczały jej z podekscytowania tak jasno, jak nigdy wcześniej tego nie widział, policzki miała rumiane – z jego starą czarną czterdziestką piątką w dłoniach - po prostu wyciągnął ręce, wziął ją w ramiona, uniósł z podłogi i pocałował. Sapnęła, kompletnie zdumiona. Puścił ją i stali, patrząc na siebie - a Arlene zaczęła się śmiać. Bo chociaż

wiedziała, że na jej twarzy musi malować się zaskoczenie, widziała, że sam Jeff wyglądał na jeszcze bardziej zdziwionego niż ona.

— Arlene! Cholera, nie chciałem… Po prostu nie mogłem… Naprawdę mnie powaliłaś i… Czy wiesz, że stanęłaś u mego boku, walcząc przeciwko… Och, do diabła! Zapomnij.

— Może Ah Wong zrobi nam kawy? — powiedziała Arlene. — Pójdę się ubrać.

— A potem co? — spytał. — Co zamierzasz zrobić?

— Wracam do Halcyon. Będę jakoś zarabiać na życie; może dostanę pracę w hotelu! Nie mogą mnie zabrać! Jeśli odważą się spróbować...

— Zgłaszam się, jako twój ochroniarz — oznajmił Jeff.

— Ochroniarze nie pracują za darmo. Jak miałbym ci zapłacić? — Zaśmiała się z niego.

— Jeff popatrzył na nią i przypomniał sobie ich pocałunek. Powiedział:

— Zapłacono mi w całości, za całą resztę mojego życia.

Arlene wyglądała na szczęśliwą: czerwień jej policzków zintensyfikowała się, jej szare oczy zrobiły się niebieskie. Pobiegła do swojego pokoju. Przy drzwiach posłała mu buziaka.

— Nigdy nie płacę swoim pracownikom za mało — drażniła się z nim. — Nie chcę żadnych skarg, panie ochroniarzu. Jeśli pan myśli... — Zrobił szybki krok w jej stronę. Arlene, różowa jak piwonia i niewiarygodnie piękna jak marzenie senne, w ogromnej, powiewającej piżamie, pobiegła do swojego pokoju i pośpiesznie zamknęła drzwi.

* * * *

Zgodzili się, że salon ze zniszczonymi szybami w oknach nie był miejscem, które można by nazwać przytulnym. Do salonu przylegał mały pokój, gdzie znajdowała się stara skórzana kanapa i kilka starych skórzanych krzeseł, w którym Jeff trzymał parę swoich książek i niespodziewanie - gitarę, a w rogu stał stolik z przysadzistą lampą stołową i paroma ołówkami oraz zardzewiałym długopisem. To tam Ah Wong przyniósł im kawę. On, podobnie jak i oni, zdecydował, że nie warto już wracać do łóżka.

Wszedł, poprzedzony parującym aromatem wonnej kawy, narzekając.

— Pośpsiątać, szefee Jeff'son? — mruczał. — Zawsie loźbite okna. Naplawić je ostatnio, placiować, placiować jak diabli. A telaź loźbite jeście tsi, po cio? Lepiej idź, kuch-nia chlopcie, naplawić okno.

Był już prawie dzień, w powietrzu czuć było świt. Coś, może leciutki wiaterek, który dopiero zaczynał poruszać powietrzem, obudziło jakiegoś ptaka i kilka sennych, płynnych nut, jak małe, delikatne bąbelki, uniosło się w powietrze i dotarło do nich.

— Jeff, ten świat jest przerażający, prawda? — powiedziała Arlene znad filiżanki kawy. — Przypuszczam, że nigdy tak naprawdę nie rozumiałam, czym jest świat ani co oznacza życie, aż do dzisiaj. Jest dziki, taki strasznie dziki.

— To całkiem dobry świat, jak na świat — zauważył Jeff. — Zdarza się, że pojawia się tu wiele rzeczy, które chcielibyśmy zmienić; jest też parę

rzeczy, które naprawdę zmienić możemy. To stary twardy świat, i ciężki świat, w którym trzeba się nieźle natrudzić, ale mnie się on podoba, a tobie?

— Zastanawiam się — odparła dość mocno zagubiona Arlene.

Ledwo nastał świt, gdy Ah Wong pojawił się ponownie, beztroski posłaniec przynoszący wieści; jego uśmiech był tak szeroki, że można było pomyśleć o otwartych drzwiach stodoły.

— Ciałkiem nieźle, szefee — zaśmiał się. — Na zewnątź, koło duziej sosny jest mnóśtwo klwi. W każdym lazie pośtsieliłeś cio najmniej jednego ćłowieka, baldzio dobzie. Myślę, zie telaź jeśt dosić choly, a mozie nawet maltwy. Dobzie, szefee.

Arlene zesztywniała, a jej twarz zrobiła się trupio biała, aż po same usta.

— Ja… go postrzeliłam! — oznajmiła stanowczo, ale tak cicho, że ledwie ją usłyszeli. — Postrzeliłam go. Może go zabiłam. Usłyszałam jego krzyk i, Boże wybacz mi, ucieszyłam się! Tak bardzo, że chciało mi się śmiać!

Ah Wong popatrzył na nią z niesmakiem.

— Cio zia ploblem? — mruknął. — Chcialaś do niego śtsielać, śtsielić do niego, udało ci się - a telaź myśliś: „Ojej, ojej, śkoda, śkoda!". Po cio?

— Ochłoń trochę, Wong — powiedział Jeff. — Zmiataj stąd.

Wong odszedł, mówiąc coś do siebie po chińsku. Ale po dziesięciu minutach wrócił, ściskając coś mocno w dłoni. Uderzył tym o stół. Był to spłaszczony, poszarpany kawałek ołowiu, który wcześniej był pociskiem.

— Posiedł dowiedzieć się kto zaśtsielił tego ćłowieka — burknął. — Źnaleść kulę wbita w sośnę koło klwi. — Prychnął i ruszył z powrotem do kuchni, ale od drzwi zawołał pogardliwie: — Pa-na Ah Lee to ślićna, baldzio ślićna dziewcina, szefee, ale tylko dziewcina. Ziadna nie potlafi dobzie śtsielać, nie umie tlafić w śtodołę. Popatś na kulę, twoja bloń, szefee. Na ścięście, ty śtsielaś mocno dobzie.

Jeff wziął leżący przedmiot, przyjrzał mu się uważnie i powiedział:

— On ma rację, Arlene. To jest kula ze strzelby.

Arlene zaczęła mówić: „Dzięki Bogu!", ale nie potrafiła czuć wdzięczności za to, że rzecz, którą się brzydziła, musiała zostać przerzucona do ogródka Jeffa, więc nic nie powiedziała. Nie mogła jednak stłumić głębokiego westchnienia ulgi.

Jeff wkrótce znalazł pretekst, by wymknąć się do kuchni. Tam zażądał od swojego orientalnego służącego, aby powiedział gdzie do diabła znalazł tę kulę. Ah Wong zaczął ponownie opowiadać tę samą historyjkę, ale Jeff przerwał mu:

— Daj spokój, Wong. Gdyby kula karabinowa wbiła się w jedną z tych wielkich żółtych sosen, nie spłaszczyłaby się tak; wwierciłaby się głęboko i prawdopodobnie nigdy byś jej nie był w stanie wydłubać. Skąd to masz?

Ah Wong uśmiechnął się jak cherubinek.

— Z domu, szefee. Pocisk pziesiedł pzieź dźwi i rożtsiaśkał się na zielaźnej luzie. Taki mondly, więc idź powiedź pa-na Ah Lee, że ja tlochę kłamie. Ah Lee wyglądała na cholą. Telaź już lepiej.

— Ah Wong — oznajmił Jeff — teraz to chyba przygotowali dla ciebie w niebie harfę i specjalną parę skrzydeł.

Wong zastanawiał się przez chwilę, po czym zrozumiał i uśmiechnął się.

— Myśliś, zie w niebie jeśt taki kuch-nia spsięt, szefee?

— Myślę, że kiedy tam dotrzesz, będziesz mógł wślizgnąć się po schodach do piwnicy i znaleźć miejsce, gdzie będziesz mógł go sobie schować — zaśmiał się Jeff i wrócił do Arlene.

— Jeff — powiedziała — nie mogę tu dłużej zostać. To nie ma sensu, a poza tym nie mogę w nieskończoność odkładać znalezienia własnej drogi. Wracam do Halcyon.

Poszedł więc po konie i wczesnym rankiem pojechali do Halcyon, a Pete i Benny, choć Jeff nic o tym nie wiedział, jechali przez cały czas za nimi, poza zasięgiem wzroku, ale w odległości strzału z karabinu. Bowiem chociaż Jeff nie uważał tego za prawdopodobne, istniała niewielka możliwość, że bandyci Warbucka, którzy zaatakowali zeszłej nocy, czyhają właśnie na taką wyprawę.

— Zabawna sprawa — powiedział Jeff po drodze. — Mój ojciec i stary Bill prowadzą razem bar Pay Dirt. Ciekawe, jak do tego doszło?

— Och, to ty nie wiesz? — spytała Arlene. — To rzeczywiście zabawne, Jeff. Bill trochę mi o tym mówił, na tyle dużo, że mogłam się domyślić reszty. Wiesz, że oni kiedyś byli partnerami?

— Jasne, przez lata. Dopóki coś się nie stało. Nie udało mi się dowiedzieć.

— Przypuszczam, że nikt tego nie wie. W każdym razie są razem właścicielami większości Halcyon i hotelu Pay Dirt, pół na pół. Płacili podatki i żaden z nich nie chciał wykupić drugiego ani zaoferować mu czegokolwiek za jego udział, więc, na szczęście, nadal są partnerami! A kiedy zaczął się boom...

— A co zapoczątkowało boom? Nikt jeszcze nie znalazł kopalni, prawda?

— To gadanie, Jeff; najdzikszy rodzaj gadania. Ludzie wydają się być pewni, że zbliża się odkrycie na miarę Golkondy. Wszyscy chcą być na miejscu, gdy to wypłynie na wierzch. Kiedy złoto znalezione przez Charliego Cartera - nikt nie wie, gdzie ono jest…

— Nikt? Twój… Bart Warbuck wie!

— Ja… też tak myślę, Jeff. No cóż, to wszystko, co wiem. Przypuszczam, że Halcyon będzie się rozrastać, coraz bardziej i bardziej, i tak wielu ludzi będzie czekać oraz żyć nadzieją. Potem, jeśli nic z tego nie wyjdzie, Halcyon wróci do drzemki. Lecz w międzyczasie zamierzam zmusić Halcyon do działania. Bo ja naprawdę chcę dwóch sukienek, dwóch par butów, dwóch kapeluszy i...

— Strzeż się, Halcyon! — zaśmiał się z niej. — Oto nadchodzi młoda awanturnica, która podetnie ci gardło lub w każdym razie sakiewkę, a może jedno i drugie!

— Ale jak, u licha, mam to zrobić?

On też nie wiedział. Oczywiście będzie miała sesję ze Starym Jeffem i sesję ze starym Billem Morganem. Obaj starzy chłopcy, jak podejrzewał Jeff, polubili ją.

— Jakoś się to ułoży — powiedział tonem człowieka, który był tego pewien. Nie było istotne jak, dopóki nie nadejdzie właściwy czas. Co do niego, uważał że wszystko musiało się ułożyć.

Zastali Halcyon w takim samym stanie, w jakim je opuścili, z tą różnicą, że obecnie było koło południa, a nie noc. Miasto nie wyglądało na zatłoczone; w zasięgu wzroku kręciło kilku ludzi, którzy załatwiali różne sprawy, a ze starych kominów unosiły się leniwe smużki dymu. Na postoju przed Pay Dirt stały tylko trzy lub cztery osiodłane konie i stary, zdezelowany wóz. Zsiedli z koni, zostawili je przy poręczy i weszli do środka.

Saloon był prawie pusty. Za barem siedział tylko Bill Czerwona Koszula, opierając się na łokciach i wyglądając na zaspanego. Ocknął się jednak, gdy zobaczył, kim są.

— Witajcie w mieście i podajcie nazwę ulubionej trucizny — przywitał ich. — Jest na koszt firmy.

— Poznaj Ducha Halcyon, Bill — przywitał się Jeff. — Radosna, młoda poszukiwaczka przygód, która chce zdobyć świat i fortunę w ciągu jednej nocy. Gdzie jest Jeff?

— A skąd mam wiedzieć? — odparł Bill Morgan i zwrócił się do Arlene. — Myślałem, że wymknęłaś się i wróciłaś do domu, nawet się nie żegnając — powiedział.

Jeff zostawił ich zajętych rozmową i poszedł do domku Cichego Jeffa. Zastał Cichego Jeffa parzącego kawę, podgrzewającego garnek czerwonej fasoli gotowanej z kością od szynki i krojącego chleb kukurydziany. Był otoczony przez psy. Sieroty pozostawione przez Charliego Cartera wyglądały na dobrze odżywione.

— Doberek, Jeff — oznajmił Cichy Jeff. — Przysiądź się i jedz.

— Opowiadałem ci, co wydarzyło się tu jednej z poprzednich nocy, Jeff — powiedział Młody Jeff i przysiadł się. — Powwow, które urządzili sobie Warbuck i stara kobieta, został podsłuchany przez trzy osoby; byli to Jim Ogden, Arlene i twój mały chłopiec.

Cichy Jeff, spróbowawszy swojej fasoli, powiedział:

— Soli, Jeff? — i przesunął puszkę soli na drugą stronę stołu.

— Przedwczoraj Warbuck zabrał Jima Ogdena. Odjechali razem, ale najpierw odbyli rozmowę. Ogden powiedział mu wszystko, co wiedział. Tak więc Warbuck chce zamknąć usta kilku osobom: Arlene, ściągając ją z powrotem do domu, i mnie, wysyłając paru swoich zabójców na moje poszukiwania. Dziś w nocy mieliśmy u mnie małą próbę sił.

Jeff skinął głową i wyglądał na zamyślonego. Prawie coś powiedział, ale rozmyślił się i pomógł sobie sporym kawałkiem chleba kukurydzianego. Posmarował go solidnie masłem, a następnie zamoczył w kawie; jego kawa po tym zabiegu wyglądała na zabrudzoną, ale nie przeszkadzało mu to.

— Będę kombinował, próbując zadbać o siebie — mówił dalej młody Jeff. — Ale jest jeszcze Arlene. Wróciła do miasta i rozmawia z Billem

Morganem. Wie, że jej ojciec jest mordercą i w ogóle skunksem, i jedno jest pewne - nie wróci do domu.

Łatwo było to zrozumieć i Cichy Jeff ponownie skinął głową. Potem uniósł jedną kudłatą brew jako znak zapytania.

— Do diabła, nie wiem! — wykrzyknął Młody Jeff. — Co ona zamierza zrobić? W głębi serca jest niezależna jak cała gromada Statui Wolności. Chce zarabiać uczciwie dolary; chce wyrzucić na śmieci wszystkie buty i skarpetki, które kupił dla niej Bart Warbuck, i zacząć od zera. I prędzej umrze, zanim pożyczy choćby centa od ciebie, mnie, Billa czy samego diabła. Co ona ma zrobić, Jeff?

Było o czym myśleć. Co ona mogła zrobić?

Po raz pierwszy wciąż Jeff stał się niemal gadatliwy.

— Jeden z zabójców Warbucka na pewno wkrótce cię dopadnie, Jeff — powiedział. — Nie martw się jednak, bo zaraz pojadę i zabiję Warbucka.

— Wielkie dzięki — warknął Jeff. — To bardzo pomoże!

Cichy Jeff ponownie skinął głową i wykonał jeszcze kilka zamoczeń, najbardziej niechlujnych, pomyślał Młody Jeff, jakie kiedykolwiek wykonano.

— Niech to diabli, Jeff — zaklął Młody Jeff. A Cichy Jeff w pełni się z nim zgodził, choć w milczeniu; „niech to diabli” było to właściwe określenie.

Młody Jeff odsunął krzesło i wstał.

— Martwię się o Arlene — powiedział. — To dobra dziewczyna, Jeff. Jeśli Warbuck zaciągnie ją do domu, to złamie jej serce albo wręcz zabije. A ja nie mogę przecież siedzieć przez cały czas w Halcyon i jej pilnować. Jeśli wy dwaj, chłopcy, nie zgłosicie się na ochotnika… No cóż, mam nadzieję, że obaj zadławicie się na śmierć.

— Już idziesz, Jeff? — odparł stary Jeff. — No to, na razie, mały.

Były chwile, tak jak teraz, kiedy Młody Jeff czuł w stosunku do swego ojca głęboki niesmak. Gdyby Cichy Jeff był młodszy o jakieś trzydzieści lat - i nie był jego starym - był pewien, że nic nie sprawiłoby mu większej satysfakcji niż wybicie Cichemu Jeffowi z głowy tej wiecznej powściągliwości. Młody Jeff wyszedł więc wściekły. Ale – tak jak to zawsze bywało - nie zdążył nawet zrobić paru kroków, kiedy pomyślał: „Do diabła, stary znowu ma rację. Nie mając nic do powiedzenia, po prostu nic nie powiedział. To wszystko. Rzadko się odzywał i powiedział swoje o wycieczce do Barta Warbucka - a cóż więcej może zrobić mężczyzna? Jeśli kiedykolwiek będę miał choć w połowie tyle rozumu, co Jeff, to będę miał dwadzieścia siedem razy więcej rozumu niż teraz.”

Skierował się z powrotem w stronę hotelu, mając przed oczami Arlene oraz jej problem, i cały ciężar jej trudnej sytuacji spoczął mu brzemieniem na ramionach i przycisnął go do ziemi. Kiedy tak szedł przed siebie, nadbiegł jakiś mężczyzna – albo raczej krzepki młodzieniec, choć uważający się za mężczyznę. Był w stanie takiego podekscytowania, że oczy niemal wyskoczyły mu z głowy, a język zupełnie skołowaciał. Tak niezdarnie próbował przekazać to, co próbował powiedzieć, jąkając się i zacinając, że Młody Jeff złapał go za ramiona, potrząsnął nim i zagroził, że

go spoliczkuje. Wreszcie chłopiec zdołał wydusić z siebie to, co miał do powiedzenia.

— Przysłał mnie Bill Morgan. Dał mi dwadzieścia dolarów, kopnął mnie w siedzenie i kazał biec jak najdalej! Mówił, że jest tam ponad dwudziestu ludzi, Warbucków, jak ich nazywał, którzy właśnie podjechali… I są piekielnie zdeterminowani, żeby ukraść dziewczynę oraz zastrzelić Młodego Jeffa… I mówił, że gdyby było ich tylko dwudziestu, mógłby się nimi zająć w pojedynkę, ale tak czy inaczej jest ich dwudziestu jeden, i na miłość Boską, żebym się kopnął po Młodego Jeffa. I powiedział jeszcze, żeby nic nie mówić staremu głupcowi z wąsiskami do odcedzania zupy… I, to wszystko, co mi powiedział, klnę się na Boga.

Ze swojego miejsca przy stole Cichy Jeff jakimś cudem dotarł do drzwi z szybkością błyskawicy; po drodze jedną ręką chwycił swoją starą strzelbę, drugą wyciągnął z kieszeni pełną garść srebrnych monet. Wepchnął je w ręce bełkoczącego posłańca.

— Biegnij z powrotem do Billa Morgana, jakby gonił cię sam diabeł — prychnął Cichy Jeff. — Powiedz mu, że dałem ci czterdzieści dolarów za jego cholerne dwadzieścia. Powiedz mu ode mnie, że będę tam jeszcze przed tobą. Powiedz mu też, że jeśli jest tam tylko dwudziestu jeden zabójców Warbucka, to jedyne, co musi zrobić, jeśli się nie boi, to strzelić jednemu z nich w plecy; w tym jest cholernie dobry. A ja zajmę się pozostałymi dwudziestoma! Zrozumiano?

— T-t-tak jest, p-proszę pana — jąkał się młodzieniec.

— W takim razie zejdź mi z drogi — oznajmił Cichy Jeff - albo po tobie przebiegnę!

Młody Jeff i Cichy Jeff ruszyli biegiem, ramię w ramię.

Rozdział XII

Młody Jeff popędziłby na pełnej szybkości, do frontowych drzwi. Ale Cichy Jeff złapał go za rękaw i pociągnął gdzie indziej, zaś Młody Jeff, nie zamierzał uderzyć na ślepo, poszedł więc w ślady ojca. Weszli wąskimi tylnymi drzwiami, i dalej po stromych schodach, do rozpadającej się, ciemnej i zatęchłej piwnicy, po czym wydostali się na górę po drabinie, która pod ich ciężarem straciła szczebel lub dwa - i chwilę później znaleźli się na podłodze za barem.

— Bez pośpiechu, Jeff — powstrzymał go Cichy Jeff.

Młody Jeff zobaczył Czerwoną Koszulę Billa Morgana, ze starą strzelbą spoczywającą na barze zamiast butelki czy też ściereczki barowej, i to było mniej więcej wszystko, co był w stanie zobaczyć. Jego uwagę zwróciło to, czym zajmował się Cichy Jeff.

Pod barem znajdował się przesuwany panel, a Cichy Jeff, pamiętając dawne czasy i udowodnioną wcześniej przydatność tego gadżetu, szukał uchwytu, który sprawiał, że to cholerstwo działało. Znalazł go w miejscu w którym pamiętał, że powinien się znajdować; panel narzekał jak stare kości, ale poddał się i odsunął; w przedniej płycie baru pojawiła się długa wąska szczelina, przez którą można było zerknąć na salę, wystarczyło tylko kucnąć nisko i przyłożyć do niej oko. Okienko miało szerokość zaledwie paru cali - mimo to, można było przez nie nie tylko zerkać, ale również wysunąć lufę karabinu lub sześciostrzałowca.

— Do diabła, widać tylko nogi! — narzekał Młody Jeff.

Głęboki, gardłowy głos Billa Morgana mówił właśnie z zadowoleniem:

— Jeśli któryś z was ma ochotę zacząć strzelać, to po prostu zacznijcie strzelać. Ja jestem gotowy.

— Nogi są cholernie dobrym celem — zauważył Cichy Jeff. — Trafiaj ich w kolana. Wtedy się uginają.

— Rozumiem, stary — burknął Młody Jeff. — Potem delikwenci przykucają, a ty strzelasz im w wątroby! Cwany gadżet, Jeff.

— Kiedyś się przydawał — westchnął, wspominający stare czasy Cichy Jeff. Zabrzmiało to sentymentalnie. No cóż, było to urządzenie, które on i stary Czerwona Koszula Bill Morgan wymyślili, kiedy byli młodzi.

Może Bill Morgan ich widział, a może nie, ponieważ jego oczy były skierowane na pomieszczenie przed nim, a oni obaj weszli ukradkiem. W każdym razie ciągnął dalej:

— Zdecydujcie się, chłopcy. Możecie podejść do baru i wypić tyle drinków, ile chcecie, pod warunkiem, że za nie zapłacicie. Możecie też dostać za darmo cały ołów, jaki mam tu w strzelbie. Tylko nie traćmy czasu.

W odpowiedzi odezwał się szorstki głos.

— Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany, Bill. Nie ciebie chcemy. Szukamy młodego Cody'ego. I zabieramy do domu córkę Warbucka. Zrobimy to pokojowo… czy?

— Odpowiedź brzmi „czy” — powiedział Bill Morgan. — Młodego Jeffa tu nie ma. Jeśli chodzi o Arlene Warbuck, to jest pełnoletnia, dorosła, wie czego chce, i nie pójdzie z nami.

Głos, który poprzednio przemówił, odezwał się ponownie, ostry i pełen groźby. Młody Jeff rozpoznał go teraz: To mówił Tod Jones, jeden z młodych piekielników Warbucka, który, ponieważ był człowiekiem odpowiedniego rodzaju, naturalnie wszedł w buty świętej pamięci Ricka Voorheesa.

W tym momencie odezwał się Cichy Jeff, i do całkiem rzeczy.

— Wynoście się stąd, wy cholerne bezmyślne diabelstwa! — oznajmił — Albo odstrzelę wam nogi!

Kogoś zaswędział palec i huknął strzał - stary Czerwona Koszula Bill Morgan, jak błyskawica odpowiedział mu ze swojej strzelby, po czym schował się za barem.

— Zupełnie zapomniałem o tej starej strzelnicy pod barem — burknął. — To i tak zawsze był cholernie głupi pomysł.

W większości gier w życiu jeden strzał pociąga za sobą kolejne, a teraz cały ich grad zabębnił na barze, za którym jak wiedzieli napastnicy ukryła się ich ofiara. Nie wiedzieli tylko o panelu starego Cichego Jeffa i nie do końca zrozumieli znaczenie jego słów, gdy ostrzegał ich o odstrzeleniu nóg. Teraz jednak, i to w czasie krótszym niż uderzenie o ziemię spadającej szyszki, dowiedzieli się co miał na myśli.

Nisko wycelowany wystrzał ze śrutówki przeorał ich szeregi. Tod Jones upadł z wrzaskiem na ziemię, z przestrzelonym kolanem, Andy Coppler zatańczył szaleńczo z pokaźną dziurą w kości piszczelowej, a pół tuzina innych zostało postrzelonych w różne fragmenty kończyn dolnych. Nie widzieli, do czego strzelać, nie potrafili zlokalizować tej przeklętej szczeliny, z której wylatywały pociski; mogli tylko daremnymi strzałami demolować i tak już mocno postrzelany bar.

Stary Czerwona Koszula Bill Morgan, który, dzięki Bogu, znów poczuł się młodo, ryknął radosnym i donośnym wrzaskiem, gdy ramię w ramię z Cichym Jeffem wypchnął swoją strzelbę przez szczelinę:

— Dalej, chłopcy! Chodźcie i bierzcie! Mamy tu pod dostatkiem kul dla wszystkich, którzy ich szukają, a wy, chłopcy, przyszliście i poprosiliście o nie, prawda? Ja i jeszcze jeden stary… ja i Młody Jeff Cody siedzimy tu ramię w ramię, tak jak zawsze powinniśmy, a wy musicie tylko je wziąć! Hura! Dobrze tak sobie siedzieć i słyszeć łamiące się kości! Chcecie jeszcze? Podejdźcie, panowie. Chodźcie i bierzcie!

Nie chcieli już, ani troszeczkę. Byli wojownikami, a większość z nich była całkiem porządnymi wojownikami. Ale nie lubili walczyć z czymś, czego nie mogli zobaczyć. Mimo że było ich wielu - według rachuby Billa Czerwonej Koszuli dwudziestu jeden - przeciwko zaledwie trzem, nie mogli dostrzec ani kawałka ciała, ani nawet włoska, żadnego z tej trójki, a ich nogi zaczęły pokrywać się gęsią skórką. Tod Jones krzyknął szaleńczo:

— Stój, Bill! Stój! Dostaliśmy już wszystko, czego chcieliśmy. Wyhamuj Bill!

W odpowiedzi stary Bill Czerwona Koszula, podejmując ryzyko i śmiało się na nie wystawiając, podniósł się i spojrzał nad górną część baru, po czym odłożył karabin, wciąż trzymając go pod ręką.

— Chcecie się napić? — oznajmił łagodnie. — Jeśli tak, podejdźcie i wyłóżcie pieniądze. Jeśli nie, wyjdźcie stąd i zróbcie miejsce dla tych, którzy swobodniej wydają forsę.

— Niech mnie diabli — mruknął Młody Jeff. A Cichy Jeff, korzystając z wolnej chwili, sięgnął do kieszeni na biodrze po tytoń do żucia „Star”.

— Wpadniemy innym razem, Bill — wykrztusił Tod Jones. — Dzisiaj nie chce mi się pić.

— Zabierz ze sobą swoich okaleczonych i rannych — prychnął Bill Morgan. — Nie musisz się śpieszyć z powrotem, chyba że masz ochotę na więcej.

— Wpadniemy w jakiejś wolnej chwili — oznajmił szybko Jones i wszyscy Warbuckowie wyszli - paru z nich szło utykając lub było wynoszonych.

Młody Jeff po raz drugi stwierdził, z nutą szacunku w głosie:

— Niech mnie diabli.

Poza kontyngentem Warbucków w pomieszczeniu znajdowało się nie więcej niż sześciu czy ośmiu mężczyzn. Ci również wyszli; prawdę mówiąc większość z nich wyszła już wcześniej i to pośpiesznie, paru nawet przez najbliższe dogodne okno, nie mając nic wspólnego z tą sprawą i pilnie chcąc zmienić miejsce pobytu. Kiedy więc, zgodnie z precedensem ustanowionym przez starego Billa Czerwoną Koszulę, obaj Jeffowie wstali, mieli przed sobą jedynie pustą salę.

— Wygląda na to, że wypadliśmy z interesu — westchnął stary Cichy Jeff. Popatrzył na syna i pokręcił siwiejącą głową. — Zdaje się, że nie mogę sobie zrobić nawet przerwy na lunch — stwierdził.

Bill Czerwona Koszula powiedział do młodego Jeffa - kierując swe słowa celowo do Młodego Jeffa - wyglądając jak stary byk, gotów przebić się przez ogrodzenie pastwiska.

— Młody, jest wolna posada i lepiej ją przyjmij. Jestem właścicielem połowy tego hotelu, podobnie jak połowy wszystkiego, co jest warte posiadania, w miasteczku Pay Dirt. No cóż, nie mogę być w pobliżu, każdego dnia, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda? Musi być człowiek, któremu można zaufać, tak zwana trzecia strona. Mógłby zbierać pieniądze, dzielić je na dwie części i dopilnować, żebym nie został oszukany - do diabła, mógłby dzielić je na trzy części, jeśli o mnie chodzi, i wziąć sobie trzecią część za fatygę – i tak zaoszczędziłbym wtedy kupę forsy!

Młody Jeff musiał się roześmiać. Zasugerował:

— Wyjrzyjmy rzucić okiem na zewnątrz i sprawdzić, czy wyjechali z miasta, czy dalej się tu kręcą.

— Och, pojechali sobie, na pewno — odparł stary Bill. — Ty i ja, mały, we dwóch, przepłoszyliśmy ich stąd.

Można się było spodziewać, że Cichy Jeff przynajmniej parsknie. Jedyne, co zrobił, to podkręcił końcówki swoich sumiastych wąsów.

Wyjrzeli na zewnątrz. Chłopcy Warbucka znikali w oddali, w chmurze pyłu. Trio wróciło do baru. Bill Morgan i Cichy Jeff stanęli za barem, odłożyli karabiny tak by nie było ich widać ale mieli je pod ręką, i automatycznie sięgnęli po ściereczki barowe.

— Czego się napijesz, mały? — spytał Bill Morgan. — Łyknij sobie czegoś mocnego. Na koszt firmy.

Cichy Jeff również zapraszał, choć nie powiedział ani słowa. Jako pierwszy jednak, postawił na barze butelkę i zmarszczył brwi.

— Na koszt firmy, Jeff? — spytał Młody Jeff Cichego Jeffa.

Cichy Jeff wzruszył ramionami. Odpowiedziały za niego: "Dlaczego by nie?".

Młody Jeff poprosił:

— Niech to będzie kieliszek whisky, Jeff. — A do starego Billa powiedział: — Też daj mi whisky, Bill.

Dwie butelki stały gotowe. Nalał z nich dwie pełne szklaneczki. Następnie, ujmując je prawą i lewą ręką, skrzyżował ramiona, tak że trunek pochodzący z butelki Cichego Jeffa znalazł się pod nosem Billa Morgana, a trunek pochodzący z butelki starego Billa znalazł się pod nosem Cichego Jeffa.

— Pijcie na zdrowie, chłopcy — powiedział Młody Jeff. — Pamiętajcie, to na koszt firmy!

Tym razem nawet Bill Czerwona Koszula trzymał język za zębami. Dwaj starsi panowie za barem, złapali za swoje ściereczki, wycierając jego blat. I tak się nieszczęśliwie złożyło, że obie pełne szklaneczki whisky przewróciły się i wpadły do kosza, a ich zawartość się rozlała. Lecz młodego Jeffa nie było już, kiedy to się wydarzyło. Wyszedł z sali, idąc długim krokiem, i był w już połowie drogi przez hol, zanim szklaneczki z brzękiem wylądowały w koszu. Wbiegł po skrzypiących, starych schodach, skierował się prosto do pokoju, który należał do Arlene, kiedy był tu ostatnio, i zastukał zdecydowanie, jak ktoś, komu nie można odmówić.

— Pa-na Ah Lee — zawołał. — Ty psijść sibko do mnie. Mam kuch-nia lobota dla pa-na Ah Lee!

Jej drzwi otworzyły się szeroko, kiedy był w połowie drogi do drugiej Ah Lee. Spojrzała na niego oczami – no dobrze, może nie były one aż tak duże jak spodki. Lecz dla Jeffa były to całkiem duże oczy, w które cudownie było patrzeć. Spoglądanie w nie było podobne do zaglądania w głębokie leśne jeziora, w gorący letni dzień.

— Jeff! Słyszałam strzały... Powiedz mi...

— Jasne, że ci powiem — powiedział Jeff i złapał ją za rękę. — Chodź szybko ze mną. Masz fenomenalną pracę. Będziesz buchalterką, szefem biura, głównym księgowym, dyrektorem generalnym i oficjalnym gołąbkiem pokoju w Pay Dirt Hotel. I będziesz dostawać przynajmniej jedną trzecią wpływów, tylko za to, że będziesz utrzymywać porządek w liczbach, i za to, że będziesz powstrzymywać Jeffa i Billa przed otruciem się nawzajem. Wszystko jest w porządku, chłopcy z Long Valley, którzy chcieli coś tam rozpocząć, wrócili już do domu, a ty jesteś królową

legowiska. W każdej chwili możesz rozpalić ognisko ze wszystkich swoich starych ciuchów, których nie chcesz już nosić. A jeśli chcesz więcej górnolotnych tytułów, możesz nazwać się Trzecim Barmanem Pomocniczym.

— Ale, ale, Jeff...

— Postrzeliliśmy ich w nogi, a oni wrócili do domu — rzucił jeszcze Jeff i zbiegł po schodach.

Gdy wrócił do baru, zastał lokal pełen ludzi. Strzały, które tutaj padły, w całym Halcyon odbiły się echem gwaru i poczucia zagrożenia, i wezwały wszystkich, by przybiegli i zobaczyli, co się tutaj dzieje. Mieszkańcy miasta, żyjący przez cały czas nadzieją, że lada chwila zasłona tajemnicy zostanie zdjęta i stanie się powszechnie wiadome, gdzie dokonano nowego odkrycia złota, przyjmowali każdą nieprzewidzianą okoliczność jako coś, co może naprowadzić ich na właściwy trop. Dlaczego ludzie mieliby próbować nawzajem się zabijać? Z powodu złota! No cóż, to było dostatecznie rozsądne wytłumaczenie. Więc wszyscy, którzy byli w zasięgu słuchu, przybiegli do baru.

— C-co? — pytali ci co bardziej zaniepokojeni. Lecz byli to tylko mieszkańcy miasta, prości i nieświadomi, nowi i niedoświadczeni, ludzie, których starzy wyjadacze, tacy jak Cichy Jeff i Czerwona Koszula Bill Morgan, mogli pozbyć się jednym ruchem wilgotnej barowej ściereczki.

W tej gromadzie znajdował się jednak jeden człowiek, outsider i nowy przybysz, który właśnie teraz wciągnął Billa Morgana w rozmowę i nie został tak bezceremonialnie spławiony. Był to szczupły, niemal trupioblady mężczyzna około pięćdziesiątki, z niechlujną, brązową brodą w typie Van Dycka, przyprószoną popielatą siwizną, prawie łysą głową i parą skrytych, lecz przenikliwych ciemnych oczu.

Był dobrze ubrany w szary garnitur, który wyglądał na nowy i drogi, lecz garnitur ten nie był ostatnio prasowany, zaś koszula którą miał na sobie była brudna, i ogólnie wyglądał dosyć obskurnie. Gdy Jeff wszedł, ten nowy mieszkaniec Halcyon zadawał właśnie pytania staremu Billowi Morganowi.

— Czy jest tu pan Warbuck? — usłyszał jako pierwsze Jeff.

Bill Czerwona Koszula odpowiedział przybyszowi zdawkowo:

— Nie — ale z zaciekawieniem przyglądał się pytającemu.

— Była tu kiedyś w okolicy stara kobieta, która nazywała się Amanda Grayle — kontynuował nieznajomy. — Mieszka tu jeszcze?

— Przypominam sobie ciebie — burknął Bill. — Tak mi się zdawało, że jest w tobie coś znajomego. Ty jesteś Sharpe, tak to ty. Doc Sharpe, który zniknął nagle prawie dwadzieścia lat temu i już nie wrócił.

Mężczyzna nie wyglądał na szczególnie zadowolonego z tego że został rozpoznany i przez chwilę zastanawiał się może nad celowością przekonywania Morgana, że się pomylił. Potem wzruszył ramionami i potwierdził kwaśno:

— Tak, jestem dr Sharpe. Nie przypuszczałem, że mnie znasz. Trochę się zmieniłem przez te dwadzieścia lat. Daj mi jeszcze jednego drinka. I opowiedz o tej starej kobiecie, chciałbym ją zobaczyć. Była kiedyś moją pacjentką. Gdzie ona teraz mieszka?

— Mieszka tam, gdzie zawsze — odparł Bill Czerwona Koszula i odsunął butelkę, którą miał właśnie postawić przed przybyszem. — I nie dostaniesz ode mnie więcej drinków. Wynoś się stąd do diabła.

— Spokojnie, Morgan! Co się z tobą dzieje? — Dr Sharpe rzucił na stół pieniądze; wydawał się być w pełni wypłacalny. — Mogę zapłacić...

— Spadaj w podskokach — zdenerwował się Bill. — Nie lubię cię, nigdy nie lubiłem - i jeśli jeszcze raz wsadzisz tu tę swoją łasicowatą mordę, wyrzucę cię na zbity pysk. A teraz, już cię tu nie ma!

— Niech cię szlag! — zawołał Sharpe.

Stary Bill przechylił się przez bar i otwartą dłonią uderzył mężczyznę w twarz tak mocno, że plaśnięcie zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. Sharp zatoczył się do tyłu, prawie upadł, podciągnął się i wsunął rękę na biodro. Bill Morgan szybkim ruchem ręki złapał strzelbę, położył ją na barze, a Sharpe, mrucząc gniewnie pod nosem, wyszedł.

Młody Jeff zauważył całą tę sytuację. „Doc Sharpe”. Nazwisko i tytuł utkwiły mu w pamięci, zastanawiając go. Gdzieś już je słyszał. Wiązało się to z wydarzeniami sprzed dwudziestu lat, wzmianka o Warbucku i starej kobiecie z Dziury Wiedźmy - wszystko to wróciło mu do głowy, błyskawicznie. Nazwisko „Doc Sharpe” padło tamtej nocy, kiedy Warbuck postrzelił Jima Ogdena; Ogden mówił coś o "dwudziestu latach temu, kiedy urodziła się twoja córka” i że "Doc Sharpe ma coś na ciebie, jak stara pani Grayle”. Jim Ogden powiedział jeszcze: „Ja też mam pewne pojęcie, co to może być”. A teraz pojawił się tu Doc Sharpe - zaś stary Bill Morgan, który nie należał do ludzi specjalnie wrażliwych, odmówił mu drinka w Pay Dirt i prawie go stąd wyrzucił.

W tym momencie, z jakiegoś niejasnego powodu, albo nawet bez żadnego powodu, a może z całego mnóstwa pomieszanych powodów, młody Jeff Cody wpadł w ogromną wściekłość; jak to się mówi w Halcyon, wściekł się na wskroś.

— Robi mi się już cholernie niedobrze od tego wszystkiego — warknął do siebie, nie ufając nikomu oprócz Młodego Jeffa Cody'ego, ale czując ochotę do dyskusji z całym światem. — Oto Bart Warbuck, oszust, morderca i łobuz w złotych szatach, który rozpętuje dla nas wszystkich piekło, rujnuje wielu ranczerów, którzy są solą tej ziemi, próbuje zastraszyć własną córkę, próbuje wypalić moje istnienie – i przez cały czas depcze mi po piętach. Do tego to stado krwiopijców, stara Wiedźma, ten wąż Doc Sharpe i być może Jim Ogden, którzy mają na niego haka i mogą go załatwić dwoma ruchami ręki. I do tego jestem ja, Jeff Cody, i nawet nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi! Stary Bill i Jeff mogliby opowiedzieć mi część tej historii; Jim Ogden mógłby dorzucić jeszcze jakąś jedną rzecz lub dwie; ta stara kobieta i Sharpe mogliby nawet wyjaśnić całą historię. I, do jasnej cholery, zrobią to!

Teraz nie było czasu na rozmowę z Billem Morganem; mogła to być jednak dobra chwila aby porozmawiać z Docem Sharpem. Co Jim Ogden powiedział tamtej nocy Warbuckowi? Coś w stylu: „Udusiłbyś swoją córkę w noc jej narodzin, ale...”. Sharpe już wyszedł, bez wątpienia był w drodze, żeby porozmawiać o starych czasach z Amandą Grayle.

Młody Jeff, gotowy zrobić coś z tym bałaganem, który robił się coraz większy, pośpieszył w ślad za Sharpem. Jednak nigdzie go już nie było widać. Jeff słyszał wprawdzie gdzieś w pobliżu stukot kopyt, ale odgłos ten szybko się oddalił. Podszedł więc do narożnika werandy, do miejsca, z którego mógł dostrzec coś przez drzewa; ktoś, ledwo widoczny, jadący na czarnym koniu, skręcił wokół kępy młodych sosen, i skierował się w górę doliny. Przypuszczał, że to właśnie Sharpe.

Wtedy właśnie w zasięgu wzroku Jeffa pojawiła się wjeżdżająca do miasta dziewczyna. Jadąc na dużym, mocno zbudowanym kowbojskim kucu, w swym nowomodnym stroju jeździeckim, wyglądała na wyjątkowo drobną. W chwilę Jeff patrzył już w zaróżowioną twarz Chrystine Ward, małej nauczycielki z Deer Valley.

— Och, Jeff — wysapała. — Jeff!

— Witaj, Chrystine — powiedział. — Wyglądasz jak… Ty tutaj! Co to wszystko ma znaczyć!

Zsunęła się z siodła prosto w jego ramiona. Gdyby nie złapał jej szybko, upadłaby na ziemię. Przycisnęła się do niego i zaczęła szlochać.

— Jeff! Jeff! Jestem wy-wystraszona na ś-śmierć. Och, Jeff!

— Co znowu? — stwierdził Jeff. Objęła go za szyję; uwolnił ją i postawił ją na ziemi, wpatrując się w nią ze zdziwieniem. — Co cię ugryzło, Chrystine?

— Gdzie jest Arlene Warbuck? Jest tutaj? Muszę się z nią zobaczyć.

— Jest na górze. Ale o co chodzi? Wyglądasz, jakby gonił cię diabeł.

— I tak jest! — lamentowała dziewczyna. — Pracuję dla Barta Warbucka, Jeff, odkąd tylko tu przyjechałam. Byłam małym, brudnym szpiegiem. Wielu chłopców przejeżdżało koło szkoły i opowiadało mi o różnych sprawach, nawet ty. Pamiętasz? — spytała niemal z żalem. A ja mówiłem o wszystkim Bartowi Warbuckowi; dlatego załatwił mi pracę w szkole. A potem – no cóż, może za dużo się dowiedziałam! W każdym razie, boję się go, Jeff.

— I powinnaś — burknął do niej. A potem spytał: — A co to za sprawa z Arlene?

— Muszę jej powiedzieć...

I wtedy wyrwała się mu, zostawiła konia na miejscu, zapominając o wszystkim, i pobiegła po schodach do hotelu. Jeff przywiązał konia do konowiązu. Następnie sam wsiadł na siodło i ruszył w górę doliny, w kierunku, w którym, jak był pewien, udał się Doc Sharpe.

Rozdział XIII

Młody Jeff Cody nigdy nie był materiałem na podsłuchiwacza; nie miał ochoty siedzieć z okiem przy dziurce od klucza, czy z uchem przyciśniętym do ściany. Uważał, że zbiegiem okoliczności podsłuchał już prawie wszystko, na czym mu zależało. Chciał jednak się dowiedzieć, co może łączyć nowoprzybyłego Sharpe'a i Starą Wiedźmę.

Wjeżdżając do Dziury Wiedźmy, zagłębił się w wilgotne i ponure miejsce, nawet w wiosenne południe. Było tu niesamowicie cicho; nawet ptaki nie odwiedzały tego miejsca aż do czasu najgorętszych dni lata, wietrzyk miał trudności z przebiciem się do środka, zaś jedynym słyszalnym odgłosem było cichy plusk małego strumyka płynącego po śliskich omszałych kamieniach, w drodze do Wandering River. Skręcił na trawiastą, biegnącą w poprzek zagłębienia ścieżkę, ledwie widoczną i zwykle mało uczęszczaną, a po chwili zobaczył ciemne ściany chaty starej kobiety. Dostrzegł też czarnego konia przywiązanego do białego, martwego drzewa, nieopodal drzwi. Zsiadł ze swego pony i znalazłszy niezaryglowane drzwi, otworzył je bez pukania i wszedł do środka.

Siedzieli tam Doc Sharpe i stara kobieta, sycząc na siebie nad starym, nagim stołem, jak dwa koty. Ich spojrzenia natychmiast skupiły się na Jeffie, widać było w nich już gniewne błyski. Pazury kobiety były zaciśnięte tak mocno, że ich chude knykcie lśniły niebieskawo, zaś twarz mężczyzny była zarumieniona z emocji, a oczy spoglądały nikczemnie, jak oczy węża.

— A teraz — powiedział Młody Jeff, zamykając drzwi i podchodząc do nich — porozmawiajmy. Są rzeczy, których muszę się dowiedzieć.

Amanda Grayle rozluźniła się i rozsiadła wygodnie w swoim rozklekotanym fotelu. Bezzębny uśmiech, który tak dobrze znał, zdawał się tworzyć dodatkowe zmarszczki na zmęczonej twarzy kobiety.

— Porozmawiajmy — powtórzyła jego słowa. — Porozmawiajmy, mój drogi. O czym? O tobie i córeczce Bartona? A może o pogodzie, złocie Charliego Cartera albo...?

— Porozmawiajmy o starych, dobrych czasach — powiedział Jeff. — Cofnijmy się o jakieś dwadzieścia lat, kiedy ty i Sharpe znaliście się całkiem nieźle, kiedy oboje byliście o dwadzieścia lat młodsi, podobnie jak Bart Warbuck; kiedy urodziła się córka Barta Warbucka, a on nie zdążył udusić jej w kołysce, ponieważ doktor Sharpe wpadł do jego domu.

Oczy Sharpe'a rozszerzyły się i spojrzał pośpiesznie na Amandę Grayle, a jego ziemista twarz wykrzywiła się w konsternacji. Starsza kobieta odezwała się ostro, zanim zdążył powiedzieć choćby słowo.

— Trzymaj język na wodzy, Sharpe! Jeff tylko sonduje. Nie wie więcej niż nowonarodzone dziecko. Odrobinę zgaduje, to wszystko.

— Jeśli już o tym mowa... — powiedział Sharpe, gburowatym i złośliwym tonem.

— Zamknij się, głupcze! — przerwała mu. — Sam jesteś gadułą. Ja nie paplam.

Jeff zauważył wtedy, że Sharpe sporo wypił; wyglądał właśnie na kogoś takiego; bez wątpienia woził w siodle butelkę whisky i przez połowę czasu był zamroczony. Ale teraz, gdy słowa starej kobiety uderzyły go jak policzek w twarz, zamilkł i przeniósł wzrok z powrotem na Jeffa.

— Czego tu chcesz? — zaczął się dopytywać. — Kim ty w ogóle jesteś?

— To Młody Jeff, Henry — odparła Amanda Grayle. — Chłopak starego Jeffa. A stary Jeff, to stary Cody; kiedyś był kumplem Billa Morgana, pamiętasz? — Popatrzyła na niego, a potem skierowała to samo spojrzenie na Młodego Jeffa. — Teraz już nie są partnerami, Sharpe; nie są partnerami, mimo że prowadzą razem ten sam hotel i są jego właścicielami pół na pół. Pewnego dnia poderżną sobie nawzajem gardła - czyż nie, Jeffie? - i wiemy dlaczego, i ja i ty, Henry Sharpe, prawda?

Zachichotała i zatarła swe stare dłonie w tym swoim niegodnym zachwycie, który podnosił ją na duchu, ilekroć widziała czarne cienie unoszące się gdziekolwiek, poza jej kościstą postacią.

— Młody Jeff jest w stanie nawet zgadywać, co się stało dwadzieścia lat temu, a więc to jedna z wielu rzeczy, które chce wyjaśnić. Chce, żebyśmy mu powiedzieli! — roześmiała się w sposób, w jaki, jak przypuszczał Jeff, śmieją się hieny.

— Tak — potwierdził sztywno. — To jedna z tego rodzaju rzeczy. Jeff i Bill nie będą mówić. Może więc wy będziecie.

— Dlaczego miałabym to zrobić? — rzuciła wyzywająco.

— Może cię zmuszę.

— Jesteś miłym, młodym dżentelmenem, Jeff — przypomniała mu. — A tacy jak ty nie są specjalnie twardzi w kontaktach z damami. Musisz pamiętać, że ja jestem damą!

— Spróbujmy do czegoś dojść — powiedział, nawet nie czekając, aż ona skończy. — Oboje macie coś na Warbucka. Szantażujecie go od lat. No cóż, stary sekret zaczyna wymykać się spod kontroli. Mam pewne przeczucia, podobnie jak córka Warbucka i Jim Ogden. Jak myślicie, ile czasu minie, zanim diabeł wyskoczy z pudełka?

— Kto, do diabła, to wygadał? — warknął Sharpe i ponownie spojrzał na tą, która, jak przypuszczał, musiała się wygadać.

Amanda Grayle powiedziała mu z kwaśnym naciskiem:

— Ty i tak powiedziałeś już więcej, niż ja przez dwadzieścia lat. Młody Jeff nie jest nawet w połowie taki głupi, na jakiego wygląda. Lepiej więc trzymaj gębę na kłódkę, Henry.

— Lepiej, żebyście to z siebie zrzucili, cokolwiek by to nie było — powiedział młody Jeff. — Wciąż jest tu wielu ludzi, którzy pamiętają czasy dwadzieścia lat temu i chwilę narodzin Arlene Warbuck. A kiedy zacznę zadawać im pytania i mówić, co wiem, może uda im się poskładać wszystko w całość. Większość z nich nie kocha zbytnio Warbucka, jak wiecie; nie wszyscy też kochają panią, pani Grayle. I jeśli nie uda mi się odnaleźć choćby jednej takiej osoby, która będzie miała wiele do

powiedzenia na temat doktora Henry'ego Sharpe'a, to będę bardzo zaskoczony. Tak więc, może lepiej powiedzcie mi jedną lub dwie rzeczy teraz, zamiast czekać, aż wyciągnę je z was, później.

— Zabrzmiało to, jakbyś nam groził, Jeffie Cody! — warknęła stara kobieta.

— Warbuck jest nie tylko oszustem, nie tylko zabójcą, ale zwykłym ohydnym mordercą — odparł ostro Jeff — i ja o tym wiem. Miał swoją chwilę zabawy i zapłaci za to. A co do was - po prostu grajcie dalej w te swoje gierki tak, jak do tej pory, czepiając się jego boków, nawet jeśli wykrwawiacie go za swoje milczenie, to kiedy dojdzie do ostatecznej rozgrywki, zawiśniecie tak samo wysoko, jak Bart Warbuck!

Jego gniew nadawał swoisty autorytet temu, co mówił; był jak sędzia upoważniony do wydawania wyroków. Doc Sharpe wyprężył się jak struna skrzypiec, a Jeff mógł dostrzec, jak żylaste mięśnie na żółtawym gardle staruszki zaczynają się napinać.

Właśnie w tej chwili wszedł Bart Warbuck. Za plecami miał tuzin ludzi, a każdy z nich miał już odbezpieczoną broń. Najwyraźniej Warbuck grał dzisiaj bezpiecznie; grał tak bezpiecznie, jak tylko mógł, gdy jego celem było stworzenie szacownego i potężnego porządku, który nie uznawał żadnego prawa poza tym, jakie on sam narzucił.

— Nasłuchiwałem trochę na zewnątrz — oznajmił bez ogródek. — Rozmowy zaszły tu wystarczająco daleko. Sharpe, nie minęły nawet dwie godziny od twojego przybycia do Pionieer, kiedy doszły mnie na ten temat wieści; jesteś cholernie głupi, że w ogóle tu wróciłeś - ale cieszę się, że to zrobiłeś! Nie ruszaj się, bo odstrzelę ci ten brudny łeb.

Nikt z trójki z obecnych w starej chacie osób, nie poruszył się. Jeff widział, jak to się stało; Warbuck, poinformowany pośpiesznie o powrocie Sharpe'a, przybył tutaj aby go szukać, a po drodze napotkał tych ze swoich ludzi, którzy właśnie opuścili Pay Dirt jako bardzo niezdrowe miejsce; przyprowadził więc ze sobą tę wybraną grupę, czując ogromną desperację i koniecznie pragnąc osiągnąć jakieś rezultaty. Bez wątpienia wiedział lub przeczuwał, że Sharpe jest pijakiem i gadułą. Przyjechał więc po Doca Sharpe'a. Ale nie tylko po niego.

— Amando Grayle — wycedził Warbuck, patrząc na nią tak, jakby niczego tak bardzo nie pragnął, jak położyć swe wielkie, owłosione łapska na jej chudym gardle i zadusić ją na śmierć — w ogóle, za wiele rzeczy trzeba będzie zapłacić, a ty jesteś jego tego przyczyną. Zakładaj czapkę, pojedziesz ze mną na przejażdżkę.

— Ani mi się waż, Bartonie Warbuck! — krzyknęła na niego, już wyraźnie przestraszona. — Jeśli się odważysz…

Skinął na dwóch ludzi za swymi plecami, Johnny'ego Carse'a i Dwukrotnego Billingsa, a ci energicznym krokiem podeszli do staruszki. Ta odskoczyła od nich, próbując uciec przez drzwi i uwięzła w kącie. Gdy pierwszy z mężczyzn, Johnny Carse, dotknął jej, zaczęła go gryźć, drapać i pluć na niego, wykrzykując przekleństwa. Wtedy Billings, z szerokim uśmiechem, kpiącym z Johnny'ego Carse'a za jego niezdolność do poradzenia sobie z nią, podał jej rękę, ona zaś zamilkła, jej ramiona zostały pochwycone i przyciągnięte do jej boków przez obu z nich.

— Pojadę, Barton — powiedziała wtedy. — Pojadę, gdzie tylko zechcesz. Musisz tylko pamiętać o jednym: wszystko co wiem zostało spisane, każdy drobiazg jest wyjaśniony, i wszystko znajduje się w bezpiecznym miejscu, a jeśli coś mi się stanie...

— Zamknijcie jej gębę — warknął Warbuck. Zamilkła, nie czekając na uderzenie dłonią w usta.

— Niech paru z was przetrząśnie Sharpe'a — polecił Warbuck. — On jest jak skorpion z żądłem w ogonie. On też pojedzie z nami. Odwrócił się do Jeffa. — Dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy, ty też lepiej jedź z nami, młody — powiedział.

— Dokąd? — zapytał Jeff. — Po co?

— Sprawdźcie też młodego Cody'ego — rozkazał Warbuck. — Jeśli zbierze mu się na żarty, walnijcie go w głowę lufą rewolweru. Załatwcie to szybko i jedziemy. Jeden z was, chłopcy, niech przygotuje konia dla starszej pani.

Jeff patrzył, jak jego broń wyciągana jest z kabury i ląduje za pasem innego mężczyzny; niewiele mógł na to poradzić. Nie poruszył się i nie powiedział ani słowa. Zadał sobie jednak pytanie: „Jak Warbuck może myśleć, że coś takiego, w biały dzień, ujdzie mu na sucho? Czy ten człowiek oszalał?"

Nie, Bart Warbuck nie był szalony, choć jego oczy były wściekłe jak ślepia rozjuszonego byka. Jeff po raz pierwszy zrozumiał, czym może być nienawiść. Jak bardzo ten człowiek nienawidził Amandy Grayle i jak bardzo nienawidził Doca Sharpe'a!

Warbuck wydał rozkazy, i wszyscy przeszli przez niechlujną kuchnię, a następnie wyszli tylnymi drzwiami. Ludzie przyprowadzili konie i cała grupa wjechała szybko w najgęściej zarośniętą część zagłębienia, gdzie drzewa były najgrubsze, cienie najczarniejsze i gdzie nie było żadnych szlaków. Trzymali się z dala od uczęszczanych dróg i otwartej przestrzeni; z Warbuckiem na czele pojechali na północ, wzdłuż zalesionych zboczy wzgórz, przez cały czas trzymając się z dala od oczu ewentualnych podróżnych, w górze lub na dnie doliny. W ten sposób szansa, że zostaną zauważeni, była niemal znikoma.

Jeff zastanawiał się, dokąd zmierzają, ale nie zapytał o to po raz drugi. Wyczytał z ich twarzy, że zarówno Amanda Grayle, jak i Doc Sharpe również się nad tym zastanawiali i byli mocno wystraszeni. Być może zaczęło do nich docierać, że zbyt długo i przesadnie dręczyli Warbucka.

Gdy ujechali trzy lub cztery mile, Warbuck wyciągnął rękę, nakazując całej grupie zatrzymanie się, a następnie odwołał połowę swoich ludzi na bok. Porozmawiał z nimi krótko, a oni wsiedli na konie i pognali z powrotem w kierunku Halcyon. Warbuck wrócił, dał sygnał do dalszej drogi i poprowadził ich dalej na północ.

Po kolejnej godzinie takiej jazdy, Jeff miał już całkiem niezłe pojęcie, dokąd zmierzają: Warbuck kierował się w stronę dzikiego, całkowicie opuszczonego i rzadko odwiedzanego pasa jałowych ziem, leżącego między górnym biegiem Wandering River i Long Valley River. Był to kraj, który człowiek w większości pozostawił samemu sobie; było tam mało wody, niewiele pastwisk, nigdy nie było dróg ani dobrze wytyczonych

szlaków. Dawniej rok w rok przeczesywali go poszukiwacze, tacy jak Charlie Carter, ale w ostatnich latach nawet oni omijali go szerokim łukiem. Jak donosili, nie było tam nic poza piaskowcem, pyłem, zaroślami i grzechotnikami. Jeśli ktoś pragnął samotności, te pustkowia mu ją zapewniały.

W miarę jak posuwali się naprzód, stara kobieta stawała się coraz bardziej gadatliwa, zachowywała się niemal histerycznie. Nikt nie zwracał na nią uwagi, a już najmniej Warbuck. Sharpe też wyglądał na coraz bardziej przerażonego, raz czy dwa podniósł gniewnie głos; potem Warbuck spojrzał na niego, a jeden z młodych jeźdźców Warbucka uderzył Sharpe'a tak mocno w usta, że z rozbitych warg pociekła mu krew, po czym zapadła cisza. Jeff nie odezwał się ani słowem; jechał razem z resztą, tak jakby to była zwykła, codzienna wyprawa, a jego pokerowa twarz stała się równie nieczytelna jak twarz starego Jeffa. Pomyślał o papudze nie potrafiącej gadać i poczuł się jak stary dobry Nestor, który „niewiele mówił, ale dużo myślał". Jeff sądził, że dokładnie wie, dokąd jadą i dlaczego.

Jechali powoli i okrężnymi drogami, zawsze trzymając się nieuczęszczanych leśnych obejść, Warbuck przez cały czas jechał przodem jako zwiadowca, a kiedy zbliżali się do końca podróży, zapadł już zmierzch, zaś głęboki fioletowy mrok wypełnił bardziej strome kaniony tajemniczą ciemnością. Młody Jeff czerpał niewielką satysfakcję z jednego faktu: trafnie odgadł cel podróży Warbucka. W końcu dotarli do cichego, tajemniczego serca tych pustkowi, miejsca, które Jeff odwiedził tylko raz w życiu, miejsca wśród szczytów skał i głęboko wyżłobionych wąwozów, znanego jako Devil-Take-It. Pod czarnym klifem znajdowały się ruiny starego domu, którego bale przegniły, a większość dachu zniknęła. Zarówno Cichy Jeff, jak i stary Bill opowiadali mu o tym domu; niegdyś była to kryjówka gangu Tuplowa, rabusi dyliżansów, porywaczy bydła i ogólnie ludzi będących na bakier z prawem oraz lubiących sprawiać kłopoty. Koło frontowych drzwi płynął cienki strumień czystej, zimnej wody, wylewający się ze skalnego źródła.

— Czujcie się jak u siebie w domu — oznajmił Warbuck, gdy stanęli na zatęchłej, zniszczonej podłodze. — I tak jest tu mnóstwo miejsca. Przywiozą wam koce i będziecie mieli miło i przytulnie. Zostaniecie tu przez jakiś czas.

Jeff usiadł na chwiejnej ławce i z filozoficznym spokojem zaciągnął się papierosem. Stara kobieta i Sharpe spojrzeli na siebie w sposób sugerujący, że każde z nich obwinia to drugie o wszystko co się wydarzyło, ale nie odezwali się ani słowem. Na twarzy Barta Warbucka widać było coś, co sprawiło, że milczeli. Oboje wiedzieli, że ten człowiek zabiłby ich tak łatwo, jak pacnąłby dręczącą go jelenią muchę - gdyby tylko mógł być pewien, że robiąc to, nie ściąga na siebie zagrożenia własnego życia. Niech tylko znajdzie sposób na pozbycie się śmiertelnej groźny ze strony tej pary żmij, nie będzie zwlekał ani sekundy. Wzdrygnęli się, chociaż było tu tylko chłodno, a nie zimno; niewykluczone, że uda mu się znaleźć jakiś sposób.

Nagle stara kobieta, uznając, że dłuższa cisza jest niemożliwa do zniesienia, zaczęła krzyczeć na Warbucka. Jeśli się odważy, jeśli się odważy, jeśli się odważy...

— A czego jeszcze się nie odważyłem? — stwierdził Warbuck, zimny jak lód. — Powiedz, na co się nie odważyłem? Nie bądź głupia, Amando Grayle.

— Mówię ci — wrzasnęła na niego — jeśli spadnie mi włos z głowy, wszystko wyjdzie na jaw. Taka jest prawda, Bartonie Warbuck, i lepiej, żebyś o tym pamiętał!

— Wiem — przyznał. — Ale czy kiedykolwiek przyszło co do głowy, to: W chwili, kiedy to się wydarzy, ty będziesz martwą, starą gęsią. Mam cię teraz tam, gdzie chciałem; tam, gdzie powinienem cię umieścić już całe lata temu. Mam ciebie i Sharpe'a. Jeśli ja pójdę na dno, wy oboje pójdziecie na dno przede mną - i lepiej, żebyście o tym pamiętali!

Jeff pomyślał: „Ja jestem tylko blotką w tej grze. Rozumiem, dlaczego chce się z nimi rozprawić; ale co chowa w rękawie dla mnie? Sprowadził mnie tylko dlatego, że akurat byłem na miejscu, żebym nie rozpowiadał, że ich złapał - czy też może w jakimś innym celu?"

Amanda Grayle, uciszona na chwilę, wybuchła nowym potokiem słów, który dał mu odpowiedź.

— Są inni, którzy będą mówić, Bartonie Warbuck! Nie zapominaj, że Jimowi Ogdenowi urosły duże uszy, i do tego Arlene – no tak, i obecny tu młody Jeff — dodała.

— Żadne z nich w tej chwili nic nie powie — zauważył Warbuck. — Dopilnuję tego.

Tak więc Warbuck zatykał wszystkie przecieki, zatrzymując nie tylko panią Grayle i Sharpe'a, ale także Jeffa, i bez wątpienia zaaranżował, aby zajęto się również Jimem Ogdenem, w ten czy inny sposób - i dopiero co, dzisiaj po południu, próbował dostać w swoje ręce Arlene. Młody Jeff zesztywniał w tej chwili na ławce. Co z tymi ludźmi, których Warbuck odciągnął na bok i wysłał z jakąś sprawą, która prowadziła ich z powrotem do Halcyon?

— Warbuck — powiedział Jeff — doszedłeś do samego kresu i dobrze o tym wiesz. Wszystko zaczyna się sypać, o tym również wiesz. W tym kraju jesteś kompletnie skończony! Lepiej trzymaj oczy szeroko otwarte.

— Tak? — powiedział Warbuck. — No dalej, mały. Mów, co cię jeszcze gryzie?

— Nie obchodzi mnie, co zrobisz tej dwójce; są spore szanse, że sami się o to prosili i dostaną to, na co zasłużyli. Ale zostaw w spokoju Arlene.

— Tak? — powtórzył ponownie Warbuck. — Czytasz w moich myślach, co, mały? A co z Arlene?

— Możesz jeszcze uciec i dotrzeć do Kanady lub Meksyku. Jeśli zostaniesz tu jeszcze trochę i dalej będziesz robił takie rzeczy, to ludzie rozerwą cię na strzępy.

— Interesuje cię moje dobro, co? — Kiedy Jeff nie raczył odpowiedzieć, Warbuck wybuchnął: — Do diabła z wami wszystkimi, jestem tutaj i na pewno zostanę. Zaś za rok będę panował jak król nad całym tym krańcem stanu! Ja, miałbym uciekać? — Wybuchnął ciężkim śmiechem.

Potem wyszedł na zewnątrz. Zrobiło się ciemno, jeden z ludzi, których zostawił do pilnowania więźniów, rozpalił ogień w kominku, nie po to żeby się ogrzać, ale po to żeby mieć światło; ani Jeff, ani Amanda Grayle, ani Doc Sharpe nie mogli nawet kichnąć bez czujnego spojrzenia kilku par oczu. I tak mijał czas.

Młody Jeff w swoim kącie, po przemyśleniu i podsumowaniu sytuacji, ledwie co się ruszał i nie odzywał się ani słowem, gdy powoli mijały kolejne godziny. W tej chwili nie mógł nic zrobić; ludzie, których Warbuck tu zostawił, byli niestrudzeni w swej czujności, a wszyscy oni byli uzbrojeni i w każdej chwili gotowi do otwarcia ognia. Na razie lepiej, żeby nawet kapelusz nie upadł na podłogę. Lecz Jeff zachowywał nie mniejszą czujność niż oni. Pilnowanie więźniów, tak wytężone jak w ich przypadku, było dużym wysiłkiem; to tak, jakby człowiek przez cały czas stał z napiętymi wszystkimi mięśniami. W swoim czasie nawet najsilniejszy mięsień musi zostać rozluźniony, bo inaczej człowieka złapią skurcze. Jeff czekał więc ze stoickim spokojem, jak Indianin.

W końcu usłyszał stukot kopyt kilku koni na skalistym zboczu, a chwilę później do pomieszczenia weszła Arlene. Twarz miała rozpaloną, a oczy jej płonęły. Tuż za nią szedł Warbuck, a za nim kilku ludzi, których wysłał z powrotem do Halcyon.

Wzrok Arlene omiótł dziwnie oświetlone pomieszczenie i po krótkim zatrzymaniu się na staruszce i Sharpe, szybkim prześlizgnięciu się po innych ludziach, którzy najwyraźniej pilnowali więźniów, spotkał się ze spojrzeniem Jeffa.

— Cześć, Jeff — powiedziała.

— Witaj, Arlene — odpowiedział. I zapytał bez ogródek: — Jak to się stało, że tu jesteś? Co robili Jeff i Bill?

— Miriam mnie podeszła — powiedziała z goryczą. — Chrystine Ward i ja odwiedzałyśmy się; Chrystine wyszła, a potem weszła Miriam. Okłamała mnie. Poszłam z nią tam, gdzie mogłyśmy być same, gdzie miała mi coś powiedzieć, na obrzeża miasta. Wtedy ci ludzie mnie złapali, a Miriam się śmiała.

— Miriam wie, z czyjej ręki je chleb — powiedział Warbuck. — Kiedy reszta z was się tego nauczy?

Wtedy wszedł Jim Ogden, blady i wychudzony, ale z podniesioną głową oraz oczami jasnymi i twardymi jak zawsze.

— Mamy kworum — oznajmił Warbuck. — Możemy zająć się interesami.

Rozdział XIV

Warbuck przystąpił do wyjaśnienia sprawy. Młody Jeff, słuchając go, był zdumiony, że ten człowiek może być tak szczery, tak jawnie gardząc krytycznymi opiniami.

— Każdy z nas — powiedział Warbuck — a w każdym razie każdy, kto jest wart ziemi, po której chodzi, musi wykorzystywać nadarzające się szanse. Ja swoje wykorzystałem. Nie da się wygrać każdej puli, to oczywiste. Więc ja także przegrałem kilka razy i parę razy powinęła mi się noga. Do diabła z tym. Głównie robiłem to, co chciałem, dostawałem to, co chciałem i usuwałem z drogi tych, którzy mi na niej stali.

Przerwał, może po to, by jego mocne słowa zapadły głęboko w pamięć, może po to, by przyjrzeć się zastygłym twarzom zebranych wokół niego ludzi, może po to, by przygotować sobie kolejne słowa.

— Nie da się latać tak wysoko, daleko i wspaniale jak ja – mówił dalej Warbuck - bez nadepnięcia na odciski paru ludziom. A ludzie, jak może wiecie, lubią oddać i podłożyć ci nogę lub kopać cię po kostkach. W każdym razie mamy tu dwoje takich ludzi, na których możecie sobie dziś popatrzeć. To starsza pani Grayle i ten szczur z małą bródką, doktor Henry Sharpe. Dla was jest on obcy, ale ja go dobrze znam. Uczepił się mojej nogi, jak rzep psiego ogona, i myśli, że może uda mu się utrzymać. Co o tym myślicie, chłopcy?

W trakcie kilku krótkich chwil ciszy, która nastąpiła, Jeff przyjrzał się im wszystkim. Znał każdego z nich w taki czy inny sposób, niektórych tylko z imienia. Byli to Scad Murphy, Trigger Levine, Dave Humphries, Andy Coppler, Injun Długi Nóż, Pocopoco Malaga, Ben Williams, Hammy Perkins, Buck Nevers, Bing Barbee i Johnny Smith. Żaden z nich, z wyjątkiem Injuna Długiego Noża, nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat; Ben Williams miał około dziewiętnastu lub dwudziestu, Johnny Smith może siedemnaście lub osiemnaście. Ale każdy, kto przyjrzałby się im choć raz, tak jak w tej chwili Jeff, przyznałby, że to twardziele. Im młodsi, tym czasami twardsi. Byli piekielnie zdeterminowani i chcieli, żeby świat się o tym dowiedział.

Johnny Smith drapał swędzącą łopatką o kamienny komin. Długi Nóż pogwizdywał cicho przez zęby - ale Długi Nóż zawsze pogwizdywał przez zęby, niezależnie od tego, czy był smutny, czy szczęśliwy, spięty, czy zrelaksowany. Reszta Warbucków, choć jeden lub dwóch poruszyło nogami, była niewzruszona; panowała wśród nich swoista religia pokerowych twarzy.

— Jesteście dobrymi chłopcami — powiedział Warbuck. — Wiedziałem o tym, kiedy was zatrudniałem. Taki już jestem. No dobrze. Zobaczymy.

Mówiłem już wam, że mam na kostkach ślady od kopania. Potrzebuję kilku chłopaków, którzy zechcą związać swój los ze mną i gotowi są rozpętać piekło. Myślę, że wybrałem odpowiednich ludzi. Jeśli któryś z was ma gęsią skórkę, niech lepiej idzie sobie stąd. Kto chce odejść?

Johnny Smith nadal drapał się ramieniem o komin, a Długi Nóż pogwizdywał przez zęby, teraz już ciszej. Nikt inny nie poruszył się ani nie zmienił wyrazu twarzy.

— Tak myślałem — stwierdził Warbuck. — W końcu nie popełniam aż tak wielu błędów. Macie szczęście, dzieciaki, każdy z was, który utrzyma nerwy na wodzy. Powiem wam coś! Pojawiła się perspektywa uruchomienia kopalni złota, a wy, chłopcy, będziecie włączeni do tego interesu. Kopalnia będzie moja, będzie warta milion dolarów - może nawet dziesięć milionów - a wy dostaniecie w niej swoje udziały. Ja, naturalnie, chcę większość, ale powiedziałbym, że wszyscy tu siedzący synowie waszych matek zarobią od dziesięciu tysięcy dolarów do kwoty dwa-trzy razy większej. To coś, o czym warto pomyśleć, co? Nigdy nie mieliście nawet stu dolarów na raz. Niech wam nie zapiera tchu w piersiach, gdy pomyślicie, co moglibyście zrobić z dziesięcioma tysiącami lub więcej!

Zaparło im dech, nic nie mogli na to poradzić.

— Ale — oznajmił Warbuck, wciąż stawiając na szczerość - oto haczyk: Musicie przestać myśleć samodzielnie i robić to, co wam każę. Bez względu na wszystko. Jeśli powiem, że macie poderżnąć parę gardeł — i pozwolił, by jego nieubłagane spojrzenie omiotło drżącą staruszkę i przerażonego doktora Sharpe'a — to musicie poderżnąć parę gardeł. Kiedy płacę duże pieniądze, daję do wykonania duże zadania. Wbijcie to sobie do głowy i przetrawcie przez chwilę.

Aby dać im wystarczająco dużo czasu na trawienie, zwinął i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko i wydmuchał przez grube nozdrza dwie strużki dymu.

— Czy ktoś dostał choroby morskiej? — zapytał. — Ktoś chce wracać do domu?

Johnny Smith, zaledwie dzieciak, przestał drapać się ramieniem o komin; Injun Long Knife przestał gwizdać. Jeden czy dwa buty, pobrzękując cicho ostrogami, zaszurały po podłodze. To było wszystko.

— Tak myślałem — stwierdził Warbuck.

Był zupełnie pewny siebie i tego, dokąd zmierza. Zawsze taki był i to był powód, dla którego przebył tak długą drogę życia. Pragnął wysokiej pozycji i szedł prosto pod górę, aż do niej dotarł. Po raz pierwszy w życiu Jeff zaczął w tym człowieku, coś szanować. On sam jako człowiek, nie budził w nim szacunku w najmniejszym stopniu, lecz istniały pewne cechy, wyróżniające się jak Skały Gibraltaru, które sprawiały, że człowiek mógł być bardzo bliski uczucia podziwu.

— Mówię o kopalni złota Charliego Cartera — wyjaśnił Warbuck. — Tak, odnalazł ją po dwudziestu latach poszukiwań. Teraz nie żyje i nikt nie wie, gdzie jest złoto – nikt poza mną. To jest bonanza; napisze ona nowy rozdział w historii górnictwa; pojawi się nowe stado milionerów, zanim w końcu zostanie ona zamknięta. Powiedziałbym, lekko mówiąc, że nie

zostanie ona zamknięta przez pięćdziesiąt lat, taka jest bogata. I to jest to, w co chciałbym was włączyć.

Mówił teraz tak, jakby starej Grayle i Doca Sharpe'a nie było w pobliżu; jakby nie dostrzegał obecności Jeffa ani Arlene. Rozmawiał z pewną niewielką grupą ludzi, ignorując wszystkich innych. W tej chwili odpowiadało mu ignorowanie Jima Ogdena wraz z resztą.

— Nie powiem wam teraz wszystkiego, co wiem — kontynuował Warbuck — bo to nie w moim stylu. Mówię tylko to, co moim zdaniem może być przydatne. Powiedziałem już, że stojący tam Doc Sharpe i Amanda Grayle, mogą nam nabruździć. W ten czy inny sposób zamkniemy im usta. Dodam jeszcze, że Jim Ogden, moja córka i Młody Jeff Cody wiedzą więcej, niż powinni. Jak dotąd niczego nie zaczęli. I oni też nie mogą tego zrobić.

Przez cały ten czas nikt nie przerywał, żaden głos poza głosem Warbucka nie zakłócał odwiecznej ciszy, która unosiła się niczym czarny kruk nad starą twierdzą bandytów. Kiedy wspomniał nie tylko o Jeffie, ale także o własnej córce i Jimie Ogdenie, swojej prawej ręce i generalnym nadzorcy wszystkich tych ludzi, ich oczy rozbiegły się w tę i z powrotem, ale języki pozostały uwięzione w ustach.

Nadal nikt nie miał do powiedzenia nawet jednego słowa. Sharpe i stara kobieta zesztywniali ze strachu, Jim Ogden milczał ponuro, Arlene nie wiedziała nawet, co o tym wszystkim myśleć, Jeff zachowywał spokój, dopóki czegoś nie wymyśli, a najemnicy Warbucka, którym nie zadawano żadnych pytań, byli niemi jak ściany starego domu.

— Każda grupa ludzi — perorował Warbuck — jeśli chce do czegokolwiek dojść, musi mieć na czele kogoś kto wydaje rozkazy i pilnuje ich wykonania. Kiedy ja jestem z wami, jestem dowódcą. Kiedy mnie nie ma, musicie mieć kogoś, kto mnie zastąpi.

Jego spojrzenie wędrowało dokoła, gdy szukał ich wzrokiem. Znowu rozległo się szuranie butów, cichy brzęk ostróg; Warbuck zamierzał mianować porucznika, a każdy z nich zastanawiał się kogo wybierze. Dał im wystarczająco dużo czasu do namysłu, zanim zaczął mówić dalej.

Już wcześniej powiedział wyraźnie: „Nie powiem wam wszystkiego, co wiem”. Teraz zaś oznajmił:

— Gram dzisiaj w otwarte karty; kładę większość moich kart odkrytych. Równie dobrze mogę to rozwiązać w ten właśnie sposób. Jim Ogden jest moją najlepszą prawą ręką od około pięciu lat, a to dlatego, że jest człowiekiem, jakiego potrzebuję. W tej chwili nie ufam mu do końca, ale i tak jest dla mnie najważniejszy. Zrobicie wszystko, co powie Jim, chyba że — przerwał i zastanowił się nad tym. — Chyba że — kontynuował — zobaczycie, że wykonuje jakikolwiek ruch, wyglądający jakby chciał mnie oszukać, tak jak to zrobił z Sharpem i starszą panią Grayle, albo nawet z moją córką lub młodym Codym. Jeśli spróbuje czegoś takiego, macie go załatwić i na czele stanie Andy Coppler. Wszyscy wiecie, jaki dobry jest Andy. Zrozumiano, chłopcy?

Jeff, uważnie obserwując, dostrzegł, że Jim Ogden najpierw spojrzał na Arlene. To był tylko rzut oka, błyskawiczny, ale Jeff widział, co Ogden miał w głowie: Spojrzenie tego człowieka było pożądliwe, zaborcze, drapieżne.

Ogden pragnął Arlene i chciał ją zdobyć. Jeff zaczął się zastanawiać na nowo. Czy Jim Ogden ją kochał? Była jeszcze ta mała, podstępna blond nauczycielka, Chrystine Ward; Ogden na potańcówce dał do zrozumienia, że jest nią zainteresowany. Skąd to jego spojrzenie, jego wzrok wręcz rzucający się na Arlene?

Warbuck powiedział:

— Rozumiecie, chłopcy?

Każdy z nich mógł zabrać głos, jeśli czuł się na siłach. Ale oni milczeli; było tak, jakby nad tym miejscem ciążyło zaklęcie i żaden głos nie był w stanie przebić się przez ciszę, z wyjątkiem głosu Barta Warbucka.

Chuda twarz Jima Ogdena wykrzywiła się w krzywym uśmiechu; patrzył wtedy na Warbucka. Nic nie powiedział, ale jego grymas wiele mówił.

Niespodziewanie Warbuck przyjaźnie położył ciężką dłoń na ramieniu Jima Ogdena.

— Chyba się rozumiemy, prawda, Jim? — wycedził.

— Pewnie — odpowiedział Ogden. — Oczywiście, że tak. Ja się tym zajmę.

— Teraz muszę już jechać — powiedział Warbuck. — Mam pewne sprawy do załatwienia. Paru z was wyjdzie ze mną na dwór. Ty idziesz, Coppler. Ty też idź, Długi Nóż. I chyba lepiej, żeby Buck Nevers był z nami; chodź, Buck.

Cała czwórka wyszła, Warbuck, za nim Andy Coppler, Injun Długi Nóż i Buck Nevers. Drzwi zamknęły się za nimi. Jim Ogden zaśmiał się cicho. Miał dziś przy sobie dwa pistolety; nikt mu ich nie odebrał, a jego twarde dłonie spoczęły na ich błyszczących czarnych rękojeściach.

— Robi się późno — rzucił ostro. — Na zewnątrz są koce. Idźcie po nie, chłopcy. Ty idź, Pocopoco, a ty z nim, Barbee. — Obaj mężczyźni szybko ruszyli we wskazanym kierunku; wyglądało, że z chęcią wychodzą na dwór, być może po to, by omówić pewne sprawy, a może nawet w nadziei, że uda im się wyłapać jakieś słowa Warbucka skierowane do Copplera, Długiego Noża i Neversa. Jim Ogden dokończył wydawane rozkazy: — Będziemy potrzebować ognia przez całą noc. Wy dwaj, Ben i Johnny, przynieście drewna. Dużo.

Dwaj młodzieńcy wyszli równie ochoczo, jak Pocopoco Malaga i Bing Barbee. W pomieszczeniu oprócz Jima Ogdena pozostali tylko czterej więźniowie oraz Trigger Levine, Scad Murphy, Dave Humphries i Hammy Perkins. Młody Jeff, spoglądając sennym wzrokiem ze swojej ławki, policzył ich. Ogden i tych czterech. W sumie pięciu porywaczy i czwórka jeńców. Dwoje z nich to kobiety, jeden do niczego nieprzydatny, o nazwisku Sharpe - i żaden z nich nie był uzbrojony, podczas gdy wszyscy ludzie Ogdena nosili u pasa broń.

Jeff wyglądał dosyć spokojnie - ale tak samo wygląda wulkan, który jeszcze nie wybuchł, ale jest na skraju eksplozji. Płonął w nim powolny, głęboki gniew. Wyniosła poza Warbucka od dawna go złościła; teraz doprowadzała go wręcz do furii. Widok, człowieka traktującego innych ludzi – zarówno mężczyzn jak i kobiety - w sposób, w jaki robił to Warbuck, kroczący naprzód pośród ludzkiego bydła, z taką pewnością

siebie, był dla młodego Jeffa Cody'ego doświadczeniem, które irytowało go bardziej niż cokolwiek innego w jego życiu. Powtarzał sobie nieustannie: „Spokojnie, Jeff. Rzuć się teraz na złamanie karku, a dostaniesz to, co zarobili Bob Vetch, Charlie Carter i Bud King - kulkę. Ale miej oczy szeroko otwarte. Nadarzy się okazja. Oni są zbyt pewni siebie!".

Ludzie Warbucka mieli pewną słabą stronę: Czasami zdarza się, że w świadomości siły człowieka, tkwi jego słabość. Kilkunastu ludzi pilnowało czterech więźniów - w tym dwóch kobiet - i wszyscy strażnicy byli uzbrojeni, a żaden z więźniów nie. Jeff podsumował ten fakt: Przecież nawet szaleniec nie mógł mieć nadziei na ucieczkę, jak powiedzieliby Jim Ogden i reszta. A więc… Do cholery, on im jeszcze pokaże! Swędziały go ręce. Widział Arlene stojącą z bladą twarzą, tak strasznie nieszczęśliwą, mającą tak dosyć życia, a jednak w jakiś sposób tak wspaniale odważną i niezłomną, że jej widok sam mu napinał mięśnie i dodawał paliwa do tlącego się w nim ognia. W obecnej chwili miał ochotę rozerwać na strzępy tych ludzi, Jima Ogdena i tych, którzy posłusznie podskakiwali na jego rozkazy, bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Gdyby tylko dostał w swe ręce jakąś maczugę, dobrą, solidną pałę...

Stał tam chwiejny, stary, domowy stół, z którego można było wyłamać nogę. Przy dymiącym kominku leżało trochę drewna. Była też ławka, na której siedział. Zaczął ją obmacywać ostrożnymi, badawczymi palcami.

Pocopoco Malaga i Bing Barbee weszli z kocami; rzucili je na środek podłogi. Następnie pojawili się Ben Williams i Johnny Smith przynosząc naręcze opału, martwego drewna połamanego ze starych powalonych drzew. Ogień został podsycony; pomieszczenie stało się prawie tak jasne jak w dzień, chociaż w każdym kącie drżały i pełzały cienie.

Ogden kazał rozłożyć koce w rogach izby; sam wybrał dla Arlene najczystszy i najświeższy. Podziękowała mu niechętnie.

— Zamiast tu leżeć, wolałabym wstać i umrzeć na nogach — rzuciła do niego. Wzruszył ramionami i skinął na jednego z ludzi, by podał jej obwisłą ławkę, podobną do tej na której siedział Jeff. Usiadła na niej.

Starsza pani skuliła się pod kocem, mamrocząc coś do siebie. Sharpe wydawał się na tyle zadowolony, że wczołgał się pod swój, jak zmęczony i zziębnięty człowiek. Jim Ogden popatrzył na Jeffa.

Jeff powiedział:

— Moja ławka się nada — i przesunął po niej dłońmi, czując, że jest solidna, jak sezonowany dąb. Może będzie musiał skorzystać z tej ławki.

Ogden spojrzał przez pomieszczenie na Andy'ego Copplera.

— Gdzie jest Warbuck? — zapytał.

— Odjechał — odpowiedział Andy. — Pojechał do domu.

Ogden wiedział, Jeff wiedział i inni wiedzieli, że Andy może mówił prawdę, a może kłamał. Wiedzieli, że Warbuck bawi się zarówno w lisa, jak i w wilka; że wzbudził podziały wśród swoich ludzi, aby jego własne interesy, jak zawsze, były zabezpieczone. Ogden był szefem: Andy Coppler stał następny w kolejce. Nigdy nie darzyli się wielką miłością; teraz powietrze było gęste od ich nieufności. Każdy z nich tylko czekał na pretekst i bezpieczną okazję, by skończyć z tym drugim.

No cóż, Warbuck też o tym wiedział. Ale znów się zabezpieczył; reszta chłopców wypatrywała oczy w oczekiwaniu na pierwszy ruch któregokolwiek z nich. W ich uszach wciąż brzmiały słowa Barta Warbucka, słowa brzemienne złotem: „Dziesięć tysięcy dolarów, może dwa-trzy razy tyle”. Co mogliby zrobić mając taką kwotę w kieszeni? Czego nie mogliby zrobić?

Jim Ogden podszedł do miejsca, w którym siedziała Arlene, opierając się plecami o ścianę.

— Arlene — powiedział — przykro mi z tego powodu. Nie obwiniasz mnie chyba, co?

— Zostaw mnie w spokoju — odpowiedziała ze znużeniem. — I już nigdy więcej się do mnie nie odzywaj.

— Źle mnie zrozumiałaś — próbował dalej Ogden. Stał jeszcze przez chwilę lub dwie, sprawiając wrażenie niezdecydowanego; Jeff widział, jak rozgląda się dookoła, zanim się odezwał, i rozumiał, jak się czuje Jim Ogden, który uważał, że rozmowa z nią przy tylu słuchaczach jest dość trudna. Więc kiedy powiedział: „Źle mnie zrozumiałaś”, było to wypowiedziane szorstko, z twardymi mięśniami szczęk i zaciśniętymi zębami. Kiedy to mówił poruszały się tylko jego usta. I dodał krótko: — Muszę z tobą porozmawiać. Ty też musisz porozmawiać ze mną. A nie chcę, żeby te wszystkie sługusy o giętkich karkach nas słuchały. Wyjdziesz ze mną na chwilę na zewnątrz? Tuż za drzwi?

Oczy Jeffa Cody'ego już chwilę wcześniej oderwały się od Ogdena i Arlene, kierując się prosto na Andy'ego Copplera. Coppler miał swoje rozkazy - być może właśnie pojawiała się okazja, by strzelić Jimowi Ogdenowi w plecy i w ten sposób wejść w jego buty. To właśnie przed czymś takim ostrzegał Warbuck, przed zdradą ze strony Ogdena, choć przejawiała się ona w zbytnim zainteresowaniu córką Warbucka. Jeff siedział pełen napięcia, z dłońmi zaciśniętymi na ławce.

— Nie — odparła Arlene.

Przez chwilę myślała - podobnie jak Jeff i wszyscy inni - że Jim Ogden chwyci ją rękoma i wyciągnąć siłą. Z pewnością o tym myślał. Jednak Jim Ogden pilnował dziś każdego swojego kroku i szybko rozejrzał się, by zobaczyć, co robią chłopcy, a jego oczy zderzyły się z oczami Andy'ego Copplera.

Jim Ogden znów się roześmiał.

— Dobrze, Arlene, dobrze — oznajmił spokojnie. — Chciałem tylko spróbować coś… ale to teraz nieważne. … Andy! — Wyrzucił z siebie to słowo tak ostro, że zabrzmiało ono jak wystrzał z pistoletu.

— Tak? Jestem, Jim — powiedział Andy Coppler.

— Wyjdź i sprawdź, czy wszystko jest w porządku z końmi. Chłopcy przywiązywali je dziś w takim pośpiechu. Nie chcę, żeby któryś z nich się uwolnił.

Jeff mógłby się roześmiać na te słowa; prawdę mówiąc, jeden czy dwóch z ludzi, uśmiechnęło się lekko. Po raz pierwszy w życiu usłyszeli, jak ktoś sugeruje, że jeźdźcy tacy jak oni, mogli zapomnieć o poprawnym uwiązaniu koni. Można to było porównać do przypominania człowiekowi o jedzeniu, piciu, paleniu albo zakładaniu butów.

Andy Coppler nie był może człowiekiem szybko myślącym, nie odznaczał się jakąś nadzwyczajną inteligencją, ale nie był również głupcem. Jim Ogden po prostu chciał go odesłać. Dlaczego? Oczywiście po to, aby pozbyć się go z pomieszczenia. Lecz większość ludzi wie, że oczywiste wyjaśnienie nie zawsze jest tym prawdziwym. Ton głosu Jima Ogdena przypominał ton człowieka zwracającego się do psa. Dał Andy'emu Copplerowi zadanie do wykonania, tylko w tym celu, by przypomnieć Andy'emu, że jak na razie to on, Jim Ogden jest, zgodnie z rozkazami Barta Warbucka, najważniejszy. Te myśli musiały z wolna przemykać przez głowę Andy'ego. Jasne, że musi wyjść na dwór i musi udawać że dogląda koni – natomiast nikt poza nim samym nie musi wiedzieć, że przez cały czas będzie miał oko i ucho nadstawione na drzwi.

— Pewnie, Jim — powiedział Andy i wyszedł.

Jeff pomyślał: „Obaj są mądrzy. Grają o najwyższą możliwą stawkę. Każdy z nich byłby szczęśliwy, gdyby udało mu się usunąć drugiego z drogi. Potem pomyślał: „Mógłbym rzucić się na Andy'ego, gdy ten stanie w otwartych drzwiach - mógłbym zwalić go z nóg i polecieć razem z nim w ciemność… mógłbym pochwycić jego broń… Tak, i zarobić tuzin kul… albo i nie.”

W każdym bądź razie, Andy Coppler poszedł w swoją stronę, zatrzaskując za sobą drzwi. Młody Jeff odetchnął z ulgą. „Cieszę się, że nie ruszyłem bezmyślnie do akcji” — pomyślał. „Do tej pory byłbym już dziurawy jak rzeszoto.”

— Wy, chłopcy — powiedział Jim Ogden — możecie zająć się tym, na co macie ochotę. Warbuck chce, żebyśmy dziś wieczorem wszyscy pilnowali tych ludzi, więc będziemy to robić. Ale możecie przychodzić i odchodzić, kiedy chcecie, tylko tak, żeby zawsze było was trzech lub czterech pod ręką.

Kilku ludzi rozsiadło się wygodnie, opierając się plecami o ściany, nie przejmując się niczym. Ben Williams i Johnny Smith wyszli na zewnątrz:

— Chodźmy zapalić — rzucił Ben przed wyjściem.

Jim Ogden zwrócił się do Arlene:

— To dla mnie trudne; nie prosiłem się o tego rodzaju robotę. Nie miałbym nic przeciwko niej, ale nie podoba mi się, że muszę cię tu trzymać,

— To wypuść mnie, Jim! Wypuść mnie!

Oczywiście musiał pokręcić głową.

— Słyszałeś, co powiedział twój ojciec. Chyba ma prawo, jak mi się wydaje, ustanowić dla ciebie pewne ograniczenia. Gdybyś...

Pozwolił, by zawisło to w ciszy i aby jego oczy, przemawiające do jej oczu, dopowiedziały resztę. To było tak, jakby powiedział: „Gdybyś była moja, gdybyś mi się oddała, byłoby inaczej”.

Potem zapadła cisza przerywana jedynie odgłosami trzaskającego ognia. Nikt się nie odezwał ani nie poruszył, a potem Buck Nevers wyciągnął swoją torbę tytoniu Durham i zapalił papierosa. Jego czyn rozprzestrzenił się jak zaraza; prawie każdy człowiek w pomieszczeniu zaczął skręcać papierosa, gdy otworzyły się drzwi i pojawił się w nich wracający Andy Coppler.

— Konie są w porządku, Jim — oznajmił od progu. — To zabawne, ale wszystkie były dobrze uwiązane.

Młody Jeff poderwał się z ławki jak wystrzelony z armaty; rzucił się długim skokiem, a jego ramię uderzyło w kolana Copplera. Coppler przewrócił się do tyłu, znikając w ciemności, z której właśnie się wyłonił, a wraz z nim, trzymając się na wierzchu, znalazł się Młody Jeff Cody. Ręce Młodego Jeffa, kierowane mięśniami błyskawicznie uruchomianymi do działania, zacisnęły się na udach Andy'ego, gdzie wisiała jego broń.

Złapał za rewolwery, wyszarpnął je z luźnych kabur, a jego pierwszą czynnością było przyłożenie jednego z nich do głowy Andy'ego. Następnie odskoczył do tyłu w ciemność i oddał strzał przez otwarte drzwi. To miało dać im do myślenia. Na tej kuli wypisana była wiadomość, którą Jim Ogden powinien zrozumieć.

Może Arlene też by ją zrozumiała.

Rozdział XV

Szaleńcza akcja Jeffa Cody'ego była tak niespodziewana, że wywołała coś w rodzaju konsternacji. Było to coś na podobieństwo nagłego wybuchu. Nic dziwnego, że wszyscy byli zaskoczeni; sam Jeff był równie zaskoczony jak inni. Zrobił bowiem rzecz, o której myślał, że wybił ją sobie z głowy, a nawet właśnie dziękował swej szczęśliwej gwieździe, że postanowił tego nie robić. A wyskoczył z nią jak diabeł z pudełka.

Przynajmniej jak na tę chwilę, udało mu się. Andy Coppler wciąż leżał na ziemi jak martwy i nie trzeba było się nim przejmować. Byli jeszcze ci dwaj chłopcy, którzy ponoć wyszli na papierosa, a najprawdopodobniej na szeptaną konferencję, i Jeff nie wiedział dokładnie, gdzie oni są. No i byli jeszcze pozostali, w domu. W sumie, kiedy już ochłonął po pierwszej chwili głębokiego zachłyśnięcia się wolnością, było mnóstwo spraw do przemyślenia.

Jeden z ludzi w środku chciał zatrzasnąć drzwi. Jeff zobaczył go i oddał szybki strzał, aby go powstrzymać; zawołał ostro:

— Nie! Zostaw te drzwi otwarte!

Odpowiedział mu grad strzałów, ludzie Warbucka strzelali szaleńczo, nie widząc go, zajmując się głównie przeskakiwaniem na prawo lub lewo od otwartych drzwi. Oni, w pełnym blasku ognia, stanowili idealne cele, podczas gdy on był tylko głosem z ciemności na zewnątrz.

— Zgasić ten ogień! Zdusić kocem! — To Jim Ogden zaczął wydawać rozkazy. On sam nie zrobił ani kroku w stronę ognia, ponieważ gdyby to zrobił, musiałby przejść przez pomieszczenie i najprawdopodobniej narazić się na nagłą śmierć. Potem krzycząc, zakomenderował: — Benny! Johnny! Wy dwaj tam! Zalejcie ołowiem Jeffa Cody'ego. Możecie...

— Jeff! — krzyknęła Arlene. — Uciekaj! Ratuj się! Sprowadź pomoc! Oni zabiją...

Ktoś złapał koc i rzucił go w stronę kominka. Jeff zobaczył, jak leci przez pokój niczym ogromny nietoperz.

Wiedźma wydała z siebie niesamowity pisk.

— Jeff! Uratuj mnie, a powiem ci rzeczy, za które dałbyś milion dolarów... — Usłyszał, jak Jim Ogden szaleje z wściekłości i kolejna salwa pocisków zasyczała w nocy jak rój szerszeni. Następny koc został rzucony na ogień, tym razem bardziej celnie. Musiał wylądować tam, gdzie powinien; blask został nieco przyćmiony, lecz ogień ciągle nie został zgaszony.

Wciąż myślał o Benie Williamsie i Johnnym Smithcie. Mogli być wszędzie; mogli skradać się tuż za nim. Byli nerwowi, roztrzęsieni, palce

mieli na spustach. Odwrócił się. Nie widział nawet ich cienia, nie słyszał nawet szelestu.

Ciągle też przebiegało mu przez głowę: „Jest ich tak cholernie wielu; kilkunastu. Ben Williams i Johnny Smith gdzieś na dworze, dziesięciu w środku. A ja jestem tylko jeden. Lepiej uważać, co robię.”

W końcu pomyślał o koniach! Co by tu zrobili bez koni? Byłoby im cholernie trudno zrobić cokolwiek, dokądkolwiek się stąd wydostać.

Aby utwierdzić ich w przekonaniu, że nadal pilnuje swojej roboty, oddał jeszcze dwa strzały przez drzwi, nie widząc nikogo i nie mając nawet cienia nadziei, że kogokolwiek trafi.

Zrobiwszy to, ruszył szybko, lecz po cichu, w stronę miejsca, gdzie przywiązali konie. Nie uszedł nawet trzech kroków, kiedy zobaczył Bena Williamsa i Johnny'ego Smitha; usłyszał ich pierwszy, bo biegli, przedzierając się przez zarośla, tak, że stare suche gałęzie głośno trzeszczały im pod stopami. Wracali do chaty zaciekawieni, co oznaczają te wszystkie strzały.

Prawie na niego wpadli, zanim go zobaczyli. Zatrzymał ich:

— Ćśś! — i dodał ochrypłym szeptem: — Mam was obu na muszce; ruszcie choćby brwiami, a poślę was do piekła, gdzie wasze miejsce.

Obaj młodzi ludzie poczuli lufy rewolwerów głęboko wbijające się im w brzuchy i cztery ręce, bez żadnego zaproszenia do tego, wystrzeliły do góry. Jeff sprawnie wyrwał im broń z kabur i cisnął ją tak daleko w ciemność, jak tylko mógł.

— A teraz — rozkazał — idziemy w miejsce, gdzie są konie. I to szybko!

Ruszyli biegiem, Jeff tuż za nimi. Konie były rozsiodłane i uwiązane do dogodnych drzew. Wkrótce, zgodnie z rozkazami czujnie pilnującego wszystkiego Jeffa, wiążące je liny zostały im zdjęte szyi, a konie wypuszczone na wolność. Tylko jeden nie został wypuszczony, koń Jeffa. Nie marnował czasu na zakładanie siodła, ani nawet uzdy; w domu za jego plecami, zapanowała potężna wrzawa, która sprawiała, iż zdecydował, że lepiej będzie odjechać natychmiast.

Użył liny na której uwiązany był jego koń, przerzucił podwójny zaczep przez nos konia jako zaimprowizowaną uzdę hackamore i wspiął się na jego grzbiet. Następnie puścił pony galopem, pędząc konie Warbucka przed sobą po szlaku, wrzeszcząc na nie jak Komancz na wojennej ścieżce, poganiając je z prędkością, która zdawała się rosnąć, podobnie jak prędkość stopniowo rozpędzającej się lawiny. Usłyszał okrzyki konsternacji Bena Williamsa i Johnny'ego Smitha, którzy zaczęli biec z powrotem do zniszczonego domu; krzyknął za siebie głosem, który, jak był pewien, dotrze do wszystkich pozostających w chacie:

— Masz rację, Arlene! Sprowadzę całą armię! Te szczury nie mogą stąd uciec i nie ośmielą się tknąć cię palcem, bo każdy z nich zawiśnie jeszcze przed porankiem. — A jego głos musiał już rozmywać się z oddali, przytłumiony grzmotem pędzących kopyt, gdy zawołał: — Już niedługo!

I okazał się tu prawdziwym prorokiem: nie zabrało mu to tak aż dużo czasu, jak był pewien, że będzie musiało zabrać. Ponieważ kiedy kierował się pełnym galopem do Halcyon, zanim przejechał może z pięć mil - omal

nie spadł ze swego pozbawionego siodła konia, gdy zdał sobie sprawę z tego, kogo spotkał. Do tego czasu rozpędził już swoje małe stado koni, tak by nie zajmowało mu ono oczu ani głowy. Mocno je rozgonił i wystraszył, tak by ich ponowne złapanie oraz osiodłanie, wymagało trochę czasu. Popędził na południe, gdy usłyszał tętent kopyt zbliżających się na spotkanie z nim. Jego pierwszą myślą było: „To wraca Warbuck!" Ale to nie był Bart Warbuck.

W Halcyon wydarzyła się bowiem niesamowita rzecz, coś absolutnie bez precedensu.

W barze Pay Dirt panował spokój. Dolar za drinka to dużo pieniędzy. Ludzie wchodzili i wychodzili cienkim strumyczkiem. Stojący za barem Cichy Jeff i stary Czerwona Koszula Bill Morgan, mieli całkiem sporo czasu dla siebie.

Czerwona Koszula Bill przeczyścił gardło parę razy. Potem nalał sobie drinka w hojnych proporcjach i wypił go jednym haustem. Zrobił minę, przez chwilę niepewnie postał, skinął głową i wypił drugiego drinka w taki sam sposób jak pierwszego.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedział do Cichego Jeffa.

Cichy Jeff zaczął się zachowywać jak człowiek użądlony przez pszczołę. Sięgnął po butelkę, po czym opuścił rękę.

— To, czego nie można wyleczyć, trzeba nauczyć się znosić — stwierdził Cichy Jeff.

Bill Czerwona Koszula przetarł czoło wilgotną ścierką barową.

— Wolałbym żeby mnie zastrzelili za ssanie jaj — warknął.

Cichy Jeff wydał z siebie słaby jęk, jak człowiek odczuwający straszliwy ból.

— Mnie też boli — odparł Bill Czerwona Koszula. — Łatwiej byłoby mi poderżnąć sobie gardło, niż gadać z tobą.

Wtedy Cichy Jeff, z jedną kudłatą brwią uniesioną do góry, a drugą ściągniętą w dół, wyciągnął z kieszeni duży scyzoryk i otworzył go, wydobywając na światło dzienne sześciocalowe, ostre jak brzytwa ostrze i położył go na barze.

— Jak cholera, zrobię to — prychnął Bill Morgan. — Chociaż wolałbym poderżnąć twoje.

— Tylko tyle masz do powiedzenia? — oznajmił łagodnie Cichy Jeff. — Do diabła, to wiem już od dwudziestu lat.

Stary Bill Czerwona Koszula wydał z siebie jedno ze swoich dźwięcznych parsknięć. Po ciężkich zmaganiach udało mu się jednak zapanować nad sobą.

— Martwię się o Młodego Jeffa — oznajmił w końcu. — Lubię chłopaka. Martwię się też o Arlene Warbuck. Może ona jest tylko Warbuckiem, ale do cholery, lubię ją prawie tak samo jak Młodego Jeffa.

Stary Jeff wysłuchał go do końca, pociągnął za opadające końce wąsów i czekał, co będzie dalej. Zamiast powiedzieć: „Co cię martwi?", uniósł swe ciężkie brwi w górę, w dwóch znakach zapytania.

— Właśnie wyszedłem, żeby zobaczyć się z pewnym człowiekiem w sprawie psa — wyjaśnił stary Bill — kiedy Arlene zbiegła na dół. Powiedziała: „Zaraz wrócę, chcę porozmawiać z tobą i Cichym Jeffem. To

ważne.” Potem wybiegła na zewnątrz. I widziałem, kto z nią był; ta mała skorpionica, jej siostra Miriam. No cóż, to było trzy-cztery godziny temu, a ona jeszcze nie wróciła.

Jeff skinął głową. Potrafił dostrzec o co chodzi. Jednak najwyraźniej nie miało to dla niego większego znaczenia. Dziewczyny już takie były, że zmieniały zdanie tak szybko, jak kapryśne wiosenne wiatry zmieniały kierunek z jednego na drugi.

— Nie tak dawno temu mieliśmy tu trochę kłopotów, jak może pamiętasz — przypomniał mu stary Bill, sztywny jak lufa karabinu. — Tłum Warbucków wpadł do nas z zamiarem porwania Arlene i Młodego Jeffa. Kiedy Warbuck coś zaczyna, to z tego nie rezygnuje. To on.

Rozsądne, całkiem rozsądne. Cichy Jeff nie wyraził więc sprzeciwu. Po prostu czekał na dalszy ciąg.

— Był tu dziś doktor Sharpe — powiedział Bill Morgan. — Nawet ktoś taki stary i słaby jak ty, powinien pamiętać Doca Sharpe'a. Wyrzuciłem go.

Tak, Cichy Jeff doskonale pamiętał Doca Sharpe'a. Ale pomyślał: „Pamiętam też Billa Morgana, kiedy był młody; miał wtedy rozum. Pewnie z wiekiem rozmiękł mu mózg.”

— Sharpe ruszył w swoją stronę, nie wiem dokąd — mówił dalej Bill Czerwona Koszula. — Oczywiście, pewnie w jakiejś diabelskiej sprawie i oczywiście to diabelstwo sprowadziło go z powrotem do Pay Dirt, a ty i ja wiemy, jak kiedyś wplątał się zarówno w sprawy Warbucka, jak i starej Grayle. Wszystkie te rzeczy mogą nie pasować do siebie i nie mieć sensu, gdy spojrzy się na nie po raz pierwszy. Ale kiedy połączy się je wszystkie razem, mogą znaczyć bardzo wiele. Sam Młody Jeff też był tu dziś wieczorem - a gdzie jest teraz? Nic nie mówił o wyjeździe, nie słyszałem na ten temat ani słowa. Ale zauważyłem, że wyszedł na dwór zaraz po tym, jak ulotnił się Wścibski Sharpe. Możliwe, że ci piekielnicy Warbucka, których przegoniliśmy, nie odjechali daleko.

Po chwili zadumy, Cichy Jeff skinął głową. Niechętnie przyznawał, że Bill Czerwona Koszula może mieć rację w jakiejkolwiek sprawie, ale mimo to miał dobre powody do twierdzenia, że choć żaden pojedynczy element, o którym wspomniał, nie miał może większego znaczenia, to wszystkie razem sprawiały, iż człowiek robił się odrobinę niespokojny. On również widział przelotnie tę małą diablicę, Miriam Warbuck, która wyglądała, jakby była gotowa do wyrządzenia jakiejś konkretnej niegodziwości i cieszyła się na samą myśl o tym.

Nie zaszkodzi się trochę rozejrzeć. Sięgnął po karabin. Zawołał do jednego z nielicznych ludzi w pomieszczeniu:

— Podejdź tu, Dutch, i zajmij moje miejsce. Muszę na chwilę wyjść.

Bill Czerwona Koszula naśladował go w najdrobniejszych szczegółach. Zawołał jakiegoś jednego człowieka za bar, aby w razie napływu klientów wszyscy mogli zostać obsłużeni. Następnie z karabinem trzymanym pod pachą wyszedł z Cichym Jeffem.

Wyprowadzili swoje konie, osiodłali je i pojechali w górę doliny, w kierunku Dziury Wiedźmy, gdyż Czerwona Koszula Bill był pewien, że tam właśnie udał się Doc Sharpe oraz że Młody Jeff podążył za Sharpem. W tym czasie było już późne popołudnie, zachód słońca był niedaleki, a w

sercu Dziury zrobiło się prawie ciemno. Zastali dom opuszczony, nawet Stara Wiedźma zniknęła. Samo w sobie było to dziwne: nie pojawiła się w Halcyon, nie miała też w zwyczaju wyjeżdżać daleko - ale zabrała swojego starego białego konia i gdzieś pojechała. Ani śladu Sharpe’a, czy też Młodego Jeffa. Rozejrzeli się dookoła, jak to mają w zwyczaju ludzie z zewnątrz, w poszukiwaniu jakiegoś „śladu”. A śladów było pod dostatkiem. Były tam świeże ślady kilku koni; one wyraźnie mówiły im obu: „Ludzie Warbucka”.

Ponownie dosiedli koni, przeszukali ciemne miejsca w kotlinie i podążyli za śladami, które boczną drogą podążały w głąb zarośli laurowych i bukowych, omijając wszystkie miejsca, w których można by się spodziewać jakichś ludzi, zawsze pozostając osłonięte. Na bardziej otwartym zboczu za domem, gdzie rosły sosny i chaszcze, ślady mówiły to samo: Zaledwie godzin temu przejechało tędy około dziesięciu czy piętnastu jeźdźców, którzy nieźle się natrudzili, kręcąc się w tę i z powrotem po najgęstszym lesie; ślady nawet na chwilę nie zbaczały w prawo, ani w lewo na jakichś główny szlak czy drogę, lecz cały czas podążały na północ.

— Moje przeczucia były cholernie słuszne — mruknął gniewnie Bill Czerwona Koszula. — Wpadli tu, zabrali, co chcieli, wyszli tylnym wyjściem, żeby nikt ich nie widział. Warbuck na pewno ma Starą Wiedźmę i jeżeli o mnie chodzi, to może ją sobie zatrzymać. Stawiam dziesięć do jednego, że ma też Sharpe'a i że zamknie tę parę gęb, na dobre i na złe. Prawdopodobnie już to zrobił. A co z Młodym Jeffem? Był tutaj? I co z Arlene Warbuck? Była tu?

Kiedy Cichy Jeff tylko pociągnął za jeden koniec swojego wielkiego wąsa i nie odezwał się ani słowem, Czerwona Koszula Bill wybuchnął gniewnie.

— Czy ty, człowieku, nie możesz choć raz otworzyć gęby? To twój syn, nie mój. Nie dasz rady wykrztusić ani słowa? Przecież to cię nie udusi.

— To nie jest konieczne — odparł łagodnie Cichy Jeff. — Powiedziałeś już wszystko. Zwykle tak robisz.

No cóż, stary Jeff miał rację. Zawsze taki był i w tym fakcie tkwił jeden z bardzo wielu dobrych powodów, dla których on i Czerwona Koszula Bill w starych dobrych czasach dogadywali się na dobre i na złe, jak niewielu innych partnerów. Bill mówił wszystko co trzeba, a drugi z nich, którego zanim jeszcze osiągnął wiek Młodego Jeffa, nazwano Cichym Jeffem, robił niewiele więcej niż tylko potakiwał lub kręcił przecząco głową; przez większość czasu nie robił nawet ani jednego, ani drugiego. Kiedy ktoś go naciskał, mówił, tak jak teraz, „To nie jest konieczne”.

Kilka razy, w starych dobrych czasach, Czerwona Koszula Bill puszczał parę uszami i robił wszystko, co tylko mógł, żeby wywołać dziką awanturę. Wrzeszczał na cały głos: „Cholera, człowieku, wiele rzeczy w życiu nie jest koniecznych, takich jak czesanie włosów, picie dobrego piwa, drapanie się po podudziu, gdy kogoś zaswędzi, śmianie się z dobrego dowcipu czy jedzenie ciasta - cholera, Jeff, patrząc na to z twojej perspektywy, przychodzi mi do głowy bardzo niewiele rzeczy, które są naprawdę konieczne!”. I tutaj miał Cichego Jeffa. Diabeł tkwił w tym, że Cichy Jeff,

po przemyśleniu sprawy, po prostu kiwał głową, zgadzając się. A wtedy Bill Czerwona Koszula wybuchał śmiechem, który można było usłyszeć nawet z odległości mili.

Lecz wszystko to należało już do przeszłości, tak martwej i tak głęboko zagrzebanej w czasie, jak przez te wszystkie lata wydawał się być Halcyon; teraz jednak, gdy późne popołudnie pośpiesznie uciekało, a na niziny i zalesione miejsca wkradał się zmierzch, było trochę drogi do pokonania. Obaj jechali bez chwili przerwy, podążając za śladami, które wkrótce zaczęły przybierać dość wyraźny kierunek. Zanim zrobiło się za ciemno, by dostrzec odciski kopyt, zarówno Cichy Jeff, jak i Bill Morgan, podobnie jak wcześniej Młody Jeff, wyczuli dokąd najprawdopodobniej zmierzają ludzie Warbucka - na te bezludne, jałowe pustkowia, na które zapuszcza się tak niewielu ludzi.

— Byłoby to idealne miejsce do przetrzymywania więźniów, gdyby ktoś chciał ich uwięzić — stwierdził Bill Czerwona Koszula. — To również bardzo bezpieczne i poręczne miejsce do zabicia ich. — Zerknął w mroku, by sprawdzić, czy Cichy Jeff skinął głową, czy też nią pokręcił; nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Czerwona Koszula Bill dodał ze smutkiem: — Tylko że te złe ziemie mają kilkaset mil kwadratowych, a do jakiej konkretnie kryjówki udał się Warbuck - tego nie wiemy.

Mimo, że Jeff nie był o nic pytany, zabrał głos. Powiedział:

— Jest taki stary dom w Devil-Take-It.

Bill Czerwona Koszula klepnął go w udo z entuzjazmem, który sprawił, że zaskoczony koń Jeffa omalże spod niego nie wyskoczył. I tak przez nocne ciemności, nieustannie wypatrując z każdej strony najmniejszego skrawka światła, kierując się tak prosto jak tylko pozwalał na to dziki, skalisty teren, nasza dwójka zmierzała do starego domu w Devil-Take-It.

I tym sposobem właśnie, doszło do tego, że Młody Jeff, gdy ich spotkał, omal nie spadł z konia pod wpływem szoku: Cichy Jeff i Czerwona Koszula Bill Morgan jechali razem!

Rozdział XVI

Młody Jeff był tak szczęśliwy, że z początku spotkanie to wydawało mu się cudem.

Lecz bez względu na to, czy wyjaśnienia tego co się wydarzyło, należało szukać w cudzie, zbiegu okoliczności czy w zwykłym działaniu przyczyny i skutku, reakcja na to musiała była być taka sama: były pewne rzeczy do zrobienia i to szybko.

— Chłopcy — wrzasnął Młody Jeff, — nigdy jeszcze z niczego tak się nie cieszyłem! Dziś w nocy musimy rozpętać piekło, a wy, chłopcy, weźmiecie w tym udział. Posłuchajcie mnie!

Opowiedział im o wszystkim tak szybko, w tak niewielu słowach, że musieli zadać kilka dodatkowych pytań. Kiedy wszystko stało się jasne, Bill Czerwona Koszula oznajmił:

— Dalej, jedźmy po nich! Zrobimy to tak cholernie szybko, że nawet nie będą nas szukać. Tę dziewczynę, Arlene, wyciągniemy z tego bagna w mgnieniu oka. Potem tylko dajcie mi szansę, żebym dopadł tego skunksa Sharpe'a.

Stary Cichy Jeff nie miał nic do powiedzenia, lecz jego koń znajdował się już o swoją długość przed koniem Billa Czerwonej Koszuli. Młody Jeff, kopiąc swego pony obcasami butów, ostrzegł:

— Jest nas tylko trzech, a ich tuzin. Uważajcie na siebie, wy stare pierniki.

— Już się boję — prychnął Bill Czerwona Koszula.

Tak więc cała trójka popędziła przez noc do starego domu w Devil-Take-It. Młodemu Jeffowi, jadącemu bez siodła, ciężko było dotrzymać kroku tym dwóm starym wyjadaczom. W końcu jednak dotarli, pierś w pierś, całą trójką, na otwartą polanę do miejsca, z którego w ciemności widać było ciepłą, różową poświatę; ogień w starym domu jeszcze do końca nie wygasł, a przez otwarte drzwi sączył się jego słaby, czerwonawy blask.

— Czy wy dwaj wbiliście sobie do waszych starych wojowniczych łbów, że dzisiaj będą do nas strzelać tak, by zabić? — dopytywał się Młody Jeff.

— A po jaką inną cholerę człowiek miałby strzelać? — Bill Czerwona Koszula odpowiedział mu zupełnie logicznie.

Ruszyli więc dalej, choć teraz już wolniej, nadstawiając uszu w poszukiwaniu jakichkolwiek odgłosów, obserwując wszystko z przodu, po obu stronach, a nawet za sobą.

— Zapomniałem wam powiedzieć o jednej rzeczy — rzucił Młody Jeff, kiedy zatrzymali się sto metrów od domu. — Warbuck mówił, że wie, gdzie jest kopalnia Charliego Cartera. Zaoferował każdemu z nich udział w niej,

przysięgając, że nikt nie dostanie mniej niż dziesięć tysięcy dolarów. Musi stać naprawdę pod ścianą.

Zauważył dziwny sposób, w jaki obaj starsi mężczyźni poruszyli głowami; Cichy Jeff i Czerwona Koszula Bill stali naprzeciw siebie, każdy starając się w ciemności dostrzec, jak przekazana informacja wpłynęła na tego drugiego.

— Zanim z tym skończymy — oznajmił Bill Morgan — wygarbuję skórę Barta Warbucka i powieszę ją na drzwiach mojej starej stodoły, żeby schła.

Za ogólną zgodą zatrzymali się około pięćdziesięciu kroków od starego domu, w miejscu gdzie osłonę zapewniał gęsty zagajnik młodych drzew.

— Coś tu dokoła cholernie cicho — zauważył Bill Czerwona Koszula. Powąchał powietrze jak stary wilk. — Albo czyhają gdzieś tu w zasadzce, gotowi nas załatwić, albo się stąd ulotnili. W każdym bądź razie, najprawdopodobniej w zaroślach ukrył się jeden lub dwóch ludzi, gotowych żeby otworzyć do nas ogień.

— Ty i Jeff zostańcie tutaj — powiedział Młody Jeff. — Ja pójdę to sprawdzić.

Schylił się i ruszył w kierunku domu, lecz cały czas trzymał się najgłębszej z ciemnych stref rozciągających się pod dużymi drzewami. Pomyślał: „Wszyscy już stąd zniknęli. Minęło sporo czasu, odkąd od nich uciekłem, ponad godzina. Na tak długo by tu nie utknęli. Zmarnowali chwilę czasu, żeby trochę pogadać, a potem się stąd zmyli. Nikogo tu już nie ma”.

Mimo wszystko nieustannie prześladowało go niesamowite uczucie, które już wcześniej dopadło starego Billa Czerwoną Koszulę, gdy powiedział: „Coś tu cholernie cicho”. Nonsens, rzecz jasna, ale dokładnie tak samo było również i teraz, przechodziły go dziwne ciarki w górę i w dół kręgosłupa, być może była to intuicja, wrażenie, że ta ogromna cisza nie była jedynie naturalną ciszą gór, ale czymś więcej, czymś stworzonym przez człowieka. W końcu dokąd mogli się udać ludzie Warbucka? Nie mieli koni i z pewnością nie spodziewali się tak szybkiego powrotu Młodego Jeffa z posiłkami. Mogli po prostu zaczekać na taką szansę, jak ta, szansę by położyć kres życiu Jeffa Cody'ego i jego przyjaciół, których sprowadził ze sobą. Byłaby to sprytna zagrywka, która pozwoliłaby im zyskać kilku jeńców, a jednocześnie pomóc sobie w tym, czego najbardziej potrzebowali – w zdobyciu koni.

Stał więc bez ruchu przez dłuższy czas, jego oczy wpatrywały się w ciemność, zaś uszy nasłuchiwały najsłabszych dźwięków.

Próbował sobie wyobrazić, co zrobiłby Ogden; co zrobiłby on sam, gdyby był na miejscu Jima Ogdena. Po pierwsze, miał podopiecznych Warbucka, których kazano mu pilnować, doktora Sharpe'a, starą kobietę i Arlene. Każde z nich, gdyby usłyszało stukot końskich kopyt na skalistym podłożu, zawołałoby ostrzegawczo i w nadziei na pomoc. Jim Ogden na pewno na to wpadł. Kazał więc pewnie zakneblować jeńców lub, co było prostsze, jeśli nie miał nic przeciwko zmniejszeniu własnej siły bojowej, wyekspediować ich gdzieś na niewielką, lecz bezpieczną odległość. Trójce jeńców można było związać ręce z tyłu; można było ich odprowadzić i

poświęcić na ich pilnowania dwóch lub trzech, a może nawet tylko jednego z ludzi Ogdena.

— Tak to mniej więcej musiało być. — Młody Jeff był tego jakoś całkiem pewien. — Lepiej wrócę do Jeffa i Billa, zanim...

Wtedy wydało mu się, że wokół niego eksplodowało całe piekło. Rozległ się krzyk tak czysty jak sygnał trąbki i tak morderczy jak wycie wilka, był to głos Jima Ogdena, a wraz z nim wybuchła kanonada ognia z broni palnej. Młody Jeff zobaczył rozbłyski wystrzałów i opróżnił w ich stronę rewolwer tak szybko, jak tylko był w stanie naciskać spust. Następnie pobiegł z powrotem do miejsca, w którym zostawił Cichego Jeffa i starego Billa, krzycząc do nich, by zsiadali z koni i chowali się za jakąś osłoną – ponieważ gdy dostrzegł ich w blasku wystrzałów, zobaczył, że obaj wciąż siedzą w siodłach. Trzymali karabiny na wysokości ramion i strzelali do celów, które mogli dostrzec lub wyobrazić sobie że je widzą.

— Wy dwaj! — rzucił się na nich, gdy, unikając pocisków, w końcu do nich dotarł. — Czy wy nie macie rozumu we łbach! Złazić z koni!

— Do diabła — stwierdził Bill Czerwona Koszula. I dodał: — Prawdę mówiąc, powinniśmy dopaść dwa razy więcej ich, niż oni dopadli nas, przy takiej niekorzystnej sytuacji w jakiej są. W końcu mamy tylu ludzi, do których możemy strzelać. — Oddał trzy szybkie strzały, po czym zauważył: — Jeśli uważasz że to konieczne, mały, możesz ściągnąć swojego starego z siodła. Pewnie sparaliżował go strach i nie może sam zsiąść.

Młody Jeff widział, że była to kwestia dumy, choć nie znał całej historii. Pewnie przy pierwszym wystrzale Czerwona Koszula Bill Morgan zaczął złazić z siodła, a stary Cichy Jeff zachichotał. Nie powiedział ani słowa, tylko zachichotał. To załatwiło sprawę.

Ale załatwiło to sprawę, jedynie w kwestii ich oślego uporu. Młody Jeff poderwał się, złapał Billa Czerwoną Koszulę za barczysty tułów i ściągnął go z konia. Podczas gdy Bill Morgan bez przerwy ciskał przekleństwami, które brzmiały w jakiś sposób nie do końca prawdziwie, Młody Jeff rzucił się na starego Cichego Jeffa i zwalił go na ziemię obok Billa Morgana.

— Niech was wszyscy diabli — zaklął Młody Jeff. — Wy dwaj…

Ale zarówno Cichy Jeff, jak i Bill Czerwona Koszula, leżący teraz płasko na brzuchach, zajęci byli strzelaniem do przerywanych błysków, które na krótko wprawiały ciemność w stan drżenia, nie był to więc czas na słowa; nawet na przekleństwa.

Zamilkł wobec tego, dotrzymał im przez chwilę towarzystwa, po czym cofnął się i rzucił do szybkiego, cichego biegu: Należało zajść Warbucków od tyłu, podejść blisko, na tyle blisko, by widzieć, do czego się strzela… i postarać się, by te kilka pocisków, które mu pozostały, zachować na później. Nie było sensu marnować dzisiejszej nocy amunicji.

Zanim przebiegł pięćdziesiąt kroków, nagły głos zaczął się szorstko dopytywać, półszeptem:

— Hej! Kto to?

Jeff odpowiedział mu w najcichszy, najbardziej efektywny i oszczędny sposób: Wyszukał wzrokiem człowieka, na którego prawie wpadł,

zamachnął się pistoletem i walnął go nim w głowę. Następnie pobiegł dalej.

Przez cały ten czas ludzie Ogdena strzelali, a zarówno Cichy Jeff, jak i Czerwona Koszula Bill, chłodno rozdzielając strzały, odpowiadali im ogniem. Jeff pomyślał ponuro: „Jest szansa, że dostanę kulkę wystrzeloną przez któregoś z tych dwu starych wariatów”, ale trzeba było podjąć to ryzyko, a na tych złych ziemiach było dużo miejsca dla kul, by mogły sobie polecieć, nie trafiając w jego szczupłą sylwetkę.

Zlokalizowanie ludzi Warbucka było teraz najprostszą rzeczą w świecie. Ciemna noc sprawiała, że zaczął ich widzieć, dostrzegł ich niewyraźne sylwetki skryte w gęstej ciemności w sosnowym zagajniku. Zbliżył się do nich od tyłu, tak jak zaplanował; byli za bardzo zajęci walką z Cichym Jeffem i Billem Czerwoną Koszulą, by pomyśleć o kimś podchodzącym ukradkiem, by zajść ich od tyłu. Usłyszał, jak Jim Ogden krzyczy:

— Było ich tylko trzech, chłopcy. Załatwiliśmy jednego, bo teraz strzela do nas już tylko dwóch. Rozwalimy ich w trymiga.

Pocisk świsnął koło ucha młodego Jeffa, tak blisko jego głowy, że poczuł, jak falują mu włosy; został on, oczywiście, wystrzelony przez Cichego Jeffa albo Billa Morgana. Żałował, że te dwa stare pierniki nie wstrzymały ognia na minutę lub dwie!

Przynajmniej głos Jima Ogdena powiedział mu, gdzie dokładnie Ogden się znajduje. Młody Jeff, stąpając jak kot po aksamicie, podkradał się coraz bliżej. Nie wydając nawet szmeru, starając się nie uchylać przed kulami świszczącymi wokół niego tak blisko, że wydawało mu się, iż żłobiły mu przedziałki we włosach, zbliżył się do Ogdena. Wcisnął lufę rewolweru między łopatki swojego przeciwnika. Oznajmił szeptem, zbliżając usta do ucha Ogdena:

— Mam cię, Jim! I zabiję cię jak zdechłego skunksa, jeśli nie zrobisz tego, co ci każę. Stój spokojnie i przemyśl to. Za dwie minuty będziesz żywy lub martwy, zależnie od tego, co zdecydujesz teraz.

Ogden stał bez ruchu i sztywno wyprostowany, jak wielkie sosny wokół niego. Potem odwrócił głowę i powiedział, szepcząc nie głośniej niż Młody Jeff.

— To ty, Jeff?

— Tak, to ja, Jim. A teraz, zamknij się. Cofnij się ze mną o jakieś dwadzieścia stóp.

Jim Ogden przemyślał już sobie sytuację; Młody Jeff wyczuł wzdłuż lufy rewolweru napinające się mięśnie mężczyzny.

— Jasne — odparł Ogden. — Cokolwiek powiesz.

Zaczął się cofać, a Jeff szedł krok w krok z nim, tępy, brzydki nos czterdziestki piątki przez cały czas przylegał do ciała Ogdena.

— Stój, Jim — polecił w końcu Jeff. — Jesteśmy już wystarczająco daleko. Powiedz mi najpierw, gdzie jest Arlene?

— Nie ma jej tu — odparł Ogden.

— A gdzie jest? Dlaczego jej nie ma? Kto z nią poszedł?

Ogden zastanawiał się jeszcze przez chwilę. Potem wzruszył ramionami - młody Jeff poczuł to wzruszenie ramion przez lufę czterdziestki piątki - i

powiedział szorstko: — Warbuck. Wrócił. Zabrał ją stąd, ją, Sharpe'a i starą kobietę.

— Jak dawno temu? I kto jeszcze z nim pojechał?

— Może z pół godziny temu. Pocopoco Malaga i Buck Nevers.

— A gdzie jest Andy Coppler?

— Chyba nie żyje! — Tym razem w cichym burknięciu Jima Ogdena pojawiła się nutka satysfakcji. — Stał koło mnie, a po odgłosach, jakie wydawał, wnioskuję, że któryś z was musiał mu strzelić prosto w gardło. I tak był nędznym szczurem.

— Posłuchaj mnie, Jim. Posłuchaj uważnie.

— Jasne — odparł Ogden. — Słucham.

— Dzisiejszej nocy może wyjdziesz z tego z życiem - może. Wykonaj tylko jakiś zły ruch, a będę szczęśliwy mając pretekst, żeby cię zabić. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Za to, co zrobiłeś Bobowi Vetchowi, Budowi Kingowi, i tak ogółem za wszystko. Zrozumiano?

— Co ci przyszło do głowy? — dopytywał się Ogden.

Przez cały ten czas toczyła się spazmatyczna strzelanina i od czasu do czasu Jeff słyszał, jak jakaś kula przelatuje obok niego zbyt blisko, by można było wygodnie rozmawiać, zaś raz nawet usłyszał zduszony jęk bólu znajdującego się niedaleko któregoś z ludzi Ogdena. Mówił więc pośpiesznie:

— Daj mi swoją broń, Jim, i nie pozwól, by ręka ci się przy tym omsknęła! Daj mi oba rewolwery. Dobrze. A teraz przywołaj swoich ludzi, jednego po drugim. Niech Trigger Levine cofnie się na chwilę. Za nim Scad Murphy, potem Długi Nóż. Po kolei. Zrozumiano?

— Niech cię szlag, Jeff!

— Jasne, jasne, ale pośpiesz się. Mój palec na spuście jest bardzo spocony i może mi się omsknąć. Być może Warbuck był tu pół godziny temu, tak jak powiedziałeś, a może przed pięcioma minutami. W każdym razie nie poruszają się zbyt szybko, wszyscy oprócz niego idą na piechotę; są więc wystarczająco blisko, by usłyszeć strzały. Więc musimy się śpieszyć. Zawołaj teraz Triggera Levine'a.

Jim Ogden zawołał:

— Trigger! Do ciebie mówię, Levine! Chodź tu, i to z życiem.

Levine przybiegł, pytając:

— Co jest?

Kiedy zobaczył dwóch ludzi stojących koło siebie, nic to dla niego nie znaczyło; jednym z nich był oczywiście Jim Ogden, a na drugiego nie zwrócił uwagi - dopóki nie poczuł rewolweru wbitego w brzuch. Wtedy było już za późno, by cokolwiek z tym zrobić, z wyjątkiem robienia tego, co mu kazano. Młody Jeff pośpiesznie odebrał mu broń.

— Kładź się na ziemi, Levine — rozkazał mu surowo. — Udawaj zdechłego psa i rób to najlepiej, jak potrafisz. Jeśli spróbujesz wstać, jeśli się poruszysz, przestrzelę cię na wylot. I to szybko!

— Cholera, nie będę... — zaczął Trigger Levine. Jeff wbił lufę swojego rewolweru głęboko w chudy brzuch mężczyzny i Levine ustąpił, nie podważając wysokiej karty swojego przeciwnika. Położył się zgodnie z poleceniem, wyciągnął płasko i trzymał gębę na kłódkę.

— Zawołaj Długiego Noża — polecił Jeff.

— Pewnego dnia — mruknął Jim Ogden, — pewnego dnia i to wkrótce...

— Powiedziałem ci, żebyś zawołał Injuna Długiego Noża!

— Jasne — burknął Ogden i zawołał.

Długi Nóż przybył tak samo, jak Trigger Levine, niczego się nie spodziewając, i równie szybko został rozbrojony. Na rozkaz, by położył się obok Levine'a, wykonał polecenie bez słowa czy mruknięcia.

— Zawołaj Scada Murphy'ego — polecił Jeff.

Jim Ogden wezwał Murphy'ego, a ten przybył na miejsce, podobnie jak poprzednicy i przeszedł przez podobną procedurę. Jeff popatrzył na trzech mężczyzn leżących obok siebie jak sardynki i powiedział do Ogdena: - To nie może trwać całą noc. Wkrótce któryś z tej waszej tępogłowej bandy zacznie się jednak zastanawiać, a wtedy będę tu jak na patelni.

Trudno było chłodno myśleć; Cichy Jeff i Czerwona Koszula Bill wciąż zasypywali noc gradem kul z karabinów - i Jeff pragnął, żeby choć na chwilę się wstrzymali! Nie było sensu uchylać się przed kulami, ale człowiek nie mógł na ten odruch nic poradzić.

— Spróbujmy jeszcze raz — stwierdził Jeff. — Zawołaj Dave'a Humphriesa.

— Hej, Dave! — zawołał Jim Ogden. — Podejdź tu do mnie!

— Co chcesz, Jim? — chciał się dowiedzieć Dave Humphries, podchodząc. Złamał swój rewolwer i wkładał świeże naboje do komory nabojowej. — Co wy tam w ogóle robicie? Strach was obleciał?

Wtedy jego but zahaczył o jednego z leżących na ziemi ludzi, albo czyjaś ręka szarpnęła go ostrzegawczo za nogę - było zbyt ciemno, by to dostrzec - i Dave Humphries cofnął się, unosząc broń.

— Stój, Dave! — warknął Młody Jeff.

Humphries widział wysoką postać Jima Ogdena, mógł też dostrzec wyższą postać Jeffa Cody'ego czającego się u jego boku; znał też głos Jeffa.

— Sam sobie stój, do diabła! — zawołał i wystrzelił. Młody Jeff wystrzelił w tym samym momencie. Dave Humphries zdawał się skręcić w ciemności i rozpłynąć się w ziemi. Jeff cofnął się o kilka kroków, opierając plecy o wielką sosnę.

— Jim — oznajmił surowo i krótko — mógłbym zabić was wszystkich, szczury, i dobrze o tym wiesz. Ale może mam dziś miękkie serce.

— Mam dosyć jak na jedną noc — odparł Ogden. — Nazwijmy to remisem, jeśli pozwolisz.

Jeff szybko ocenił sytuację: Zaopiekował się Ogdenem, Levinem, Murphym, Długim Nożem, Humphriesem i jeszcze jednym człowiekiem, którego powalił w drodze tutaj. Andy Copplera, jeśli Jim Ogden mówił prawdę, można było już nie liczyć. Jakiś czas temu rozległ się też jęk agonii, po którym zapadła cisza. Kolejny człowiek został załatwiony przez Cichego Jeffa i Billa Morgana. Dwóch ludzi zabrał ze sobą Warbuck. W sumie dziewięciu z dwunastu ludzi Warbucka, wypadło z gry. Pozostało jeszcze trzech, którzy wciąż walczyli z Cichym Jeffem i Billem Czerwoną Koszulą. Szanse się wyrównały.

— Niech będzie — zgodził się Jeff. — Przerwijmy tę strzelaninę. Krzyknij do swoich ludzi, żeby się wycofali; powiedz im, żeby skierowali się na górskie hale, schodzące do Tinker's Meadows. Powiedz im, że tam są konie i żeby przyprowadzili je tu jak najszybciej. Powiedz im cokolwiek, byle tylko sobie stąd poszli. Z życiem, Jim, i bez żadnych numerów z twojej strony.

— Pewnie — obiecał Jim Ogden. — Ty jesteś tu dzisiaj szefem. Następnym razem może będzie inaczej.

— Następnym razem — zauważył Jeff, — mogę nie mieć takiego miękkiego serca. A teraz zacznijmy działać. Żwawo, Jim.

Jim Ogden, zachowując zimną krew i przyznając, że to ten drugi trzyma wszystkie atuty w ręku, wykonał polecenie. Na wydany przez niego ostry rozkaz, jego ludzie przestali strzelać i wycofali się w jego stronę; powstrzymał ich drugim rozkazem, tak jak podyktował mu to Jeff: Mieli ruszyć szlakiem do Tinker's Meadows w poszukiwaniu koni, które nie istniały. Kiedy jeden z nich zaczął zadawać pytania, Jim Ogden, z przyłożoną do pleców, zimną jak sopel lodu bronią Jeffa, kazał mu się zamknąć.

— Ruszać się — polecił. — Przyprowadźcie te konie.

Odeszli pośpiesznie, bez wątpienia zdziwieni, ale szybko zniknęli wśród sosen. Kiedy po ostatnim szurnięciu ich butów, odliczył do pięćdziesięciu, Jeff zawołał do Cichego Jeffa i Billa Czerwonej Koszuli.

— Hej, chłopcy! Już po wszystkim. Chodźcie tutaj i przyprowadźcie nasze konie. Koniec ze strzelaniem, parę razy prawie mnie trafiliście.

W odpowiedzi Bill Czerwona Koszula zaryczał jak byk:

— Co u licha? — dopytywał się. — Co się stało, Jeff? To ty, prawda, Jeff?

— Chodźcie, to wam wszystko powiem — odpowiedział Młody Jeff. — Tylko nie czekajcie do wschodu słońca.

Podeszli, prowadząc trzy konie i trzymając strzelby w pogotowiu na wypadek, gdyby noc miała ich jeszcze zaskoczyć. Potem wszystko zostało wyjaśnione, a Bill Czerwona Koszula wydał z siebie głośne „Haw, haw!". Cichy Jeff robił się coraz bardziej gadatliwy.

— Mam pomysł! — powiedział.

To wystarczyło, by każdy z nich nadstawił uszu. A Jeff, rozkręcając się, wygłosił im całkiem niezłą przemowę.

— Mamy tu mnóstwo ptaszków z Long Valley, dokładnie tam, gdzie chcemy — oznajmił Cichy Jeff. — A wkrótce, jeśli szczęście dopisze, do kolekcji dołączymy także Warbucka. Co z nimi teraz robić? Mówię wam chłopcy, mam pomysł. — Następnie zapytał: — Kim są ci pozorni nieboszczycy, których masz ułożonych w stosik jak drewno na podpałkę, Jeff?

Młody Jeff, zastanawiając się, o co mu chodzi, wyjaśnił mu.

— Hm — skomentował Cichy Jeff. — Jednym z nich jest Trigger Levine, tak? Znam Triga bardzo dobrze i wiem o nim kilka rzeczy. Myślę, że Trigger Levine to człowiek, którego potrzebuję. Wstań, Trig, i stań koło mnie. Zamierzam szepnąć ci coś do ucha.

Trigger Levine wstał; można by powiedzieć, że cieszył się, że wstał, patrząc jak zerwał się na nogi. Mimo to Cichy Jeff delikatnie popchnął go końcem lufy karabinu, aż obaj znaleźli się poza zasięgiem słuchu. Następnie zaczął wykładać Triggerowi Levine'owi prawo.

— Za wykonanie dla mnie tego zadania, zapłacę ci sto dolarów i dam ci glejt zwalniający cię od odpowiedzialności, Trig — powiedział Cichy Jeff. — W przeciwnym razie, już za dwa dni będziesz wisiał. To obietnica. W którą stronę pójdziesz?

— Czego chcesz? — warknął Levine.

— Ruszaj prosto przez wzgórza do domu Spurlocka, zajmie ci to ze dwie godziny. Weź od niego konia, najlepiej ukradnij jakiegoś z jego zagrody. Potem jedź do Pioneer, jakby cię gonił sam diabeł. Spotkaj się z Danem Hasbrookiem. Powiedz mu, że cię przysłałem i że potrzebuję beczki smoły i dużego, grubego materaca z pierza. Zrozumiałeś?

— O co w tym wszystkim chodzi? — wymamrotał Levine.

— Trig — oznajmił przyjaźnie Cichy Jeff — to może być ostatni dzień twojego życia. Z drugiej strony możesz dożyć śnieżnobiałych wąsów. Pomyśl o tym.

— Zrozumiałem — wykrztusił Levine. — Zrobię, co tylko każesz.

— Tak też myślałem, że zrozumiesz — ucieszył się Cichy Jeff. — A teraz zmiataj!

I Trigger Levine popędził biegiem.

Rozdział XVII

— **M**amy liny przy siodłach — powiedział Cichy Jeff, gdy wrócił. — Mamy też paski do troczenia rzeczy u siodeł. Możemy przywiązać tych panów, aby poczekali sobie na nas w miejscu, gdzie ich znajdziemy, kiedy będziemy chcieli.

— A po cholerę nam oni? — zagrzmiał stary Bill Czerwona Koszula. — Jak dla mnie, do niczego się nam nie przydadzą.

— W którą stronę odjechał Warbuck? — Młody Jeff zapytał Jima Ogdena.

— A skąd mam wiedzieć? — odparł Ogden.

Młody Jeff powiedział:

— Mój palec na spuście, strasznie się poci, Jim. W każdej chwili może mi się omsknąć. Powinieneś o tym wiedzieć. Dokąd pojechał Warbuck?

— Zmierzał na północ — odparł Ogden. — W stronę Cooper's Sluice. To wszystko, co wiem.

Jeff polecił:

— Jeff, ty i Bill zamknijcie na chwilę tych ludzi. Po drodze uśpiłem jakiegoś gościa, ale może już się obudził. Lepiej się upewnijmy.

Pospieszył do miejsca, w którym spotkał marudera z gromady Warbucka i dał mu po głowie rewolwerem. Znalazł go tam, gdzie go zostawił, nieświadomego całego świata. W pierwszej chwili Jeff pomyślał, że jest martwy, ale dłoń na piersi mężczyzny i światło zapałki powiedziały mu, że jest inaczej. To był młody Johnny Smith, żywy i zaczynający wracać do stanu przytępionej świadomości.

— Obudź się, chłopcze — powiedział Jeff. — Czas wstawać.

Johnny Smith jęknął, przyłożył dłoń do bolącej głowy i zdołał usiąść. Na początku nie wiedział, gdzie jest i dlaczego. Ale kiedy zdał sobie z tego sprawę, poderwał się na równe nogi, oszołomiony, lecz świadomy ogólnej sytuacji.

— K-kim jesteś? Cz-czego chcesz? — mruknął i zaczął szukać zgubionej broni.

— Zostaw broń w spokoju, chłopcze — powiedział Jeff. — Nie będzie ci potrzebna. Chodź ze mną.

Johnny Smith poszedł, nie mając nic lepszego do roboty. Na początku zataczał się jak pijany, ale opanował się, gdy razem z Młodym Jeffem doszli do trójki koni. Zrobił, co mu kazano, ściągnął liny i poprowadził konie, podczas gdy Młody Jeff wskazywał mu drogę. Dotarli do miejsca, w którym znajdowali się pozostali jeńcy, ci wciąż leżeli plackiem na ziemi, Jim Ogden stał nad nimi nieporadnie, w dużej mierze zrezygnowany, Cichy Jeff i Czerwona Koszula Bill czekali na straży.

— Pośpieszmy się, panowie — poganiał ich Młody Jeff. — Warbuck jest niedaleko stąd, ma Arlene, Sharpe'a i Starą Wiedźmę. Są z nim dwaj ludzie: Buck Nevers i Pocopoco Malaga. Mogli usłyszeć strzelaninę; możemy też spotkać ich po drodze, kiedy będziemy wracać. W każdym razie obiecałem Arlene, że sprowadzę pomoc.

Związali swoim jeńcom ręce i nogi, i zrobili przy wiązaniu dobrą robotę; Jeff zaufał tu starym wyjadaczom, jakimi byli Cichy Jeff i Czerwona Koszula Bill. Następnie skrępowani ludzie zostali przeciągnięci w różne miejsca, porozrzucani tak, żeby nie móc sobie nawzajem pomóc, oraz przywiązani do drzew, bezpiecznie, aby nie mogli odejść. Po tym wszystkim Młody Jeff, Cichy Jeff i Czerwona Koszula Bill wsiedli na siodła i ruszyli na północ, w kierunku Cooper's Sluice.

* * * *

Cooper's Sluice był to wąski przesmyk, który łączył złe ziemie z Round Valley, gdzie kiedyś ludzie myśleli, że znaleźli złoto w opłacalnych ilościach. Było to zaledwie cztery lub pięć mil od starego domu w Devil-Take-It. Lecz złota znaleziono tam niewiele i Cooper's Sluice, jako miasto, umarło, zanim się jeszcze narodziło. Pozostała tam jednak skalna chata, na wpół ziemianka, która wyznaczała położenie tego miejsca i stała się pomnikiem wzbudzonych przez nie krótkotrwałych, złudnych nadziei. To właśnie tam Bart Warbuck konwojował swoich mocno wzburzonych gości.

— Wypuść mnie! Wypuść mnie! — krzyczała spanikowana Arlene. — Nie masz prawa! Doprowadzasz mnie do szaleństwa! Wypuść mnie!

— Spokojnie, dziewczyno — uspokajał ją Warbuck. — Nikt cię nie skrzywdzi. Ale za dużo wiesz. Muszę na chwilę zamknąć ci usta. I muszę z tobą spokojnie porozmawiać.

— Nic nikomu nie powiem! Czy myślisz, że będę rozpowiadać ludziom o własnym ojcu - o rzeczach, o których sądzisz, że wiem? Ze wstydu będę milczeć jak grób.

— Zamknij się! — warknął na nią. — Wiem, co robię.

Nocny wiatr gwizdał wśród sosen, stukot kopyt konia Warbucka na skalistym podłożu rozbrzmiewał w ich uszach głośnym echem, zaś obok płynął strumień, który wylewał się z przełęczy i spływał zakosami w dół do Wandering River, dodając do odgłosów nocy swój własny wesoły plusk. Nie słyszeli więc odległych wystrzałów w Devil-Take-It. Gdyby wiatr wiał w inną stronę, może poniósł by je do ich uszu, ale dziś w nocy wiatr nie był sprzymierzeńcem Bartona Warbucka.

Jechał jedynie on, reszta szła pieszo. Umilił sobie wieczór, prowadząc za sobą Doca Sharpe'a. Sharpe miał ręce związane za plecami; na jego szyi wisiał sznur Warbucka; Sharpe był ciągnięty jak krowa, prowadzona na rzeź. Arlene nigdy nawet się nie śniło o takich przekleństwach, jakie co jakiś czas wykrzykiwał Sharpe, ani o takim śmiechu, jaki dobiegał z ust Warbucka.

Stara Wiedźma i ona same prowadzone były przez Neversa i Malagę, wlokąc się chwilami po najbardziej wyboistej drodze. Po swym pojedynczym wybuchu Arlene już więcej się nie odzywała. Amanda Grayle

milczała niczym egipski sfinks - z wyjątkiem jednego wypadku. Było to w momencie, gdy przeprawiali się przez potok. Trafiła się jej okazja na jeden ostry, gwałtowny szept do ucha dziewczyny.

— W pewnej chwili, gdy nie będą patrzyli ani słuchali, chcę z tobą porozmawiać — przekazała jej. — To bardzo ważne. Jeszcze dopadnę Bartona!

— Nie chcę, żebyś w ogóle się do mnie odzywała — odparła nieszczęsna Arlene.

— Muszę. Musisz wiedzieć...

— Chciałabym nie wiedzieć nawet tego, co już wiem! Tak mi wstyd! O, czemu…?

— Hej, tam — zawołał Warbuck. — O czym tak paplacie? Amanda, lepiej trzymaj gębę na kłódkę. Poderżnąłbym ci gardło za dwa centy.

— Lepiej, żebyś tego nie robił, Bartonie Warbuck — skarciła go. — Wiesz, co by się z tobą stało!

Sklął ją i pojechał dalej, pozwalając innym iść na piechotę, ciągnąc za sobą Sharpe’a, który ze związanymi z tyłu rękami bez przerwy się potykał, a sznur na jego szyi szarpał się nieustannie. Przestał już przeklinać; być może był na wpół podduszony i nie mógł.

Dla Arlene były to chwile grozy; było to jak szaleństwo w domu wariatów, jak piekło. Kiedy w końcu dotarli do kamiennej chaty przy Cooper's Sluice i zostali zapędzeni do środka jak bydło, znajdowała się na skraju wyczerpania; buty miała pocięte na skałach, kostki i kolana posiniaczone od upadków w ciemnościach, ręce brudne, całe ciało obolałe.

Pocopoco Malaga rozpalił ogień w ciasnym, trójkątnym kominku w kącie; pokój wypełnił się dymem. Nie było tu ani jednego mebla, ani ławki, ani nawet skrzyni. Opadła na podłogę, opierając się plecami o ścianę. Nad ich głowami, dach był prawie cały zniszczony, a gwiazdy świeciły do środka przez wielkie szczeliny, w miejscach gdzie dachówki zgniły lub zostały strącone przez wiatry.

Popatrzyła na Sharpe’a wleczonego ze sznurem na szyi, wyglądającego jak martwy, z białą twarzą i wpatrzonymi w nią oczami. Widziała, jak stara kobieta przykucnęła i siedziała nieruchomo jak mumia. Ale Stara Wiedźma nie wyglądała na martwą; jej oczy błyszczały, były pełne życia, nienawiści i wielu złych rzeczy.

Arlene nie chciała już więcej patrzeć na Sharpe’a, lecz nie mogła odwrócić wzroku. Sznur wciąż otaczał mu gardło; jego twarz, z martwej, pastelowej bieli, zmieniała się w coraz bardziej purpurową. Oczy zdawały się mu wyskakiwać z głowy. Poderwała się i podbiegła do niego; zaczęła gmerać przy pętli, próbując ją poluzować. Sharpe wydawał okropne odgłosy dławienia.

Warbuck, stojąc z wielkimi owłosionymi łapskami na biodrach, w szerokim kapeluszu, odrzuconym na plecy, z okrutnymi oczami i ustami, szydził z niej.

— Ty mała głuptasko! A nawet jeżeli udusi się na śmierć? Kogo to obchodzi? Mam taki pomysł, żeby powiesić tego szczura już teraz. Powinienem był to zrobić dwadzieścia lat temu.

Poluzowała linę i usłyszała długi, łkający oddech, który Sharpe wciągnął w swoje płuca. Potem znów opadła, plecami do ściany. Zaczęła myśleć o Młodym Jeffie i zastanawiać się. Pomyślała: „Był dziś naprawdę wspaniały. Nic go nie powstrzyma. On wróci. Wyciągnie mnie z tego”.

Sharpe sapał, sapał i sapał, a potem zaczął szaleć jak wariat. W tej chwili był zupełnie niepoczytalny. Słowa, które wypowiadał, które z siebie wyrzucał, były podłe - a jednak nie tylko ją zszokowały, lecz raczej ją przeraziły. Z początku jego słowa nie były spójne, nie miały sensu dla nikogo i podczas gdy Arlene drżała, a stara kobieta wpatrywała się w niego, podobnie jak Pocopoco Malaga i Buck Nevers, Warbuck z rękami na biodrach tylko się śmiał. W końcu jednak Sharpe powiedział coś, co miało sens, choć zaskoczyło Arlene. Krzyknął: „Niech cię diabli, Warbuck! Powiem o tym całemu światu, nawet jeśli za to umrę! Mam już tego dosyć; nie jesteś w stanie mi tyle zapłacić, żebym dłużej trzymał gębę na kłódkę. Kiedy twoja żona urodziła dziecko...”

Warbuck strzelił do niego. Jego dymiący rewolwer wyrzucił dwa pociski, które przebiły na wylot chude ciało Sharpe’a, a mężczyzna upadł, osuwając się powoli wzdłuż ściany, czepiając się słabo palcami brudnej podłogi, po czym znieruchomiał.

Wtedy rozległ się najstraszliwszy dźwięk na świecie, gorszy niż krztuszenie się i duszenie doktora Sharpe’a, gorszy niż jego przekleństwa, gorszy nawet niż strzał z pistoletu i odgłos opadającego bezwładnie ciała - rozległ się chrapliwy, drwiący pomruk starej kobiety z Dziury Wiedźmy.

— Jesteś głupcem, Bartonie, i zawsze nim byłeś — oznajmiła. — Teraz najprawdopodobniej posłałeś się na szubienicę. Jeśli Sharpe spisał...

— Mam ochotę również i ciebie zabić — stwierdził Warbuck.

Stara Wiedźma była przerażona, a jednocześnie napędzał ją dziwny rodzaj odwagi; była jak kot, którego sfora psów zagoniła w kąt. Zacisnęła kościste dłonie, krzycząc do niego:

— Zabij mnie, ty wielki głupcze, jeśli chcesz! Ja wszystko spisałam, dokument jest w bezpiecznym miejscu, a dziesięć dni po tym, jak mnie zabijesz, dowie się o nim cały świat, który potrafi czytać, zaś ty będziesz równie martwy jak Sharpe! Spójrz na niego! Zobacz, jak ładnie wygląda! Będziesz taki sam za dziesięć dni lub mniej, jeśli podniesiesz na mnie rękę. I…

— Zamknij się! — Warbuck rzucił z wściekłością. — Zamknij się! I tak cię zabiję, jeśli się nie zamkniesz. Walnę cię młotkiem w głowę i zmuszę do zamknięcia się. Zamknij się, mówię ci!

Arlene ledwie ich słyszała. Patrzyła na twarze pozostałych, Pocopoco Malagi i Bucka Neversa, i widziała, jak bardzo są spięci, jakie mają wąskie i błyszczące oczy, jak silne mięśnie odznaczają się na ich szczękach. Starała się patrzeć wszędzie, byle nie na leżące na podłodze ciało, tak blisko niej, z kałużą krwi zbierającą się u jego boku, wyglądającą jak atrament i rozbłyskującą czerwono i szkliście, gdy płomienie w kominku podnosiły się, to znów opadały.

„To morderstwo”, powtarzała sobie w myślach. „Widziałam własnego ojca popełniającego morderstwo - zabijającego bezbronnego człowieka… I to nie pierwszy raz… Morderca. Boże, dlaczego tak się stało? I ja… i ja..."

* * * *

Obaj Jeffowie i Czerwona Koszula Bill Morgan usłyszeli dwa strzały, które padły jeden po drugim tak blisko, a jednocześnie w takim chłodnym odstępie. Zobaczyli rumianą poświatę w miejscu, gdzie stary kamienny komin i zerwany dach przepuszczały czerwone światło. Podjechali bliżej, ale nie za blisko, nie chcąc, aby odgłos kopyt uprzedził o ich przybyciu. Szybko zsiedli z koni, przywiązali je i ruszyli dalej pieszo, niczym trzej Indianie z dawnych czasów, na wyprawie po skalpy.

— Mam nadzieję, że dzisiejszej nocy nikt nie zabije Warbucka — rzucił znacząco Młody Jeff. — Jeśli weźmiemy go żywcem, to kiedy trochę go zachęcimy, zacznie mówić. Przede wszystkim, on wie o kopalni Charliego Cartera. No i, do cholery, w końcu jest ojcem Arlene.

— To nie zmienia faktu, że jest winien zabójstwa — zauważył Bill Czerwona Koszula. — Jeśli chodzi o złoto Cartera, to sam mogę je znaleźć. A co do Arlene - no cóż, jest jeszcze młoda, przejdzie jej.

We wnętrzu starej chaty Warbuck właśnie polecił:

— Buck, wyjdź na zewnątrz, miej oczy szeroko otwarte i wytężaj uszu. Tak na wszelki wypadek. Jeśli kogoś usłyszysz, daj mi biegiem znać.

Na zewnątrz trzej mężczyźni dyskutowali, ale robili to po cichu, zastanawiając się nad tymi dwoma strzałami; tylko dwa i martwa cisza wymownie świadcząca o jakiejś ostateczności.

— Wygodnie by było, gdyby ktoś sprzątnął Barta Warbucka — powiedział Bill Czerwona Koszula. — Ale byłbym tym trochę rozczarowany. Zawsze myślałem, że pewnego dnia to ja będę tym szczęśliwcem, który go załatwi.

Z chaty wyszedł przygarbiony Buck Nevers. Zawsze pochylał się w dziwny, przykurczony sposób, tak jakby bez przerwy był gotów do jakiegoś skoku w dowolnym kierunku. Natychmiast, kiedy go zobaczyli, on albo zobaczył również i ich, albo usłyszał, że się zbliżają. Krzyknął coś i odskoczył na bok, poza zasięg światła. W tej samej chwili na zewnątrz wyskoczył Pocopoco Malaga, a wibrujący głos Warbucka zawołał:

— Kto tam? Co się dzieje?

Młody Jeff wykrzyknął:

— Zachowaj spokój, Warbuck!

Lecz jego słowa przerwał krzyk Bucka Neversa:

— To ten cholerny głupiec, Młody Cody, ma ze sobą ludzi i...

Przez krzyk Bucka Neversa przebił się gardłowy ryk wściekłości Warbucka, uciszając go, tak samo jak Nevers zrobił to z Młodym Jeffem:

— Strzelajcie, przeklęci głupcy! Zestrzelcie ich!

Strzelanina, jednak, już się rozpoczęła. Nevers przykucnął i strzelał z jakiegoś miejsca w najciemniejszym kącie koło chaty, Pocopoco Malaga rzucił się, za częściowo chroniący go pień wielkiego drzewa i strzelał, a trio z Halcyon zasypywało ich obu gradem gorącego ołowiu.

Sam Warbuck nie pokazał się w drzwiach. Stał w środku z bronią w ręku, nasłuchując, niepewny co zrobić. Próbował oszacować, ilu napastników go zaatakowało; nikt nie był w stanie tego stwierdzić.

— Warbuck! — krzyknął Buck Nevers. — Warbuck! Wyskakuj stamtąd. Ty…

Buck został oskrzydlony, być może był poważnie ranny. Jego pracodawca nie odpowiadał. Nevers obrócił się na pięcie i dał nogę, żałośnie przeklinając w trakcie ucieczki. Pocopoco Malaga zaczął płynnie przeklinać w meksykańskim pogranicznym hiszpańskim i rozpoczął skryty odwrót. Jego odwrót nie był jednak ani wystarczająco skryty, ani szybki. Trafiła go kula i padł na ziemię, miotając się i wyjąc z bólu jak zraniony kojot.

Młody Jeff wpadł przez drzwi jakby niesiony na oślep przez huraganowy wiatr. Na środku pomieszczenia stał z bronią w ręku Bart Warbuck, wciąż wahając się, co zrobić. Zarówno jego pistolet, jak i broń Młodego Jeffa uniosły się w tej samej chwili.

Arlene również stała; chwyciła patyk z kupki drewna na opał, nie wiedząc, co właściwie chciałby z nim zrobić, po prostu wykonując instynktowny ruch. Z całej siły uderzyła kijem w dłoń Warbucka. Rewolwer wyleciał mu z ręki.

Były tam drzwi prowadzące do jakiegoś małego pomieszczenia, magazynu czy też kuchni. Warbuck, w czasie krótkich chwil zawahania, dostrzegł je kątem oka, a teraz jedno potężne szarpnięcie przeniosło go przez nie w ciemność. Było tam jedno małe, wysoko umieszczone okno; pamiętał o nim. Przecisnął się przez nie, podczas gdy Młody Jeff biegł za nim. Potem z zewnątrz dobiegły odgłosy biegnącego człowieka - Bart Warbuck wreszcie w pełnym biegu.

Rozdział XVIII

Arlene z dreszczem obrzydzenia pozbyła się swojego kija i rzuciła się w ramiona Jeffa; zaczęła szlochać:

— Och, dzięki Bogu, że uciekł - że go nie zastrzeliłeś! Mógłbyś to zrobić, więc wytrąciłam ojcu broń z ręki, żebyś nie musiał! Och, Jeff, dlaczego nie mogę być martwa?

Zarówno Cichy Jeff, jak i Bill Czerwona Koszula wpadli do środka tuż za Młodym Jeffem i zdążyli zobaczyć, jak Warbuck rzuca się do ucieczki. Teraz obrócili się i znów wybiegli, chcąc go dopaść, a przynajmniej upewnić się, że nie złapie konia. Znaleźli własne konie; koń Warbucka był przywiązany do drzewa niecałe dwadzieścia stóp od drzwi; Warbuck nie odważył się do niego podejść, więc ruszył na bezdroża pieszo.

— Wygląda na to, że Sharpe nie żyje — stwierdził Bill Czerwona Koszula. — To chyba te strzały, które słyszeliśmy; Warbuck go załatwił. Myślę, że postrzeliliśmy też pozostałych dwóch, którzy stąd wyszli; lepiej się upewnijmy, bo jedyną formą dobrego węża, jest martwy wąż. A co powiecie na to, byście popilnowali tych czterech koni? Ja pójdę wykurzyć tych, którzy popełnili błąd i zaczęli strzelać.

Wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi od Cichego Jeffa; mimo to parsknął, wychodząc na dwór. Znalazł Pocopoco Malagę leżącego w pobliżu domu, martwego; mężczyzna został postrzelony dwukrotnie, raz w gardło. Nie znalazł śladu Bucka Neversa. Neversa nie widziano też już nigdy więcej; albo uciekł, albo tylko wlókł się przez parę rozdzierających serce mil i umarł gdzieś, w jakimś wąwozie, gdzie może minąć wiele lat, zanim ktokolwiek natknie się na jego porozrzucane kości.

Młody Jeff przez chwilę trzymał Arlene mocno w ramionach, nie wiedząc, co mógłby jej powiedzieć, po czym zwrócił gniewne oczy na starą kobietę.

— Co się stało Sharpe'owi? — dopytywał się. — Kto go zabił?

— Barton — odparła ze złośliwą rozkoszą. — Wszyscy to widzieliśmy. Sharpe zaczął gadać, głupiec. Tyle, że on nie jest martwy – a przynajmniej, jeszcze nie całkiem martwy.

Arlene, sądząc, że Sharpe już nie żyje, pospiesznie podeszła z Jeffem do rannego człowieka. Nadzieja podpowiadała jej, że może jednak przeżył. Ale nawet ona natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że się łudzi, że ten człowiek umiera.

Cicho wołał o wodę i Młody Jeff poszedł do Cooper's Creek, gdzie kiedyś była tama, i przyniósł wodę w kapeluszu, najszybciej jak potrafił. W tym czasie Cichy Jeff i Bill Morgan przyglądali się im nieustannie.

Sharpe rozpaczliwie chciał mówić, chciał oskarżyć Warbucka, ostatkiem sił chciał się upewnić, że dzięki niemu nastąpi upadek i śmierć Warbucka. Wypił łapczywie trochę wody, a potem zaczął mamrotać. Z początku jego słowa nic nie znaczyły, lecz potem, wraz z ostatnim przypływem sił witalnych, zmusił się, by nabrały one sensu. Wszyscy zbliżyli się, aby go wysłuchać, czując, że ten wyrzutek nie powinien dryfować po rozległych, ciemnych morzach śmierci, nie pozostawiając za sobą zrozumiałego przesłania. Usłyszeli, jak mówi:

— Warbuck mnie zabił. Zawsze przysięgał, że to zrobi. Zabił także innych ludzi. To on zamordował i obrabował Hanka Ryana dwadzieścia lat temu – od tego zaczął. Amanda Grayle wie… Stary Jeff Cody i stary Bill Morgan nic o tym nie wiedzieli. A kiedy urodziła się córka Warbucka, byłem tam jako lekarz. I ona...

Wyczerpał swe ostatnie siły, nie był w stanie wykrztusić ani sylaby więcej. Opadł na plecy, zwiotczały, rozluźniony, martwy.

Wtedy, zupełnie niespodziewanie, młody Jeff poczuł w tym ponurym pomieszczeniu jakąś dziwną elektryczną atmosferę, mrowiącą i pełną napięcia. Nie wiedział, skąd się wzięło to uczucie; na pewno nie z tego, że Sharpe przestał oddychać. Potem uświadomił sobie, choć świadomość ta nie doprowadziła go zbyt daleko, że w chwili gdy wstawał od umierającego, dostrzegł w oczach starego Cichego Jeffa najdziwniejszy wyraz, jaki kiedykolwiek w nich widział. Instynktownie obrócił się w stronę Billa Morgana Czerwonej Koszuli: zaskakujące było to, że ten sam dziwny wyraz, widoczny był również w oczach starego Billa. Zauważył jednak, że obaj mężczyźni nie patrzyli na siebie; obydwaj wpatrywali się w starą kobietę z Dziury Wiedźmy - zaś ona, śmiertelnie przerażona, wydała z siebie cienki pisk i rzuciła się do ucieczki. Zatrzymali ją, zanim zdążyła przebiec trzy kroki. Dłoń Cichego Jeffa zacisnęła się na jednym z jej chudych ramion, a dłoń Billa Czerwonej Koszuli, na drugim.

Bill Czerwona Koszula oznajmił głosem, który w ogóle nie przypominał jego głosu, tak bardzo był ochrypły i zduszony:

— Załatwmy to w końcu, Amando Grayle. Powiedz to wprost, i niech Bóg zmiłuje się nad twoją duszą, jeśli spróbujesz kłamać. Co z Hankiem Ryanem?

— Wy gigantyczni głupcy! — wykrzyknęła. — Oczywiście, że to Barton Warbuck go zabił! Wy trzej, Bill Morgan, Jeff Cody i Hank Ryan byliście partnerami i znaleźliście złoto; mieliście zebrane czterdzieści lub pięćdziesiąt tysięcy dolarów w złotym pyle, a Hank Ryan je ukradł. Obaj przysięgliście, że go dorwiecie. Potem ktoś go dopadł przed wami; strzelił mu w tył głowy ze starego rewolweru z waszej chaty, zostawił broń i zatrzymał złoty pył. I przez ponad dwadzieścia lat Bill Morgan myślał, że zrobił to Jeff Cody, a Jeff Cody myślał, że zrobił to Bill Morgan! Wiedziałam o tym ja, i wiedział o tym Sharpe… i przez cały ten czas Barton Warbuck płacił nam za trzymanie gęby na kłódkę. Teraz jest takim samym głupcem jak wy dwaj, ponieważ Sharpe z pewnością, podobnie jak ja, zabezpieczył się, spisując całą sprawę i zostawiając swoje zeznanie w miejscu, w którym zostanie ono ujawnione w ciągu dziesięciu dni, w wypadku braku

wiadomości od niego. Tak więc Barton Warbuck sam sobie poderżnął dziś gardło. I są jeszcze inne rzeczy, o których mogłabym wam powiedzieć.

Ale oni już jej nie słuchali. Oczy, zarówno Cichego Jeffa, jak i Billa Morgana Czerwonej Koszuli, które jeszcze przed chwilą utkwione były w jej twarzy, teraz jak błyskawice wystrzeliły ku sobie. Te stare oczy ciskały obecnie spojrzenia ostre jak noże, tnące głęboko, sondujące aż po samo dno, w poszukiwaniu prawdy. Przez chwilę żaden z nich nie odezwał się słowem, nawet Czerwona Koszula Bill Morgan. Po prostu stali i wpatrywali się w siebie; patrzyli wstecz przez ostatnie ponad dwadzieścia lat, jakie przeżyli nie zamieniając słowa. Potem Czerwona Koszula Bill Morgan powiedział po prostu:

— Jeff, chodźmy na zewnątrz, ty i ja, i złapmy Barta Warbucka. Już czas.

Cichy Jeff skinął głową. Obaj wyszli na dwór, ramię w ramię. Młody Jeff widział, jak ich ramiona się stykają.

Młody Jeff zawołał do nich:

— Poczekajcie chwilę, pójdę z wami.

Bill Czerwona Koszula odparł:

— Jasne, Jeff, nie spiesz się.

Młody Jeff czuł, że nie może tak pośpiesznie zostawić Arlene, nie z martwym Sharpem na podłodze, nie sam na sam z tą starą wiedźmą. Będzie musiał przenieść Sharpe'a do małego pomieszczenia, przez które uciekł Warbuck, i jakoś zająć się Arlene.

Czerwona Koszula Bill Morgan i Cichy Jeff Cody nie czekali ani chwili, nie byli w stanie czekać, dzisiejszej nocy. Zamierzali wytropić Barta Warbucka, tylko oni dwaj, i czuli, że nawet w ciemności będą potrafili go znaleźć. Był nieuzbrojony, poruszał się pieszo, jak sądzili, szedł więc prosto jak po sznurku na południe, przez pustkowia, w kierunku miejsca, w którym mógłby znaleźć konia i broń. Znalazłby je na ranczu Adama Hollidaya; Holliday był jego przyjacielem. To właśnie tam mieszkała mała blond nauczycielka, Chrystine Ward. Nie marnowali więc czasu; albo dopadną go przed świtem, albo odetną mu drogę i zablokują go na pustkowiu, gdzie dopadną go za dnia. Teraz wszystko było jak za dawnych czasów, gdy jeździli razem - Bill Czerwona Koszula miał wiele do powiedzenia swemu przyjacielowi, zaś Cichy Jeff zawsze był gotów do przyjacielskiego chrząknięcia.

Tak się jednak złożyło, że to nie tych dwu ludzi, których Warbuck oszukiwał przez tyle lat, dławiąc najwspanialszą rzecz, jaka kiedykolwiek pojawiła się w ich twardym życiu, jako pierwszych natknęło się na Barta Warbucka, lecz Młody Jeff.

Ponieważ Warbuck wcale nie odszedł daleko, kiedy zatrzymał się i ostrożnie zawrócił. Nie miał broni; liczył, że może uda mu się zdobyć jeden z rewolwerów, upuszczonych przez Pocopoco Malagę albo Bucka Neversa. Chciał też zdobyć konia; nigdy w życiu niczego tak bardzo nie pragnął, jak konia. Powinien być w stanie odzyskać własnego lub zdobyć jednego z należących do ludzi z Halcyon. Ryzykował co nieco, wracając, ale ryzykowałby wszystko, próbując wydostać się z tego diabelskiego kraju na piechotę.

Kiedy Młody Jeff pośpiesznie skończył to, co miał do zrobienia w środku chaty, przenosząc ciało Sharpe'a i zapewniając Arlene, że wkrótce po nią wrócą i że w międzyczasie nic jej nie będzie, odkrył, że dwóch starców już odjechało.

Ale koń Jeffa stał tam, gdzie go pozostawił, a nieopodal uwiązany był koń Warbucka. I właśnie wtedy Warbuck, usiłując rozwiązać linę swego konia, ponieważ miał naprawdę bardzo pechową noc, nadepnął na suchą gałąź, która głośno trzasnęła mu pod nogą, i Młody Jeff go zobaczył. Choć światło gwiazd było słabe, wystarczyło, by pokazać wielkie, barczyste ciało Warbucka, i w mgnieniu oka Młody Jeff zorientował się, co się stało.

— Warbuck! — krzyknął i ruszył do przodu. Warbuck w końcu rozwiązał linę i wskoczył na siodło, lecz zanim zdążył uciec, Młody Jeff złapał paski uzdy koło wędzidła, przytrzymując konia.

Wtedy Warbuck skoczył z siodła niczym górski lew, rzucając się całym ciężarem ciała na Młodego Jeffa i chwytając go rękę, w której trzymał rewolwer. Jeff zatoczył się do tyłu, niemalże przewracając się na ziemię, ale udało mu się uwolnić rękę z pistoletem.

— Mam cię, Warbuck, niech cię diabli!

Ale Warbuck nie poddawał się, a Jeff nie mógł się zmusić do naciśnięcia spustu; choć wiedział, że Warbuck musi go zabić, nie potrafił strzelić do nieuzbrojonego człowieka. Warbuck rzucał się na niego z prawej i lewej strony, spychając go do tyłu wściekłością swojego ataku i uderzeniami większej masy, rozpędzając się jak lawina. Jeff ledwie utrzymał się na nogach, cofnął się jeszcze o krok i wepchnął broń z powrotem do kabury, po czym z napiętymi mięśniami, nerwami i ścięgnami rzucił się na napastnika. Odgłosy zadawanych i przyjmowanych ciosów, trzaski twardych pięści o kości, uderzenia pięści o ciało, słychać było z daleka. Arlene wybiegła ze starej chaty, a Stara Wiedźma, zwinna jak konik polny, podążyła za nią.

W tym momencie, na miejscu znalazły się już cztery, niemal równie zdesperowane, osoby, z których każda miała inną przyczynę i powód do desperacji. Arlene tej nocy doświadczyła już wystarczająco wiele grozy, by tego rodzaju wrażeń starczyło jej do końca życia, a teraz jeszcze widok Młodego Jeffa Cody'ego i Barta Warbucka - Młodego Jeffa i jej własnego ojca - próbujących pobić się nawzajem na śmierć, a przynajmniej do nieprzytomności, był dla niej tak koszmarnie przerażający, że niemal zdołała przekonać samą siebie, iż to jest tylko sen - że to coś zupełnie i absurdalnie niemożliwego. Lecz odgłosy uderzeń, kaszlących pomruków były całkiem realne.

— Zabij go, zabij go! — wrzasnęła stara kobieta.

Arlene nie wiedziała, czy Amanda Grayle chciała, żeby Jeff zabił Warbucka, czy Warbuck zabił Jeffa.

Lecz czy to Jeff, czy Warbuck, żaden z nich nawet nie słyszał głośnych krzyków Wiedźmy. Jeff, ponownie niemal przygnieciony niedźwiedzią masą Warbucka, zatoczył się do tyłu. Wtedy jego pięta zahaczyła o kamień, a on stracił równowagę, szaleńczo zamachał rękoma w pustym powietrzu, i upadł. Warbuck skoczył do przodu i kopnął go ciężkim butem. Jeff wywinął się, albo prawie wywinął; but otarł się mu o ramię koło podstawy gardła.

Machnął ręką i złapał Warbucka za łydkę, a gdy się poderwał, Warbuck został szarpnięty razem z nim, i obaj sczepieni ramionami przetaczali się i młócili bez chwili przerwy.

Wtedy Jeff poczuł, jak wielka para włochatych rąk, niczym łap potwornych tarantuli, zamyka mu się na gardle. Wiedział, co się z nim stanie, kiedy te ręce znajdą pewny chwyt; nie było w nich litości, były to maszyny zniszczenia. Chwycił jedną z włochatych łap i zaczął dziko uderzać w twarz Warbucka, próbując trafić go w podbródek.

Stara kobieta szperała po ziemi kościstymi szponami, szukając kamienia. Wstała z poszarpanym kawałkiem granitu w każdej dłoni; schyliła się nad walczącymi, szukając okazji, by rzucić jednym z nich w głowę Warbucka.

Nie miała na to szansy. Została zwalona z nóg i posłana na ziemię, mamrocząc przekleństwa, gdy dwa miotające się ciała uderzyły w nią. Jeff w porę rozerwał uścisk Warbucka, wyswobodził się i wstał. Warbuck, jakby wyrzucony eksplozją, poderwał się za nim. Lecz tym razem Jeff uderzył pierwszy, bezbłędnie i z całą siłą wojownika, a jego pięść wbiła się w szczękę Warbucka i sprawiła, że ten przewrócił się do tyłu, wyrzucając przed siebie obie ręce. Pomiędzy tymi rozpostartymi ramionami Jeff zaszarżował ponownie i tym razem trafił w podbródek. Warbuck upadł płasko na plecy, jak drzewo, które runęło na ziemię i jednym triumfalnym skokiem Young Jeff Cody znalazł się na nim. Okładał go i okładał...

— Jeff! Jeff! — błagała Arlene. — Zabijesz go! Nie rób tego!

Starsza kobieta złapała ją szorstko za ramię.

— Zamknij się, głupia! — wrzasnęła. — Niech Jeff go zabije. Powinnaś się cieszyć!

— Nie! Nie! Nie chcę, żeby Jeff też był mordercą!

Jeff uniósł się do połowy, wykrztuszając słowa przez ramię.

— Lina. Dajcie mi linę. Z konia.

To Amanda Grayle pobiegła po linę, przyniosła ją z ochotą i pochyliła się nisko, spoglądając jak kot na swą ofiarę, gdy Młody Jeff dokładnie krępował ręce Barta Warbucka za jego plecami; Warbuck, jeśli w ogóle był przytomny, był za bardzo pobity i słaby, by się poruszyć. Kiedy Jeff skończył pracę, zarzucił na szyję Warbucka pętlę z wolnego końca sznura.

— Jeśli zaczniesz się wygłupiać, Warbuck — obiecał — uduszę cię tym. A teraz wstawaj i idź. Pójdziesz do środka, gdzie będę miał wystarczająco dużo światła, by cię obserwować.

Po chwili Warbuck podniósł się na nogi, wstał i poszedł. Nie miał nic do powiedzenia, lecz jego oczy, miotające się we wszystkie strony, wypełnione nienawiścią i porażką, czerwone z wściekłości i upokorzenia, mówiły same za siebie. Gdy znaleźli się w chacie, Jeff dorzucił do ognia aby mieć więcej światła; kazał Warbuckowi położyć się w kącie i związał mu nogi wokół kostek. Żeby to wszystko zrobić, musiał wytrzeć krew z oczu, ale nie czuł jeszcze długiej rany na czole.

Widząc, że Warbuck został bezpiecznie unieszkodliwiony, Jeff pośpiesznie wyszedł; chciał zrobić dwie rzeczy: Jedną z nich było złapanie i ponowne uwiązanie konia Warbucka, a drugą i ważniejszą sprawą było przywołanie Cichego Jeffa i Billa Czerwonej Koszuli, zanim odjadą zbyt

daleko, by doleciał do nich huk wystrzału z rewolweru. Pomyślał, że w tej ciszy jest jeszcze szansa, aby to usłyszeli.

Najpierw oddał trzy strzały w równych odstępach, co ludzie gór znają jako wezwanie, wiadomość mówiącą: „Mamy to, czego szukaliśmy; pośpieszcie się”. Następnie odczekał chwilę i ponownie oddał trzy strzały; powinni usłyszeć i wrócić; wiatr, choć niewielki, był mu przychylny.

Potem poszedł szukać konia Warbucka, znalazł go niecałe pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym go zostawili, przywiązanego do młodego drzewa. Kończył już pośpiesznie swoją pracę, gdy usłyszał za sobą pośpieszny krok, a potem ściszony głos mówiący:

— Jefferson! Jefferson Cody!

Była to oczywiście stara wiedźma z Dziury Wiedźmy. Zapytał zdawkowo:

— Tak? Co znowu?

— Powiedz mi, Jeffersonie, co zamierzasz z nim zrobić? Z Bartonem Warbuckiem?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że wiele rzeczy. Mamy Jima Ogdena i większość reszty ludzi, których Warbuck zostawił w Devil-Take-It. Tak czy inaczej przepędzimy ich z okolicy, a oni odjadą swobodnie. Jeff i Bill powinni zaraz do nas wrócić.

— Nie pozwól mu żyć, Jeffersonie! Zabij go. Zabij go tak, jak zabija się węża. On zabił dziś Sharpe'a; teraz już zdaje sobie sprawę z tego, że równie dobrze mógł palnąć sobie w łeb; zabije i mnie. Ale zamiast tego, to ty musisz go zabić! Teraz! — Chwyciła go zaciekle za ramię, wbijając mu się pazurami w ciało. — Jeffie! — zawołała podekscytowana — kochasz Arlene, prawda? Kochasz, Jeff, a ona kocha ciebie!

Próbował wyswobodzić się z jej uścisku.

— O czym ty mówisz? - powiedział ostro. — Oszalałaś?

Próbowała zachichotać, tak jak to miała w zwyczaju, ale w tej chwili zaschło jej w gardle i na wpół się zakrztusiła. Oznajmiła szczerze:

— Powiem ci coś - sekret - wielki sekret! Powiem ci wiele sekretów! Ty i Arlene chcecie usłyszeć przede wszystkim to: Ona nie jest jego córką. Nie są nawet spokrewnieni.

W pierwszej chwili pomyślał, że oszalała od nadmiaru tych nocnych przeżyć. Potem przypomniał sobie o pewnych rzeczach, które zostały powiedziane, stanowiących minimalne i do tej pory nic nie znaczące wskazówki.

— Posłuchaj! — powiedział. — Co to wszystko ma znaczyć? Wyjaśnij mi to!

Rozmawiali razem pod sosną tylko przez parę chwil, mniej niż dziesięć minut, może nawet nie więcej niż pięć. Ale zanim Młody Jeff, śpiesząc się i wołając podekscytowany, dotarł do Arlene, Barton Warbuck już po raz drugi tej nocy odzyskał wolność i uciekał. Tak jak poprzednio, wyszedł przez małe, wysoko położone okno; Jeff przybył akurat w chwili, by usłyszeć cichy hałas, jaki spowodował przeciskając się przez okno, i zobaczyć Arlenę, z bladą twarzą, lecz błyszczącymi i wyzywającymi oczami, stojącą tam ze sznurem w dłoni.

— Tak, wypuściłam go! — oznajmiła i pozwoliła, by lina wyślizgnęła się jej z palców i zwinęła się u jej stóp na podłodze, jak wąż. — Błagał mnie, obiecywał, że odejdzie i nigdy nie wróci, że bez względu na to, co się stanie, już nigdy nie podniesie na ciebie ręki. A przecież, Jeff… pomimo wszystko on jest moim ojcem. I...

Stara kobieta zaczęła krzyczeć, prawie podskakując z wściekłości, w ataku strachu, który wstrząsnął nią tak, jak silny zimowy wiatr wstrząsa osiką.

— Ty głupia suko, ty głupia suko, ty głupia suko! — krzyczała w kółko. — Ty…

Młody Jeff nie słyszał reszty, ani nie odezwał się do Arlene nawet słowem. Pomyślał tylko: „Nie mógł przejść więcej niż kilkanaście kroków!”. Obrócił się na pięcie i wybiegł, z bronią w ręku. Tym razem, jeśli wpadnie na Warbucka, nie da mu szansy na trzecią ucieczkę. Arlene pobiegła za nim, wołając go, błagając.

Warbuck, uciekając wokół rogu chaty, blisko jej ściany, potknął się w ciemności o ciało Pocopoco Malagi i runął do przodu, upadając na głowę. Jego wyciągnięta ręka dotknęła czegoś i zacisnęła się na tym gorączkowo; był to rewolwer Malagi. Warbuck, poderwał się na nogi z nową siłą i pewnością siebie płynącą ze wszystkich jego sił witalnych, zobaczył wychodzącego Jeffa. Wystrzelił, gdy obaj mężczyźni znaleźli się w odległości nie większej niż dziesięć stóp. I jak odbity błysk gorącej błyskawicy z jego broni, nadeszła odpowiedź Młodego Jeffa.

Były to szaleńczo prowadzony ogień, przypadkowe strzały, wystrzeliwane z bliska, niesione raczej przez przeznaczenie niż przez umiejętności czy oko ludzkie, w tym słabym, zwodniczym świetle. Potem iglica Jeffa kliknęła na pustej łusce, a on pomyślał tępo: „No cóż, nadszedł chyba mój koniec”.

Usłyszał jednak jęk Warbucka, mgliście dostrzegł zataczającą się postać i skoczył na nią, używając rewolweru jako maczugi i uderzając nim z całej siły. Warbuck upadł na ziemię.

Usłyszeli dochodzący z daleka krzyk wydany niemożliwym do pomylenia grzmotem głosu Billa Czerwonej Koszuli, a potem tętent pędzących kopyt. Jeff podniósł broń, która wypadła Warbuckowi z ręki, i oparł się o ścianę chaty, czekając.

Rozdział XIX

Bart Warbuck został postrzelony w rękę, w której trzymał broń; kość w okolicy łokcia była roztrzaskana, a uderzenie w głowę pozbawiło go przytomności. Zaniesiony do chaty, oblany wodą i z przewiązaną raną, ocknął się i usiadł. Jeff stał nad nim czujnie, gotów powalić go na ziemię, gdyby próbował wstać.

Wtedy to Cichy Jeff i Czerwona Koszula Bill, wezwani przez Jeffa wystrzałami z rewolweru, wpadli pośpiesznie do środka. Rozejrzeli się szybko w sytuacji i oczy im się rozjaśniły.

— A więc wrócił; prosił się o to i dostał za swoje! — wykrzyknął z zachwytem Czerwona Koszula Bill. — Co więcej, wciąż żyje, więc możemy zabrać go ze sobą na naszą imprezkę. Marzenia się spełniają, młody.

Warbuck oznajmił ochryple:

— Lepiej zostawcie mnie w spokoju - prawo zajmie się każdym z was — jego słowa utonęły w serdecznym śmiechu Billa Czerwonej Koszuli. Nawet Cichy Jeff – no cóż, może nie roześmiał się wprost, ale można powiedzieć, że jego śmiech zdawał się być niemalże słyszalny.

— Co to za „imprezka”, o której wspomniałeś, Bill? — spytał Młody Jeff. — Kiedy i gdzie?

— W Devil-Take-It. Pamiętaj, że czeka tam na nas Jim Ogden i paru innych chłopców z Long Valley. Mamy też kilku gości, rozesłaliśmy zaproszenia, ja i ten stary głupiec. — Objął swym wielkim ramieniem chude barki Jeffa. — Wiesz przecież, że ja i ten drań jesteśmy kumplami, jesteśmy nimi teraz, byliśmy zawsze i na zawsze będziemy. Więc organizujemy tę imprezę razem.

— Ruszajmy więc — powiedział Cichy Jeff.

Było ich sześcioro, a koni tylko cztery. Warbuck, któremu przywiązano zdrową rękę do uprzęży siodła, wsiadł na jednego konia, a stara kobieta z Dziury Wiedźmy, mimo jej protestów, została umieszczona za nim; aby nie spaść, musiała przycisnąć się do niego, obejmując go rękoma, co sprawiło, że przeklinała przez całą drogę, prawie na każdym kroku.

Młody Jeff pomógł Arlene wsiąść na swoje siodło, po czym wskoczył na miejsce za nią. I chociaż najwygodniej było mu objąć ją ramionami i trzymać ją tak przez cały czas, utrzymując ich oboje w siodle, ona nie krzyczała, a on nie przeklinał. Dwójka „kumpli” wsiadła na swoje konie i opuścili Cooper's Sluice, by wrócić najkrótszą drogą do Devil-Take-It.

— Arlene — powiedział cicho Jeff, dotykając wargami jej włosów.

— Och, Jeff! Dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć? Dlaczego życie jest tak paskudne, tak bardzo nie do zniesienia! Co ja takiego zrobiłam, że to wszystko spadło na moją głowę! Jeszcze kilka dni temu

byłam taka szczęśliwa, miałam wszystko, byłam taka dumna z tego, że jestem Arlene Warbuck! — Poczuł jej konwulsyjny dreszcz. — A teraz...

— A teraz? — powiedział bardzo łagodnie. — Posłuchaj, Arlene, teraz...

— Nienawidzę nawet swojego imienia! Arlene! Nienawidzę wszystkiego, co...

— Ćśś! Posłuchaj. Nie, nie nasz już na imię Arlene; nie będziemy tego dłużej znosić. Ah Wong nadał ci nowe imię – Pa-na Ah Lee! Posłuchaj mnie, Ah Lee...

— Och, Jeff, jak możesz! Kiedy serce mi krwawi...

— To się zmieni za chwilę! Posłuchaj, Ah Lee. Będziesz szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Poczujesz się jak człowiek, który skończył poranną zimną kąpiel i krzyczy że chciałby dostać śniadanie - śniadanie tak dobre, jak Ah Wonga. Przytulę cię, żebyś nie spadła z siodła, kiedy ci o wszystkim powiem. To dobre wieści, Ah Lee. Wytrzymasz? Gotowa?

Powiedziała cicho:

— Dobre wieści? Ach, Jeff. Takich nie ma już dla mnie, i nigdy nie będzie. Tak długo, dopóki pozostanę osobą, którą jestem — w tej chwili usłyszała jego chichot i zesztywniała, jakby pchnął ją nożem, tak okrutnie niezrozumiały wydawał jej się w tej chwili.

A kiedy powiedział, zbliżając wargi do jej ucha:

— Ale ty wcale nie jesteś Arlene Warbuck; nie ma w tobie ani kropli krwi Warbucka — jego słowa zabrzmiały tak fantastycznie, że nie mogła ich w pierwszej chwili zrozumieć. Powiedział jej przecież, że ona nie jest sobą!

— Posłuchaj — powiedział. — Czy nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego Warbuckowie adoptowali tę dziwaczną małą istotkę, Miriam?

Oczywiście, że zastanawiało ją to przez całe życie; wydawało jej się to najdziwniejszą rzeczą na świecie, że Barton i Irene Warbuck, zimnokrwiści i samolubni ludzie, adoptowali taką małą, pokręconą istotkę jak Miriam.

— O co chodzi, Jeff? — zapytała i nagle serce zaczęło jej walić jak oszalałe i zaparło jej dech w piersiach.

Opowiedział jej o wszystkim, co przekazała mu stara kobieta, o wszystkim, o czym powiedziałby Sharpe, gdyby Warbuck nie zabił go, gdy tylko jego wargi zaczęły składać się by wypowiedzieć te słowa. Kiedy dwadzieścia lat temu Warbuckom urodziło się dziecko, było ono pomarszczonym, kalekim, odrażającym stworem - dokładnie takim, jak powinien pochodzić z ich związku. Lekarzem przyjmującym poród był doktor Sharpe. Wszedł do pokoju akurat w chwili, gdy Warbuck wziął noworodka w swoje wielkie, brutalne ręce i chciał go udusić. Sharpe uratował życie tego dziecka - a była nim Miriam.

Znalazł też natychmiastowe rozwiązanie, jedną z tych odpowiedzi na zrządzenia losu, która zadziałała w dwojaki sposób: na korzyść Warbucka oraz na korzyść jego samego.

Przypadkiem dowiedział się o pewnej młodej kobiecie, która właśnie urodziła dziecko w Forcie Ryder i zmarła przy porodzie. Młody mąż i ojciec, pędzący po doktora w czarną zimową noc, powożący zaprzęgiem na wpół dzikich młodych koni, zmierzający z powrotem skrótem przez Cut Off

Grade, zginął; wóz, zaprzęg i człowiek na ostrym śliskim zakręcie zostali wyrzuceni w głębiny Ryder's Gorge.

Mieli więc dziecko, sierotę, gotowe do natychmiastowej adopcji. Lecz dlaczego w ogóle mówiono o adopcji? Ponieważ już wtedy Warbucksowie, wywodzący się z nizin społecznych, planowali zajść daleko, bez względu na cenę, i stawiali wszystko na jedną kartę, napompowując się dziwnym rodzajem fałszywej dumy, która w końcu miała przywieść ich do zguby. Nie do pomyślenia było, by mogli zostać rodzicami kalekiej i pokręconej istoty, jaką była mała Miriam. Tak więc ukryli swe dziecko przed oczyma wszystkich oprócz Doca Sharpe'a; za jego wiedzą przywieziono do nich małą osieroconą dziewczynkę i została ona przez nich adoptowana; potem, kilka tygodni później, gdy wystawili swoje dziecko na pokaz, przedstawili śliczną, pulchną Arlene jako swoją, a następnie przy tej radosnej okazji opowiedzieli o przyjęciu do ich domu, z dobroci serca, tej biednej, małej, kalekiej dziewczynki urodzonej w Fort Ryder - i choć raz, przez krótką chwilę, ludzie mówili: „W najgorszym człowieku tkwi odrobina dobra; ci Warbuckowie mają wielkie, życzliwe serca".

I tak Warbuckowie ukryli swój wstyd. I tak doktor Sharpe przez wiele lat był bogato przekupywanym doktorem Pijawką.

Arlene nie powiedziała nawet słowa. Jej pierś unosiła się i opadała, unosiła się wyżej i znów opadała w rytm wzburzonego oddechu. Odchyliła się do tyłu w siodle, mocno przytulając się do Młodego Jeffa, a jego ramiona zamknęły się wokół niej, jakby nigdy nie chciał jej z nich wypuścić. Dał jej czas na opanowanie burzy myśli. W końcu przemówiła nowym głosem, bardzo cichym, bardzo łagodnym, stłumionym.

— Nie jestem więc jedną z nich! Dzięki Bogu! Nie jestem córką tych… Nie jestem nawet Arlene! Czuję się jak nowonarodzona, Jeff! W ogóle nie jestem Arlene!

— Nie. Teraz jesteś Ah Lee. Może po jakimś czasie nadamy ci nowe imię...

— Uwielbiam imię „Ah Lee"! — mruknęła Ah Lee.

Kiedy dotarli do Devil-Take-It, młody Jeff i dziewczyna, którą nazywał Ah Lee, zostali daleko w tyle. Nagle wyłonili się z magicznego świata ich jazdy; zobaczyli kilka ognisk i wielu ludzi, niecierpliwie wyglądających ich przybycia. „Imprezka" już trwała, a przybyło na nie znacznie więcej osób, niż się spodziewał zarówno Cichy Jeff, jak i jego przyjaciel.

Trigger Levine, maszerując ze wszystkich sił z powierzonym mu posłannictwem, zatrzymał się w Halcyon, aby wlać w siebie tak bardzo potrzebnego mu drinka - i miał szczęście zastać tam szeryfa, Dana Hasbrooka. Hasbrook, szczery i nieskory do tajemnic, zadziałał jako kanał informacyjny, przez który wieści mogły rozprzestrzenić się tak szybko, jak to tylko było możliwe, i wytrysnęły szeroko, jak długo spiętrzone wody przełamujące tamę, która je powstrzymywała.

Kilku ludzi znad Wandering River zjechało do Halcyon, słuchając wezwania, które stary obóz górniczy rozgłaszał w górach, jak złota trąba. Byli tam Ed Spurlock, Walt Jameson, Steve Bannister, Sam Harper, Hank Fellowes, chłopcy Bagby'ego, stary Vetch i kilku innych. Wylali się za Hasbrookiem z miasteczka, prześcigając się jeden przez drugiego.

Przyjechał z nimi również stary sędzia Northcutt z Bender's Gap. Pojawiło się także kilka kobiet, a wśród nich Chrystine Ward, pani Sadie King i jedna z jej córek, oraz Miriam Warbuck. Devil-Take-It, z tymi wszystkimi płonącymi ogniskami i wciąż napływającymi gośćmi, zaczęło przypominać małą wioskę.

Wszyscy oni, każdy mężczyzna i każda kobieta, zostali sowicie wynagrodzeni za poświęcony czas, kiedy tylko zobaczyli jeźdźców przybywających do starego domu w Devil-Take-It. Oto bowiem pojawili się Cichy Jeff Cody i Czerwona Koszula Bill Morgan, dwaj ludzie, w przypadku których cała okolica spodziewała się ogromnego wybuchu wrogości, mogącego doprowadzić do podwójnego morderstwa, a tymczasem ci dwaj przybyli jak dwójka starych przyjaciół, którymi przecież tak naprawdę byli. Nie była to jednak nawet jeszcze połowa sensacji: Wraz z nimi przybył nie kto inny jak Barton Warbuck, a za Warbuckiem, na tym samym koniu, jechała stara kobieta z Dziury Wiedźmy, przytrzymując się go, by nie spaść, oraz przeklinając go wrzaskliwie i kuksając w plecy twardymi, kościstymi pięściami. Wszyscy, którzy ich widzieli i powitali, wykrzyczeli głośne owacje.

Gdy tłum ruszył falą naprzód, Dan Hasbrook wykorzystał swe oficjalne stanowisko, aby stanąć na jego czele.

— Spokojnie, ludzie — powiedział na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli. — Nie pakujmy się w nic w ciemno, dopóki nie dowiemy się, dokąd to wszystko zmierza. Dowiedzmy się najpierw, o co w tym wszystkim chodzi, zanim popełnimy jakieś błędy. — Popatrzył na Cichego Jeffa Cody'ego, Billa Morgana Czerwoną Koszulę i Barta Warbucka, których twarze czerwieniły się w blasku najbliższego, największego ogniska. — Chodźmy, chłopcy - powiedział Dan Hasbrook.

O co poprosił, to dostał. Czerwona Koszula Bill Morgan potrafił mówić przy większości okazji, ale nigdy w całym swym życiu nie czuł się tak pełen słów i pełen gwałtownego pragnienia, by je z siebie wyrzucić. Zdjął swój stary, sterany kapelusz i machając nim nad głową, krzyknął do nich:

— Słuchajcie mnie, ludzie, i to słuchajcie uważnie! — I powiedział im. Opowiedział im o wszystkim. Cofnął się w czasie tak lekko, jak górska kozica po łagodnym zboczu; wrócił do dawnych czasów sprzed ponad dwudziestu lat. Opowiedział im o sobie, o swoim kumplu Jeffie Codym, o trzecim kumplu, Hanku Ryanie; o tym, jak Hank Ryan ukradł wspólną pulę ponad pięćdziesięciu tysięcy dolarów w złotym pyle, a zarówno Cichy Jeff, jak i Bill Morgan chcieli go dopaść; o tym, jak Hank Ryan został zamordowany strzałem w plecy, złoto skradzione, a broń pozostawiona na miejscu przestępstwa, pochodziła z ich chaty w Pay Dirt; o tym, jak Cichy Jeff i Bill Morgan zostali oszukańczo wmanewrowani we wzajemne podejrzenia - i jak dopiero dziś wieczorem, po dwudziestu latach złych stosunków, poznali prawdę: To była zbrodnia Barta Warbucka i taki był początek kariery Barta Warbucka jako bogatego i wpływowego człowieka w Long Valley, w okolicy Wandering River, w całym stanie.

Młody Jeff ześlizgnął się ze swego konia i stanął u boku Arlene - u boku Ah Lee! Jego dłoń spoczywała na łęku siodła, a jej dłoń zacisnęła się na jego. Pomyślał z dziwną nutką wesołości: „Stary Bill zawsze miał w sobie

coś takiego, że pragnął wygłaszać wspaniałe oracje; dziś wieczorem otrzymał na to szansę!”. Rozejrzał się po tłumie i jego wędrujące spojrzenie zatrzymało się na małej, zwartej grupie ludzi. Niektórzy z nich stali sztywno wyprostowani, inni garbili się, z rękoma związanymi z tyłu. Był to Jim Ogden i jego ludzie. Wtedy po raz pierwszy zobaczył oddzielną grupkę kobiet, było ich z tuzin, żony i córki ranczerów, a wśród nich Chrystine, Miriam i Sadie King z córką Aggie, trzymającą ją za ramię. Większość z kobiet, może z wyjątkiem Chrystine, która wyglądała na wystraszoną, i Miriam, która wyglądała na podstępnie uradowaną, zachowywała się jak zaprawione w bojach amazonki, przybyłe, aby domagać się sprawiedliwości i zemsty.

Dan Hasbrook odchrząknął. Robił wszystko, co w jego mocy, aby wyglądać nieubłaganie, pozować na surowego przedstawiciela prawa, które nie toleruje żadnych wygłupów. Jeśli w jego oczach pojawił się błysk, mogło to być odbicie strzelającego w pobliżu wysoko ognia. Oczyścił gardło po raz drugi i zwrócił się do Cichego Jeffa.

— Dostałem wiadomość od Triggera Levine'a — powiedział. — Trig powiedział, że to ty ją wysłałeś. Zgadza się, Jeff?

Zdecydowane skinięcie głową zapewniło go, że tak. Następnie Cichy Jeff, który najwyraźniej był tej nocy wyjątkowo wylewny, zapytał:

— Smoła, Dan? Tutaj?

— Tak. A chłopcy przydźwigali ze sobą wszystkie wiadra i kotły, jakie udało im się zgromadzić; smoła już się rozgrzewa.

— A pierze? — zapytał Cichy Jeff.

— Tak. Materac wypełniony pierzem; niektóre z pań dodatkowo przywiozły parę poduszek z pierza. — Następnie ściągnął z głowy kapelusz, zmierzwił włosy i zaczął się krzywić. — Oczywiście Trig Levine nie powiedział mi, na co ci ten cały bagaż i co zamierzasz z nim zrobić. Posłuchaj Jeff, może zejdziesz na chwilę z tego konia i pójdziemy na bok, żeby zamienić parę słów. Nie będę tolerował łamania prawa i dobrze o tym wiesz!

Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane na tyle głośno, by wszyscy je usłyszeli.

Bez śladu wahania Jeff zsunął się z siodła - wiedział, jak to jest z szeryfem na takiej imprezie - i odszedł razem z Hasbrookiem na bok. Hasbrook wyprowadził ich poza migoczący krąg ognia do miejsca, gdzie uwiązał konia. Tam się zatrzymał.

— Chyba zrozumiałem większość, Cody — oznajmił bez ogródek. — Ale jeśli nie boisz się, że nadweręży to twoje gardło, może opowiedziałbyś mi o najważniejszych rzeczach. Powinieneś być w stanie wypowiedzieć te kilkadziesiąt słów bez żadnych przykrych konsekwencji zdrowotnych, w dniu jutrzejszym.

To wydało się Jeffowi rozsądną prośbą. Dan Hasbrook był jego starym przyjacielem. Nie szczędził więc słów, ale też ich nie marnował. W sposób bardziej zwięzły niż większość ludzi potrafiłaby to zrobić, przedstawił szeryfowi streszczenie zarówno obecnej, jak i dawnej części całej historii, co oznacza, że zaprezentował wydarzenia tej nocy oraz ich związek z wydarzeniami sprzed kilkudziesięciu lat.

Kiedy skończył, Dan Hasbrook pokiwał głową. Powiedział:

— To, co zamierzacie zrobić, jest sprzeczne z prawem i porządkiem, Jeff. Nie mogę się na to zgodzić. Mam przy sobie dwa rewolwery i chyba że mi je zabierzecie, będę zmuszony ich użyć. Mam też zapasowy zwój liny przy siodle. Jeśli nie będę odpowiednio przywiązany, rozwalę tę imprezę w drobny mak.

To również wydało się Cichemu Jeffowi rozsądne. Zabrał więc Danowi Hasbrookowi oba rewolwery i wsunął je za swój pas; sięgnął po zwój liny i związał szeryfowi ręce i nogi.

— Nie za mocno, Dan? — zapytał. — Nie boli?

— Mógłbyś trochę poluzować nadgarstki, Jeff. Żebym mógł uwolnić rękę, gdybym musiał zapalić.

Kiedy Cichy Jeff wrócił do pozostałych przybyszy, skupionych wokół Warbucka, Jima Ogdena oraz ich ludzi, oznajmił łagodnie:

— Hasbrook, jako szeryf, był za wstrzymaniem akcji. Musiałem go więc związać. Teraz możemy zaczynać.

Kilku się roześmiało. Większość jednak nie była w nastroju do śmiechu.

Miriam Warbuck była jedną z osób, które się śmiały. Przeszła przez wciąż rosnący tłum do swojej przybranej siostry i stanęła koło niej oraz Młodego Jeffa.

— Witaj, kochanie — powiedziała kpiąco. — Dobrze się bawiłaś?

Zaskoczona, nie wiedząc aż do tej chwili o obecności Miriam, dawna „Arlene" położyła obie ręce na ramionach drobnej dziewczyny.

— Miriam! Właśnie się dowiedziałam… To ja jestem adoptowana! Ty jesteś prawdziwym Warbuckiem - jesteś ich córką z krwi i kości!

Oczy Miriam powiększyły się ze zdumienia, a potem rozbłysły blaskiem.

— W takim razie, jestem ich dziedziczką! — zawołała niecierpliwie. — Bez względu na to, co zrobią, nie mogą mnie oszukać! To ja, a nie ty, mała głuptasko, odziedziczę spadek - a z tego, co widać, nie trzeba będzie długo na to czekać! Pomyślałaś o tym, zanim mi to powiedziałaś?

Przez drugą z dziewczyn przebiegł dreszcz. Pomyślała o tym! To była pierwsza rzecz, o której pomyślała - choć nie w tych samych kategoriach, o które chodziło Miriam. Nie myślała o akrach ziemi Warbucków i zgromadzonym bogactwie; myślała o samych Warbuckach i już pobożnie dziękowała dobremu Bogu, że nic po nich nie odziedziczyła. Ani ich fortuny, ani cech rodzinnych.

— Tak - odpowiedziała dość cicho. — Myślałam o tym. Niczego od nich nie chcę, Miriam.

— Oho! — Jasne, czarne oczy Miriam zmrużyły się; zobaczyła, jak jedna z dłoni, która jeszcze przed chwilą spoczywała na jej ramieniu, instynktownie wsunęła się w ochronny uścisk dużej dłoni Młodego Jeffa. — Więc masz już wszystko, czego chcesz, prawda?

— Tak — powiedziała cicho Ah Lee, choć w tej chwili nie wiedziała, o czym mówi Miriam.

Wokół nich paplał głośny chór głosów, mężczyźni i kobiety wspólnie wykrzykiwali i dopytywali się. Czerwona Koszula Bill Morgan machał

kapeluszem nad głową, by zwrócić na siebie uwagę i krzyczał do nich. On im powie wszystko!

I powiedział.

Obwieścił im już wcześniej wyraźnie, winy Barta Warbucka i jego ludzi. Teraz wspomniał o czymś jeszcze, a tym czymś, pisanym wielką literą, jak powinno być przy takiej okazji, było Złoto.

— Chcę, żeby wszyscy o tym wiedzieli, zanim przejdziemy dalej — oznajmił stary Bill Morgan. — Chcę, żeby usłyszał to Warbuck, a zwłaszcza Jim Ogden, który nie będzie w nastroju do słuchania tego za kolejne dziesięć minut. Charlie Carter znalazł złoto, więc Warbuck kazał go zabić. Warbuck nie zrobiłby tego, gdyby nie wiedział, gdzie jest złoto, prawda? Wiedział. Miał ludzi, którzy śledzili Cartera od miesięcy. Tak się składa, że ja też to wiem, i to już od siedmiu lat. Tak się również składa, że stary Jeff Cody też wie i właśnie dziś mi powiedział, że wie o tym od ośmiu-dziewięciu lat!

— Biedny stary Charlie Carter, nie wiedział, co z tym zrobić, kiedy znalazł złoto; dlatego tak bardzo chciał porozmawiać z Budem Kingiem. Tak więc, Warbuck zlikwidował ich obu. Teraz o tym nie wie nikt poza moim kumplem, mną i Warbuckiem. A ja o wszystkim powiem wam.

— Złoto jest w starym, dobrym miasteczku Pay Dirt, które niektórzy poganie nazywają Halcyon. Pay Dirt to jego właściwa nazwa. A kto jest właścicielem większości Pay Dirt? Ja, oraz stary Jeff Cody. Kiedy dwadzieścia lat temu byliśmy partnerami, największą część Pay Dirt, działki, domy i ziemię wokół, kupiliśmy razem, ja i on. A złoto Charliego Cartera znajduje się na działce, która należała do mnie i Jeffa jako partnerów!

Musiał w tym miejscu zachichotać.

— On wiedział, że jest tam złoto i nie chciał mi powiedzieć, i ja wiedziałem i nie chciałem powiedzieć jemu, a żaden z nas nie chciał sprzedać ziemi drugiemu, więc przez wiele lat… po prostu pozwoliliśmy mu leżeć pod ziemią. Posiadamy prawa do minerałów i wszystko inne. A gdy nadejdzie świt, zamierzamy otworzyć wszystko na oścież! Pay Dirt znów będzie tętnić życiem, a wielu z was będzie miało szansę zająć sąsiednie tereny - i niech wygra najlepszy!

Rozległy się wiwaty.

— Spotkajcie się ze mną i Jeffem w Pay Dirt o wschodzie słońca — powiedział Bill Czerwona Koszula. — W hotelu będą darmowe drinki, zanim wyruszymy. A w międzyczasie, co zrobimy z Warbuckiem, Ogdenem i tymi ich małymi leszczami, które uważają się za rewolwerowców, a których młody Jeff Cody związał jedną ręką jak sznurówki u butów?

— Smoła jest już ciepła! — krzyknął ktoś.

— Pióra gotowe! — zawołał inny.

Wrzawa ucichła, gdy zobaczyli, że Cichy Jeff Cody ma coś do powiedzenia.

— Nie chcemy wchodzić w konflikt z prawem — oznajmił łagodnie. — I nie chcemy utrudniać życia biednemu staremu Danowi Hasbrookowi. Więc wszyscy chłopcy róbcie, co mówię: Wyciągnijcie bandany!

Zastanawiając się i nie wiedząc do końca, czy się śmiać, czy go przeklinać, posłuchali i mnóstwo dużych chust, zarówno jaskrawoczerwonych, jak i jaskrawoniebieskich, rozkwitło w świetle ognia jak tropikalne kwiaty. Jedną z nich, kwadratową, prawie na metr i czerwoną jak krew, trzymał w rękach Cichy Jeff. Podniósł ją i zawiązał ją na twarzy, w poprzek nosa, pozostawiając na widoku swoje bystre, stare oczy, by mogły patrzeć nad nią górą.

— Prawo będzie chciało wiedzieć, kto zrobił to, co zamierzamy zrobić dziś wieczorem — kontynuował. — Teraz więc odczytam listę; chłopcy niech każdy odpowie, czy jest obecny, czy nieobecny, a to pomoże później szeryfowi. Zacznę od siebie. Stary Jeff Cody, obecny czy nieobecny? — Przez chwilę milczał. Potem zawołał: — Nieobecny!

Wtedy ryknęli śmiechem, ale znów jego pierwsze słowo ich uciszyło. Zawołał:

— Bill Morgan, obecny czy nieobecny?

— Nieobecny! — ryknął Bill Morgan jowialnym grzmotem. — Na Boga, Jeff, przygotowałeś dla mnie wisienkę na torcie… Do diabła, człowieku, jestem daleko od Pay Dirt i dosłownie jem pyszną kolację!

Mimo to Jeff nie ustawał w wywoływaniu listy; sprawdzał, kto jest pod ręką, a następnie wywoływał jego imię. Mężczyzna zakładał chustkę jako maskę i odpowiadał:

— Nieobecny.

— Ed Spurlock! — wykrzykiwał Cichy Jeff. — Steve Bannister! Młody Jeff Cody! Hank Fellowes!

I tak dalej i dalej. Każdy odpowiadał tak samo.

— No, dobrze — powiedział Cichy Jeff — to załatwia sprawę. Tak się składa, że Dan Hasbrook jest na tyle blisko, że może nas usłyszeć. Będzie wiedział, że żadnego z was tu nie ma, bo mówicie, że was tu nie ma, a kto powinien wiedzieć lepiej od was? Teraz ktoś może przynieść smołę.

Sadie King podeszła, Aggie trzymała się blisko niej.

— Jest tu grupa pań — powiedziała Sadie King. — Chyba lepiej będzie, jeśli sobie pójdą, zanim zaczniecie przygotowywać tych mężczyzn do założenia nowych garniturów. Najpierw jednak mamy pewien drobny, damski obowiązek do spełnienia. Tak więc wy, chłopcy, poczekajcie.

To, co zamierzały zrobić, związane było z panią i wymagało damskiego podejścia. Kobiety otoczyły skrzeczącą starą kobietę z Dziury Wiedźmy i odciągnęły ją na bok. Biorąc pod uwagę rozważane posunięcia, mimo wszystko, potraktowały ją łagodnie; wysmarowały jej ręce, ramiona, głowę i włosy lepką smołą, a do smoły obficie dodały szereg garści puszystych białych piór, które przylgnęły do smoły jak do kleju. Potem życzyły jej dobrej nocy - ale przysięgły, każda z nich, że dopóki którakolwiek z nich żyje, jeśli kiedykolwiek, choćby raz, zobaczą ją ponownie, rozbiorą ją zupełnie do naga i wytarzają w smole oraz pierzu od stóp do głów. W towarzystwie gwizdów, poszła więc sobie z obozu, kryjąc się i przeklinając, i nigdy już nie wróciła do tej części kraju.

Potem kobiety zaczęły wyjeżdżać. Sadie King poszła jeszcze do Dana Hasbrooka i chwilę z nim rozmawiała. Potem ona i Aggie odjechały swoją starą bryczką, a Dan Hasbrook pojechał z nimi, jako bardzo zadowolony

więzień. Pokazał im liny na rękach i nogach! Nie mógł się powstrzymać, co?

Młody Jeff czuł w kościach, co się za chwilę stanie, i zmusił Ah Lee, aby z nim odjechała.

Przez cały ten czas Bart Warbuck nie odezwał się ani słowem, podobnie jak Jim Ogden. Lecz ich twarze były ponure. Być może obaj wiedzieli co się stanie.

Wszyscy ludzie Warbucka, z wyjątkiem jego samego oraz Ogdena, zostali rozebrani do naga i pokryci od stóp do głów gęstą smołą; zostali obsypani pierzem tak, że wyglądali na jakieś stworzenia nie z tej ziemi; doradzono im, że jeśli szybko wyruszą w drogę, z pewnością znajdą klimat o wiele lepszy dla ich zdrowia niż tutejszy. I przy akompaniamencie gromkiego śmiechu, zniknęli w przyjaznej ciemności.

Wtedy Warbuck zaczął szaleć; groził, oferował łapówki; przysięgał, że zapłaci tej gromadzie ludzi tyle pieniędzy, że każdy z nich będzie bogaty do końca życia. Jim Ogden poprosił o ostatniego papierosa; poza tym nie otworzył ust.

Obaj zostali umieszczeni na koniach, obok siebie. Zawiązano im pętle na szyjach, a liny przerzucono przez duży, mocny konar starej sosny, która rosła tu od stu lat i prawdopodobnie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Czerwona Koszula Bill Morgan dał znak.

— Pogonić je! — zawołał.

Konie, klepnięte po zadach, skoczyły do przodu.

* * * *

Jedną z ostatnich kobiet, które odjechały, była Chrystine Ward. Szukała Młodego Jeffa i chociaż nie był sam, przemówiła, jak miała nadzieję, szybko i bez ogródek.

— Jeff! Posłuchaj! Ja nie wiedziałam… nie rozumiałam! Proszę, uwierz mi! Pan Warbuck sprowadził mnie tutaj, załatwił mi pracę i przez cały czas dla niego pracowałam. Byłam paskudnym szpiegiem! Chłopcy wpadali do szkoły… jeździłam z nimi na konne przejażdżki… oni mówili mi różne rzeczy, a ja przekazywałam to panu Warbuckowi. Ale powiedziałam ci o tym, prawda? I powiedziałabym też tej okropnej starej kobiecie. Ja… ja myślałam… Och, nigdy sobie tego nie wybaczę!

Jeff odparł łagodnie:

— W porządku, Chrystine. Wszystko jest już dobrze. — Przez cały czas trzymał dłoń Ah Lee w swojej, ściskając ją mocno.

Chrystine stała przez chwilę, patrząc na nich oboje, a potem tylko na Młodego Jeffa, jej wielkie oczy zrobiły się jeszcze szersze, a usta zadrżały. Nagle odwróciła się i uciekła, a oni usłyszeli pierwszy z wielu szlochów ściskających jej gardło.

Z cienia wyszła postać w miękkich butach i odezwał się niespodziewany głos

— Witaj, szefee Jeff'son. Witaj, pa-na Ah Lee — powiedział Ah Wong. — Ja też psijść. Zejść na dół do Halcyon napić się whisky, i psijść tutaj. A telaź wlacać do domu. Psijedzieś baldzio sibko, szefee Jeff'son?

— Tak, Wong. Niedługo będę w domu.

— Miła młoda zio-na do kuch-nia — zachichotał Ah Wong. — Świet-nie. Ona myć, zamiatać, splawić, zie dom jest ładny! Wsistko jasne, szefee. Wsistko jasne, pa-na szefee Ah Lee.

I poszedł w swoją stronę, dźwigając dzban whisky i chichocząc, jako bardzo szczęśliwy Chińczyk i do tego całkiem spostrzegawczy.

Jeff opuścił wzrok na odwróconą ku górze twarz dziewczyny. Blask odległych ognisk sprawiał, że policzki miała lekko zaróżowione, a w jej oczach odbijało się światło gwiazd.

— Co ty na to, pa-na Ah Lee? — zapytał. — Jak widzisz, Ah Wongowi zależy na tym z całego serca; więc czy mamy go zawieść?

— Ależ Jeff, nie wiem, o czym ty mówisz!

— Jaki będzie twój następny krok? Gdzie pojedziesz, co będziesz robić? Oczywiście świat jest szeroki, ale… gdzie? Halcyon? Albo ze mną! Do domu!

— Jeff!

— Nie lubisz Wonga? Chyba nie chcesz, żebyśmy go zawiedli?

— O czym ty mówisz?

Jeff wziął ją mocno w ramiona. Nie wiedziała jeszcze, jaki los spotkał Warbucka i Jima Ogdena; nie chciał, żeby na razie o tym wiedziała. Pragnął, pragnął z całego serca i z całej siły, by ją pocałować. Pocałował ją, a ona przytuliła do niego. Powiedziała niewyraźnie:

— Co on miał na myśli? Ah Wong, kiedy powiedział „zio-na”? Co to znaczyło, Jeffersonie Cody?

— To stare chińskie określenie. — wyszeptał jej do ucha: — To znaczy „żona”. Czy zostaniesz nią, Ah Lee?

Musiała to przemyśleć. W końcu powiedziała:

— No cóż, naprawdę lubię Wonga. Nie chciałabym go rozczarować, prawda, szefee Jeff'son?

— Nie, Ah Lee — oznajmił Młody Jeff Cody. — Nie, zio-no! Jedźmy!

KONIEC